

WALENTY ĆWIK.



# HENRYK SCHMITT

życiorys spisany na podstawie dokumentów  
i korespondencyj.



LWÓW 1888.

PRZEDRUK Z „DZIENNIKA POLSKIEGO“

Z drukarni „Dziennika Pol.“ pod zarz. Jana Mittiga.

48209

I

Dr. W. L. Gernacki  
Lwów 1934 Jar



WYKAZ LITERACKICH PRAC

HENRYKA SCHMITTA

będących w obiegu księgarskim.

---

Dzieje narodu polskiego od najdawniejszych do najnowszych czasów potocznie opowiedziane. — Lwów 1863.

Dzieje Polski od jej początków aż do dni naszych. Zdarzenia najważniejsze z przeszłości narodu polskiego. — Lwów 1869.

Dzieje Polski 18 i 19 wieku osnowane prze-  
ważnie na niewydanych dotąd źródłach, jako  
ciąg dalszy dzieła: Dzieje narodu polskiego. —  
Kraków 1866.

Dzieje porozbiorowe Polski (1795—1832)—  
Lwów 1868.

Kilka myśli na czasie w sprawach publicznych. —  
Lwów 1877.

Kilka słów bezstronnych w sprawie  
ruskiej. — Lwów 1861.

Kilka uwag w sprawie ulepszenia szkół  
ludowych w kraju naszym. — Lwów 1872.

Ks. Hugo Kołłątaji jego prześladowcy. Szkic  
biograficzno-krytyczny. Lwów 1873.

- Materiały do dziejów bezkrólewia po śmierci Augusta III. i pierwszych lat dziesięciu panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego. — Lwów 1857.
- Narodowość polska, jej podstawy, rozwój dziejowy, przeobrażenia i zboczenia, a oraz stosunek do chwili obecnej. — Lwów 1862.
- Panowanie Stanisława Augusta. — Lwów 1868—1880.
- Pogląd na życie i pisma ks. Hugona Kołłątaja, podkanclerza koronnego. — Lwów 1860.
- Rokosz Zebrzydowskiego według źródeł rękopiśmiennych. — Lwów 1857.
- Rozbiór dzieła p. t. „Dzieje Polski w zarysie przez Michała Bobrzyńskiego“. — Kraków 1882.
- Rozbiór krytyczny pomysłów historjograficznych i odkryć dziejowych pana Antoniego Walewskiego, członka czynnego krakowskiej Akademii umiejętności. — Lwów 1875.
- Rys dziejów narodu polskiego od najdawniejszych czasów znanych do r. 1763. — Lwów 1855—1860.
- Rzut oka na nowy projekt bezwarunkowego równouprawnienia żydów. — Lwów 1859.
- Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta, ostatniego króla polskiego. — Kraków 1872.
- Unia Litwy z Koroną, dokonana na Sejmie Lubelskim 1568—1569. Szkic dziejowy. — Lwów 1869.
- Źródła odnoszące się do pierwszego okresu panowania Stanisława Augusta po rok 1773. — Lwów 1884.
-

## PRZEDMOWA.

„Nie uginaj czoła poczei-  
wego przed majątkiem, ani przed  
„tytułem, ani przed urodzeniem,  
„bo czasy pogaństwa, w których  
„i kłoce i kamienie czezono, mi-  
„nęły; ale schył czoło przed za-  
„sługą, bo w zasłudze jest obecny  
„duch Boży, i błogosławieństwo  
„jego na cię zstąpi“...

*Karol Libelt*

„O miłości ojczyzny“.

Od lat kilku zieleni się już kurhan nad trumną męża, który przez cały wątek żywota swojego bezgranicznem poświęceniem i niezmordowaną pracą przyświecał narodowi, który słowem i piórem podniecał ducha jego, stał na straży uczuć patryjotycznych i zostawił cenną spuściznę dla potomnych pokoleń.

Jako więzień stanu, obywatel, literat, historyk i kierownik oświaty publicznej — oddany był — Henryk Schmitt — jedynej myśli, służenia ojczyźnie.

Czyż bliższe poznanie kolei i wypadków życia jego, mogłoby być dla nas obojętnem?...

Zyskawszy w oryginalnych listach i dokumentach obfity materiał, zużytkowałem go do skreślenia życiorysu, o ile zawarte w nim opisy wypadków, zdania i twierdzenia, dotyczące niedawnej przeszłości, kwalifikują się już obecnie do ogłoszenia drukiem.

Z żalem skonstatować muszę, iż odezwy me wystósowane za pośrednictwem publicznych czasopism, o nadsełanie listów i dat życia ś. p. Schmitta, nie doprowadziły do pożądanego rezultatu, a ci tylko raczyli udzielić mi wskazówek, do których osobiście się odniosłem.

W podanych okolicznościach należy upatrywać przyczynę braków, jakie istnieją w mej pracy i jakie sam w niej spostrzegam.

By nie odrywać uwagi czytelników, unikałem w ciągu tekstu przytaczania źródeł, które obok listów i dokumentów posłużyły mi do zestawienia życiorysu, nato miast pozwalałam sobie obecnie zauważyć, iż czerpałem w tej mierze z dzieł: Agatona Gillera „Historja powstania narodu polskiego“, Wł. Czaplickiego „Pamiętnik więźnia stanu“, Maurycego barona Sali „Geschichte des polnischen Aufstandes vom Jahre 1846“ z „Ostatnich lat dziejów powszechnych“, itd.

Lwów w czerwcu 1887.

---



W pierwszych dziesiątkach lat bieżącego stulecia istniał we Lwowie przy ulicy krakowskiej sklep wina, własność Pawła Schmitta, przybysza z ziemi wirtemberskiej, który w myśl kolonizacyjnych zabiegów cesarza Józefa II, przesiedlił się tutaj z dalekich okolic zachodu i jako kupiec wszedł w poczet „sławetnych“ mieszczan lwowskich. Przedsiębiorstwo, jakkolwiek na mniejszą prowadzone skalę, przynosiło dostateczne korzyści i dozwalało rodzinie wieść żywot bez trosk o chleb powszedni.

Zajęty pracą swojego zawodu, znużony staraniem o pomyślność przedsiębiorstwa, nie mógł Paweł oddawać się sprawom domowym, i wychowaniu dzieci, których opieka spoczywała wskutek tego wyłącznie prawie w rękach matki, Katarzyny, córki Wawrzyńca i Zofii Orzechowskich, zamieszkałych w Winnikach obok Lwowa.

Aczkolwiek przybysz i obcokrajowiec, aczkolwiek nieświadomy języka ludności, wśród której osiadł, wzył się wirtemberczyk dzięki przymiotom swego charakteru, rychło w stosunki nowej siedziby, pokochał gościnną ziemię polską i przylgnął przy swem wesołem i towarzyskiem usposobieniu, całem sercem do społeczeństwa,

z którego przypadła mu w udziale towarzyska życia.

To też i nie dziw, że nie tylko godził się na wychowanie potomstwa w polskim duchu i w zasadach polskiego patriotyzmu, lecz że sam nawet zalecał gorąco ten kierunek żonie, uważając go za naturalny i dla przyszłości dzieci odpowiedni.

Rodzina Pawłów składała się z dwóch córek Franciszki i Zofii i syna Henryka urodzonego d. 5 lipca 1817, najstarszego z rodzeństwa.

Chłopak od pierwszych lat dziecięcych silną zdradzał wolę, wybitne zdolności i chęć wiedzy i miasto płochych rozrywek szukał chętnie poważnych rozmów starszych, zwłaszcza zaś opowieści swej sędziwej babki, która w prostych lecz rzewnych słowach kreśliła wnukowi obrazy niedawnej burzliwej przeszłości dziejowej, skołatanej nieszczęściami Polski. — Pamięć staruszki przenosiła ją żywo w czasy rozpaczliwych walk narodu, odtwarzała bohaterskie czyny Kościuszki, poświęcenie Głowackiego, Świstackiego, Kiłińskiego, brawury legionów, tryumfy Napoleona, śmierć księcia Józefa, uzmysławiała wzory marsowych postaci obrońców wolności, a smętne opisy niewiasty wnikały głęboko w młodociane serce i wrażliwy umysł dziecka, tworząc pierwszy posiew owej gorącej miłości dla przeszłości Polski, która tak wybitnie zarysowała się w późniejszych czynach i pracach literackich Henryka. Już wówczas ukochał Henryk całą duszą swą



ziemię rodzinną, już wówczas uczuł gorycz do nieprzyjaciół ojczyzny.

Patryarchalne życie rodziny Pawłów doznało niebawem bolesnych ciosów, a Henryk nie doszedłszy jeszcze dziesiątego roku wieku, musiał opłakiwać tragiczną śmierć ojca, i stanąć wspólnie z rodzeństwem u wrót niepewnej przyszłości. Z utratą ojca postradał nie tylko podporę i byt materialny, ale i możność korzystania z nauki szkolnej, którą zaledwie rozpoczął i w której od razu wzorowe wykazywał postępy. Patrząc nad wiek swój poważnie na krytyczne położenie, odczuł je chłopak w całej pełni, zamknął się więc w sobie i bolał, lecz nie stracił nadziei i ufności w własne siły. — Nie jemu było ugiąć się przed smutną rzeczywistością, nie jemu uleść rozpacz lub zboczyć z obranej drogi. O własnych siłach dążyć dalej w górę, wśród cierni i głogów wspinać się po szczeblach wiedzy, oto dewiza mnogich następnych lat życia Henryka — życia wśród walki z niedostatkiem i co gorsza jeszcze wśród walki jak to później zobaczymy, z zacofanymi pojęciami opiekuna ojczyma.

Po śmierci Pawła przedsiębiorstwo upadło, matka znękana opieką drobnych dzieci cierpiała i łzawiła oko pod wpływem czarnych myśli, a niedostatek coraz natarczywiej rozprzestrzeniał się wśród poddasza sierot. — W tych to okolicznościach spotykamy Henryka dziecięciem co do lat, lecz mężem co do woli, energii i niezłomnych postanowień. — Jedną ręką spełnia za-

jęcia gospodarstwa domowego, pomaga matce w wysiłkach o kawałek chleba, drugą trzyma książkę szkolną, pochłaniając wzrokiem zawartą w niej wiedzę, a gdy łza smutku rosą osiada na rzęsach wdowy, pociesza strapioną, obiecuje nauką dobić się stanowiska i stworzyć następnie raj dla nieszczęśliwej dziś swej matuli.

Tak przeszły trzy lata; czas, który wybrancom losu chwilką życia, znękanym — wiekiem zwykł się wydawać.

W rodzinie Schmittów znowu donośne nastąpiły zmiany. — Siostra Franciszka uległa słabości; matka, młoda jeszcze i przystojna kobieta wyszła ponownie za mąż w nadziei polepszenia losu pozostałych sierot, Henryk zaś ujrzał się uczniem gimnazjalnym, lecz niestety, jak się rychło okazało, opuszczonym i na własne ograniczonym siły, — ojczym bowiem zawiódł pokładane w nim nadzieje, i nietylko nie myślał o ponoszeniu wydatków na naukę pasierba, ale wręcz oświadczył się przeciwko posyłaniu go do szkoły, twierdząc, iż dość odebrał edukacji, by jako przemysłowiec lub rękodzielnik uzyskać byt i znośne stanowisko w świecie. — Nauka Henryka była ustawiczną przyczyną ostrych sporów rodzinnych, w których tkliwe serce matki przychodziło w sukurs energji i gorącej wiedzy dziecka i popierało je w szlachetnej walce z spaczonym pojęciem popędliwego i gwałtownego temperamentu ojczyma. Z biegiem lat zaostrzył się jeszcze stosunek, wyczerpały z drugiej strony siły matki tak, iż

ta po stracie młodszej córki Zofii oddana wyłącznie prawie dzieciom z drugiego małżeństwa, pozostawiła podrastającego Henryka własnemu losowi. — Jeszcze czas jakiś odbijał dzielny pasierb wszystkie ataki ojczyma, jeszcze czas jakiś wytrwał Henryk przy boku matki, aż w końcu przywiedziony do ostateczności, chcąc zresztą oszczędzić matce przykrości domowej niezgody, usunąć przyczynę sporu, opuścił całkowicie dom niedobrego ojczyma.

Ilekoć razy w późniejszym życiu, jako mąż wybitnego stanowiska, spotykał opieszalnych uczniów, ilekoć razy słuchał żale stroskanych lenistwem dzieci rodziców, opowiadał chętnie przyjaciółom opisany ustęp swego życia i pełen zapалу z słuszną dodawał dumą: „Na bruk rzucony bez dachu, chleba, odzienia, książek, poszedłem w świat szukać wiedzy i zdobywałem to, czegom pragnął, a ci którym tylko ptasiego nie dostaje mleka, walczą, by zostać w nieuctwie, by nie kosztować zdrowego pokarmu ducha, jaki rozkładają przed nimi troskliwi rodzice i profesorowie”.

Wyszedłszy z domu ojczyma, znajdował Henryk punkt oparcia bądź u krewnych matki, bądź też u kolegów; dopomagał im w naukach, korzystał nawzajem z ich książek i podręczników i przodując zdolnością przed współuczniami, zdobywał sobie coraz szersze pole, jako instruktor rówieśników lub młodszych towarzyszków z ław szkolnych. Nie ograniczał się przytem na wyzna-

czonych programem ciasnych ramach nauki, lecz doskonalił w każdym kierunku i wyzyskiwał nadarzające się ku temu sposobności. W wolnych od pracy i nauki chwilach dążył pod nieobecność ojczyzna do domu matki, by zapewnić skłopotaną o swem zdrowiu i przywiązaniu, pocieszyć ją w smutku, wlać otuchę w serce i podzielić się z nią projektami przyszłości.

Z celującym postępem ukończone w r. 1835 humanitarne studja w akademickim gimnazjum pod prefektem Lewickim, otworzyły Henrykowi wstęp na filozofię i ułatwiły mu poznanie licznej młodzieży obywatelskich domów prowincji.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej nad pierwszemi latami życia i nauk Henryka, zajrzeliśmy poza kotarę jego stosunków rodzinnych z lat młodych, albowiem w tych stosunkach upatrujemy pierwsze źródło cech i właściwości, jakie uwydatniały się następnie w charakterze dorosłego męża. — Czem Henryk był później, to wyłącznie sobie zawdzięczał, własnym siłom i własnej pracy. W walce z losem nabywał hartu duszy, nauczył się łamać przeciwności, iść przebojem naprzód; cenił jedynie pracę, wiedzę, charakter i miłość ojczyzny, toż daleki od pochlebstw i przemilezania błędów, choćby wysoko stojących w hierarchji społecznej ziomków, nie gonił za efektem, nie szukał popularności, baczył w pierwszym rzędzie na treść nie na formę, objawiał otwarcie zdanie i pozostawał konsekwentnie przy swem zapatrywaniu. — Własne „ja“ w mater-

jalnem znaczeniu na ostatnim stawiał planie, fizyczne potrzeby redukował *ad minimum*, oddany z zapalem nauce, pracy, społeczeństwu, bezwzględnie surowy w t-j mierze dla siebie, lecz też i wymagający od drugih prawdziwego poświęcenia dla publicznej sprawy i dobra narodu. W toku naszej pracy będziemy niejednokrotnie w możności, czynić pod tym względem bliższe spostrzeżenia.

Zanim przejdziemy do dalszej opowieści losów Henryka, pozwalamy sobie kilka ogólnych uwag o dawniejszym stanie szkół naszej prowincji. Szkoły ówczesne pozostawiały wiele do życzenia, gdyż zasady i system nauki dążył nie do wykształcenia lecz do zgermanizowania, do gaszenia płomienia ideałów narodowych, by w dalszem następstwie przyczynić się do połączenia Galicji z resztą monarchji w nierozdzielne, jednolite ciało. — Skąpo rozsiane po kraju, gimnazja składały się z 6 klas i dwuletniego kursu filozoficznego; językiem wykładowym był język niemiecki i łaciński. — Wynikiem wspomnianego systemu był zakaz surowy kształcenia umysłu nauką pozaszkolną, a mianowicie czytania książek, któreby wytwarzały w umysłach młodzieży przekonania sprzeczne z zamiarami i tendencją rządu. — Wyśiłki władz szkolnych w tym kierunku nie doprowadzały atoli do pożądaných rezultatów; przeciwnie młodzież tem żywszą rozwijała energję, im większych doznawała utrudnień, sprowadzała nie bez mozołu i niebezpieczeństwa, częstokroć



nie bez ujmy niezbędnych materialnych potrzeb, zakazane książki z zagranicy, wyrwała je sobie z rąk do rąk, uczyła się całych ustępów na pamięć, zgłębiała tajniki tego zakazanego owocu, a choć zdradzona i karana, nie zaniedbywała uszlachetniać umysłu i przygotowywać się do obowiązków obywateli kraju, do służenia sprawom narodowym. — Dalszem naturalnem następstwem tego stanu rzeczy była ścisła łączność pomiędzy młodzieżą, serdeczne koleżeństwo, zacieranie się różnic między majętnym a ubogim wspólna pomoc, wspólna nauka, wspólne mieszkanie i kojarzenie się w kółka, by pod osłoną nocy sięść pospołem do odczytania tej lub owej książki, pogwarzyć o przeszłości lub teraźniejszości, kreślić z młodzieńczą werwą przyszłości obrazy, obudzać uczucia patryjotyczne, chęć do nauk i zamiłowanie do pracy.

Epoka ówczesna była jak wiadomo w ogóle epoką tajnych stowarzyszeń i spisków, które następnie zelektryzowały rewolucją ludów dalekie obszary Europy. I polskie społeczeństwo rozwinęło potężną akcję, tak w gronie bawiącej za granicą, zwłaszcza zaś we Francji, emigracji, jak i w kraju, szukając z jednej strony łączności z rewolucyjnymi żywiołami innych ludów, z drugiej usiłując rozwiązać kwestję włościańską. uwłaszczyć tę warstwę narodu i poruszyć w dalszej konsekwencji masy ku odzyskaniu niepodległego bytu ojczyzny. — Nie wszystkie wprawdzie ówczesne kółka i stowarzyszenia dążyły do zre-



woltowania i wywołania zbrojnego wybuchu, wiele bowiem z nich miało za cel tylko krzewienie oświaty i moralności, lecz krążący w żyłach społeczności duch spiskowy nie pozostał bez wpływu na ogół, a tem samem na młodzież szkolną.

Prace emigracji w kierunku demokratycznym, złączyły się niebawem z pracami sprzysiężeń krajowych, emisariusze emigracyjni weszli w bliższą styczność z związkami krajowymi, a wynikiem tego było wytwarzanie się coraz głębszej wiary w sprawę narodową, surowość obyczajów, niezwykła karność i poświęcenie członków stowarzyszeń i zmiana pierwotnej propagandy demokratycznej na gotowe do czynnego wybuchu sprzysiężenie.

Szlachta polska ze względów utylitarnych, częściowo wskutek zimniejszej rozwagi i poglądu nie szła za ogólnym prądem, niechętnie spoglądała na prace stowarzyszeń, młodzież natomiast zapalała się do nowych myśli, do świeżej idei, pieściła zasadami miłości ludu, uważając każdego, kto niepodzielał tych zapatrywań, za wroga ojczyzny.

Nic też dziwnego, że w owych czasach spotykamy liczne zastępy młodzieży szkolnej, oskarżonej o udział w spiskach rewolucyjnych, a jakkolwiek niekiedy kończyło się na więzieniu śledczem, lub na ekskludowaniu ucznia ze szkół publicznych, to jednak nie pozostało to bez wpływu na przyszłość młodzieńca, który przy

końcu swych studjów ujrzał się nagle pozbawionym możności dobiecia do brzegu.

Pomiędzy stowarzyszeniami tego czasu, rozwijało się najpomyślniej w Galicji „Stowarzyszenie ludu polskiego“ którego początek należy odnieść do 5. listopada 1833 r. tj. do dnia, gdy zebrani w Rzepniowie, w Złoczowskiem, dowódcy i emisariusze, jak pułkownik Bobiński, Zalewski, Chodźko, Dmochowski, Nowicki i inni, uchwalili zaniechać bezowocnych wysiłków wywalczenia orężem niepodległości ojczyzny, natomiast oddziaływać na masy ludu i zdobywać jego sympatje dla sprawy narodowej.

Na czele pięciu stowarzyszonych stał powołany w drodze wyboru wójt, z obowiązkiem znośzenia się z innymi wójtami i zawiązywania nowych sekcji. Skoro liczba sekcji czyli piątek do 100 wzrosła, obierali wójtowie setnika jako pośrednią instancję pomiędzy nimi, a głównym zbiorem czyli komitetem centralnym. Miarą wzrostu stowarzyszenia może być okoliczność, iż w roku 1835 po uwięzieniu w Derewlanach, w Złoczowskiem, Józefa Łozińskiego, znaleziono przy nim sprawozdanie 63 sekcji, wedle którego sekcja ta rozpoczęła 19 października 1834 swe czynności, i dała głos na setnika Korwinowi N... Odkryte przez rząd w r. 1834 stowarzyszenia Hugona Wiśniowskiego we Lwowie i kontrolora salinarnego Dawida w Kałuszu, były również statutami nader zbliżone do „Stowarzyszenia ludu polskiego“ i miały pierwsze za zadanie oddzia-

ływać na stan mieszczański i rękodzielniczy, drugie z nich na urzędników i duchownych.

Przy pierwszym z tych stowarzyszeń rozwijał gorliwą czynność znany w dziejach Teofil Wiśniowski. Dawid przeniesiony w międzyczasiu do Siedmiogrodu, pracował tamże dalej w kierunku propagandy, nareszcie zdradzony, odebrał sobie trucizną życie i przeciął tem nić wytoczonego przez rząd śledztwa.

W latach 1835 i 1836, nastąpiło przy pomocy zabiegów Napoleona Nowickiego, Szymona Konarskiego i innych porozumienie się i złączenie towarzystw przygotowawczych Lwowa i Krakowa w jedno wspólne „Stowarzyszenie ludu polskiego“. Centralny komitet (zbór główny) w którym zasiadali Lesław Łukasiewicz, Seweryn Goszczyński, Januszewicz miał siedzibę w Krakowie, prowincjonalne komitety (zборы ziemskie) istniały w Krakowie, Tarnowie i Lwowie z zadaniem tworzenia komitetów obwodowych, okręgowych, którym podlegali naczelnicy pojedynczych gmin czyli sołtysi.

We Lwowie cechowała zbór żywa lecz zarazem przezorna akcja Hugona i Teofila Wiśniowskich, którzy zawiązywali okręgi w Kołomyjskiem, Stanisławowskiem, Przemyślem, Samborskiem, Złoczowskiem i Sancekiem, podczas gdy śmielszy występ komitetu krakowskiego wywołał interwencję granicznych mocarstw i spowodował wydalenie znacznej liczby emigrantów z granic Księstwa. Przewódcy krakowskiego zboru prze-

nieśli się początkowo w Bocheńskie, gdzie przy pomocy właścicielki Szczepanowic, Marcjanny Chrzastowskiej i jej synów, kontynuowali czynności, następnie zaś w październiku 1836, do Lwowa, nadając tutaj sprężyste piętno konspiracji i działając w kierunku wytworzenia pewnego rodzaju towarzystw pomocniczych w celu wpływania na każdy pojedynczy stan ludności z osobna, jak na szlachtę, wojsko, lud, uczniów i t. d.

Szymon Konarski przeniósł myśl demokratyczną i organizacyjną do zaboru rosyjskiego, przy pomocy Ignacego Kulczyńskiego, wydelegowanego przez główny komitet do dopomagania Konarskiemu przy przejściu przez granicę i do utrzymywania z nim bezustannej łączności. — Akta śledcze Konarskiego, rostrzelanego jak wiadomo w Wilnie dnia 27 lutego 1839, udowadniają, jaką potężną, niezmordowaną, podziwienią godną czynność, zdołał rozwinąć ten mąż w ciągu jednego roku. Nietylko, że przeniósł „Stowarzyszenie ludu polskiego“ na ziemię Wołynia, Podola i Litwy, nietylko że ukonstytuował zbory, stworzył środki i drogi wzajemnej komunikacji, lecz równocześnie wszedł w związki z towarzystwami Warszawy i Odessy i utworzył w Wilnie pomocnicze kółka. „Stowarzyszenie ludu polskiego“ w Galicji, rozwiązało się w r. 1837 i przekształciło w sierpniu tegoż roku w nowe stowarzyszenie „młodej Sarmacji“ z przygotowawczą niejako szkołą pod nazwą „Synów Ojczyzny“. —

Stowarzyszenie „Sarmacji“, zawiązane za-

biegami Eugeniusza Chrzastowskiego, Ryszarda Hermana, i Leandra Pawlikowskiego, miało jako naczelną władzę „Zbór narodowy“ z prowincjonalnemi odnogami „Radą nadkarpacką“.—Trzech do pięciu członków Stowarzyszenia „Synów Ojczyzny,“ tworzyło gminę pod kierownictwem wójta, który miał obowiązek znoszenia się z jednym członkiem „Sarmacji“ jako opiekunem gminy. Do powinności członków „Synów Ojczyzny“ należało pielęgnowanie i krzewienie patryotyzmu i zdobywanie wszelkiej wiedzy, mogącej służyć w przyszłości do celów narodowych.

W jesieni r. 1837 traktowała „Sarmacja“ we Lwowie z zawiązaną na wiosnę tegoż roku w zachodniej Galicji przez Stanisława Malinowskiego „Ogólną konfederacją ludu polskiego,“ w celu zlania się w jeden związek, a gdy „konfederacja“ została odkryta i wskutek uwięzienia wybitniejszych członków udaremniiona, z Robertem Chmielewskim, później zaś z Lesławem Łukasiewiczem, wysłannikami centralizacji Towarzystwa demokratycznego polskiego we Francji.—Odtąd też prace sprzysiężeń krajowych poczęły się wiązać z usiłowaniami Towarzystwa demokratycznego.

Już w jesieni r. 1837 weszła podczas koncentracji wojsk „Sarmacja“ w styczność z niektórymi oficerami 10. pułku piechoty Mazuchelli i porozumiał się Chrzastowski z podporucznikiem Dmitrasinowichem i tegoż kolegami Bosem i Norbertem Auffenbergem. — Pertraktacja nie do-



prowadziła na razie do stanowczej decyzji i została odłożoną do r. 1838, w którym podczas ponownej koncentracji wojsk po kilkakrotnych posiedzeniach i naradach, ułożyli porucznik Favini w porozumieniu z delegatem Stawskim, statut demokratycznego stowarzyszenia wojskowego. W statucie tym było jako cel związku podaniem wywalczenie wolności i równości dla całego społeczeństwa; organizacja łączyła członków w kompanie, bataliony i pułki. — Sprzysiężonym zalecał statut ludzkie i ujmujące traktowanie szeregowców w celu pozyskania ich dla przedsięwzięcia.

W czasie układów pomiędzy wojskowym a cywilnym związkiem, zyskał ten ostatni nowe siły przez przystąpienie kilku innych mniejszych stowarzyszeń prowincji i utworzył obwodowe władze w cyrkułach: stryjskim, stanisławowskim, żółkiewskim, tarnopolskim, przemyskim, rzeszowskim i tarnowskim i cztery gminy pomiędzy polską młodzieżą szkolną w Wiedniu. Szczególną opieką i pieczołowitością otaczało Stowarzyszenie uczniów szkół lwowskich, ustanawiając pewien nadzór nad młodzieżą, by ta oddawała się nie czytaniu rewolucyjnych książek i broszur, ale raczej nauce poważnej i głębokiej wiedzy, kojarzyła się i popierała nawzajem w kierunku studjów i wykształcenia.

Pozostawiając na boku inne stowarzyszenia i związki, jakie w owym czasie powstawały, a następnie zdradzone, znikwały z widowni, idźmy



dalej za losem spisku wojskowego, jako stojącego w bliższej styczności z tematem nagiej pracy.

Przystępując do związku z cywilnem stowarzyszeniem żądał Dmitrasinowich przyjęcia go w poczet członków narodowego zboru, a gdy otrzymał odmowną odpowiedź usunął się nieco od roli przewodcy sprzysiężenia wojskowego, dozwalając tem samem uchwycić koledze swemu podporucznikowi Weinbergerowi i sierżantowi Pieczonce ster spisku w dłonie. — Stojący na czele przemyskiej młodzieży Edward Bayer, młodzieniec pełen talentu, odwagi i daleko sięgających pomysłów, utrzymywał tymczasem wspólnie z przyjacielem Towarnickim żywą łączność z członkami wojskowego spisku. — Wybuch rewolucji wojskowej przeznaczony początkowo na czas koncentracji pułków w obozie pod Malechowem, został odłożonym dla chwilowych trudności do wiosny r. 1840. — Zanim rzecz dojrzała do czynu, przecięła zdrada arterje sprzysiężenia, a młodzież i wojskowi napełnili śledcze więzienia.

Bayer wydostał się przy pomocy przyjaciół 29 marca 1840 z murów więziennych i uszedł na Węgry.

Pomimo odkrycia spisku wojskowego, pomimo, iż rozgałęzione dochodzenia odsłaniały coraz więcej nici sprzysiężeń cywilnych, pomimo, iż liczni wybitniejsi przewódcy i propagatorowie, jak Kasper Cięglewicz, Hubicki, Horoszkiewicz i Lesław Łukasiewicz popadli w ręce władz rządowych, lub jak nie strudzony emisariusz Ignacy Kul-

czyński zeszli z tego świata, (Kulczyński popierany przez Piotrow Nawratilów właścicieli Romanówki pod Brodami i odkryty przez komisarza Chomińskiego przy rewizji 13 grudnia 1839 w domu Brzostowskiego w Smarzowie, zastrzelił się w chwili wyłamania drzwi skrytki) nie ustała demokratyczno - organizacyjna praca w Galicji, jak to udowadnia bezwzględne zawiązanie się nowego stowarzyszenia w wschodniej części kraju, dla którego pozyskał Robert Chmielewski, Alojzego Zgierskiego, Zienkiewicza, Wszelaczyńskiego, Chołodeckiego, Przysieckiego i innych zamieszkałych w okolicy Tarnopola zwolenników.

Powróćmy teraz do Henryka Schmitta, któregośmy zostawili z chwilą przejścia na dwuletny kurs filozoficzny.

Myśl demokratyczna i organizacyjna, praca dla ludu i przyszłości ojczyzny musiała znaleźć w nim gorliwego pioniera, uzdolnionego przebytymi wypadkami do walki z przeciwnościami, do zaparcia się i poświęcenia dla idei; styczność zaś bliższa z usposobioną patryotycznie młodzieżą ułatwiła mu pole działania. — W gronie przyjaciół Schmitta spotykamy nazwiska Komorowskich, Dzieduszyckich, Reyów, Wiesiołowskich i innych którzy znajdowali w Henryku zdolnego instruktora ulubionego koleżę i towarzysza.

Należąc do związku „Synów ojczyzny“ przodował on gorliwością i pilnością w systematycznym zdobywaniu wiedzy, zaznajamiał się dokładnie z dziejami ojczyzny i literaturą, oddawał

studjom fizyki i matematyki, ćwiczył się prywatnie w językach starożytnych i przyswoił sobie z czasem biegle języki francuski i angielski.

Wśród nauki, pracy i udziału w zabiegach stowarzyszenia, przeminał Schmittowi rychło kurs filozoficzny i przeniósł go w roku 1838 w mury lwowskiego uniwersytetu, bieg jednak politycznych wypadków przeciął u wstępu dalszy tok jego publicznych studiów.

Władze rządowe uważając Lwów i tegoż cokolice, jak n. p. dom rządcy dóbr Władysława Okólskiego w Zimnej wodzie, za jedno z głównych ognisk zakazanych związków, skierowały w te strony baczniejsze oko i zniewoliły tem samem młodzież do opuszczania stolicy. I Schmitt zagrożony ze strony poliej, porzucił sale uniwersyteckie, i przeniósł się w Tarnowskie, gdzie obok udzielania lekcji i praktyki gospodarstwa wiejskiego, propagował zasady tajnego stowarzyszenia. Tamto znalazł gorliwego opiekuna i przyjaciela Franciszka hr. Wiesiołowskiego, który już w nader młodym wieku (r. 1833) popierał usiłowania partyzantów polskich i odgrywał też donośną rolę w stowarzyszeniu „młodej Sarmacji“, oddany całą duszą zasadom demokratycznym. przytem gorący patrijota, ambitny, śmiały, gładki w obejściu i przyjemnej prwierzchności mężczyzna. Styczność z Wiesiołowskim nie pozostała naturalnie bez wpływu na kroki Schmitta.

Po odkryciu spisku Dmitrasinowicha dostarczało wdrożone śledztwo coraz więcej materya-

tu do skonstatowania zabiegów i czynności stowarzyszeń cywilnych i podstaw do ocenienia działalności pojedynczych członków. Z toku dochodzeń i rozpraw wyszedł również na jaw udział Schmitta w konspiracji i pociągnął za sobą uwięzienie tegoż w r. 1841.

Nieznaczone stosunkowo i ogólnikowe daty, jakie posiadamy z owej epoki życia Schmitta pouczają nas, iż więzień przesiedział w śledztwie niespełna lat cztery, które były potrzebne do zebrania dowodów winy oskarżonej o spisek młodozieży i do uzyskania dokładnego obrazu rewolucyjno-demokratycznej propagandy powiązanych ze sobą licznymi węzłami towarzystw. Umieszczony we Lwowie na przedmięściu Żółkiewskim w tak zwanych „Małych koszarach“ otrzymał za towarzysza jakiegoś szpiega, który rozmaitemi fortelami starał się go wybadać, ścisnął we śnie za mały palec i zadawał równocześnie rozmaite pytania, chcąc pewnym rodzajem magnetyzowania zniewolić więźnia do wyznania. Schmitt poznał się na podstępnie i wyszedł zwycięsko.

Razem z nim siedział w kaźni ks. Tomasz Kincel probosz z Nawarji, człowiek starszy wiekiem i otyły, toż nie chcąc pozwolić, by kapłan mozolił się przypadającym na niego z porządku zamiętaniem kaźni, wykonywał tę czynność i zyskał wskutek przyjacielskiej przysługi żartobliwy przydomek „organisty“ a raczej „organistunia“.

Znany pod podaniem mianem w całym skrzydle koszar zdobył sobie rychło życzliwość, mir

i szacunek współwięźniów. Wówczas zaprzyjaźnił się Schmitt także z Aleksandrem Morgenbessem, późniejszym poetą i dziejopisarzem, z którym nie widząc się, utrzymywał przez okno żywą komunikację i wymianę myśli.

Nareszcie ogłoszono Schmittowi i innym spiskowym dnia 21 stycznia 1845 wyrok, wyrok bezwzględny, surowy, wyrok — śmierci. W dalszym toku nastąpiło jednak ułaskawienie skazanych, zmiana kary śmierci na dożywotne więzienie, policzenie następnie więzienia śledczego w karę i wypuszczenie więźniów na wolność, przy pozbawieniu ich atoli praw cywilnych.

Z 51 skazanych na karę śmierci i 4 osądzonych na więzienie, zatrzymano w więzieniu Roberta Chmielewskiego, Lesława Łukasiewicza, Mikołaja Horodyńskiego, Leonarda Stawskiego, Leandria Pawlikowskiego Henryka Bogdańskiego, Eugeniusza Chrzęstowskiego, i Albina Dunajewskiego.

Przyczyny pewnych względów, jakimi kierował się rząd przy wymiarze kary, należy między innymi okolicznościami szukać w tem, iż ogół tajnych stowarzyszeń nie dążył bezpośrednio do zbrojnego powstania, a skrajniejsze zapędy gorącej krwi spiskowców rozbijały się o rozwagę i stanowczość głównych przewódców konspiracji. Przytem nie przywiązywał rząd większej wagi do propagandy młodzieży, niepopieranej w swych zabiegach przez szlachtę i arystokrację. Jak długo szlachta i arystokracja, u-



ważana od dawna przez sfery rządowe jako jedyna prawdziwa przedstawicielka polskiej narodowości, zachowywała się biernie, jak długo dochodzenie nie wykryło współudziału tych warstw społeczeństwa, które łączyły w sobie moralne i materialne warunki do arcywystąpienia rewolucyjnych tendencyj, nie spostrzegał rząd prawdziwego niebezpieczeństwa dla istniejącego porządku rzeczy. A właśnie w czasie uwieńczeń i śledztw lat 1839—1841 nastąpiło widoczne zbliżenie się wyższych warstw towarzyskich do reprezentantów rządu i weszły na porządek dzienny sprawy ekonomicznej natury, jak budowa kolei z Bcchni do Lwowa i dalej ku wschodnim krańcom prowincyi, rozszerzenie przywilejów zakładu kredytowego, utworzenie szkół rolniczych i technicznych i t. p. — Salony jenerałnego gubernatora arcyksięcia Ferdynanda de Este, prezydenta gubernjalnego barona Kriega i komenderującego jenerała de Nestsey były pełne gości arystokratycznych rodów Galicji, oddanych z całą swobodą rozrywkom karnawału. Podczas postu r. 1843 występowali panowie i damy na deskach eleganczkiego teatrzyku amatorskiego arcyksięcia, grywając komedyjki i inne drobne utwory dramatyczne w francuskim języku. Po wybuchu powstania w r. 1846 zarzuciła wskutek tego niemiecka partja polskim magnatom podstęp i ukryty zamiar wprowadzenia w błąd władz co do właściwego stanu rzeczy, i patrijotycznych zamiarów — czy słusznie — nie naszą oceniać rzeczą.



Podczas, gdy rząd stłumiwszy wojskowy spisek, uważał się zabezpieczonym przeciw dalszej propagandzie rewolucyjnej, utwierdzały wytrwałość centralizacji Towarzystwa demokratycznego we Francji i poświęcenie jej emisariuszów, związki w całym kraju. Przybycie zwłaszcza Teofila Wiśniewskiego z Francji (r. 1844) ugruntowało stanowczy wpływ Centralizacji. Hugo i Teofil Wiśniewscy rozszerzyli w porozumieniu z Franciszkiem Wiesiołowskim wzdłuż gór i podnóża Galicji, nieliczny wprowadzie ale ruchliwy spisek doprowadzając go przyspieszonym krokiem do wybuchu. Teofil Wiśniewski pracował przeważnie w cyrkułe Złoczowski i objął z wiosną r. 1845 naczelny kierunek w wschodnich obwodach kraju. — W radzie towarzyszków Wiśniewskiego spotykamy rychło Henryka Schmitta, który nieugięty doznaniem przejęciami minionych latk ilku, powrócił po wyjściu z murów więziennych do pracy w imię wyznawanej zasady i idey.

Pierwszy punkt oparcia dla wypuszczonego na wolność Schmitta stanowił dom Ryszarda Hermana, gorącego patrioty, męża obszernej wiedzy i poświęcenia dla kraju. W Rzepniowie, obok Milatyna, zgromadzało szlacheckie poddasze Hermana liczne grono współwyznawców politycznych, ugaszczanych staropolskim zwyczajem przez cennego powszechnie gospodarza, który skompromitowany w obec władz, nie mógł, pomimo zdolności i ukończonych studjów akademickich, dobić się kariery rządowej, uprawiał więc glebę

i brał gorliwy udział w toku spraw publicznych.

Przez pobyt w domu Hermana zaznajomił się Schmitt z tegoż bliższą i dalszą rodziną, której nazwiska jak Mitraszewskich, Korotkiewiczów, Rechchronów, Chołodeckich i t. p., były również mniej lub więcej związane z pracami demokratycznej propagandy i ułatwiały tem samem Schmittowi pole politycznej działalności. Zajęty jako instruktor młodzieży, jako zarządca ekonomiczny i członek konspiracji, nie zaniedbywał Schmitt wzbogacać swej wiedzy przy pomocy cennej biblioteczki domowej Hermanów. Od czasu do czasu opuszczał Rzepniów, powoływany biegiem wypadków do Lwowa, Zarudzia, Dziedziłowa i innych okolicznych miejscowości.

Nie sama atoli sprawa publiczna, nie kwestja egzystencji wabiła Schmitta w mury rzepniowskiego dworu; istniał tam inny jeszcze magnes, odmiennego wprawdzie rodzaju, lecz nie mniejszej siły. Żywe oczka... nie, raczej przymioty serca i charakteru ciotecznej siostry pani Ryszardowej w zanadto wybitnych uwidoczniały się rysach, zanadto silny znachodziły odbłask w duszy skołatanego przeciwnościami losu młodzieńca, ażeby wywołać chwilowe tylko zajęcie, przelotne uczucie. Obojętna z raz i wymiana zdań i myśli przekształcała się szybko w głębsze wrażenia, idea patriotyczna, nie obca nigdy polskim niewiastom, stanowiła jądro wikłanego kłębka obustronnych dążeń i zabiegów, zdobywanie wiedzy przez czytanie poważnej treści dzieł fran-

cuskich nęciło do wspólnego zajęcia, a serca młodych ludzi?... Czyż trzeba pytać o to?... Biły coraz to silniejszym tętnem, coraz to zgodniej, co raz wyraźniej. Niebawem przylgnął, ukochał Schmitt swą wybraną, taką samą stałą, bezgraniczną miłością, jaką darzył inne ideały życia, t. j. pracę, ziemię ojczystą, lud i zasady społeczne. Do uczuć płonących poprzednio w piersiach młodzieńca, przybyło uczucie nowe, nieznane dotychczas, lecz również stanowcze, silne, zajęło należne mu miejsce, odświeżyło umysł, pokrzepiło do dalszej wędrówki po nieusłanej różami ścieżce życia i rozszerzyło granice, w których doświadczał swych sił nieścieśniony tuzinkowemi ramami talent Schmitta. Młodzieniec chwyta za pióro, nie ogranicza się więc już na zdobywaniu wiedzy, lecz sam usiłuje tworzyć, wzlatywać po nad rówieśników, ujmować w poetyczne utwory wrażenia duszy i serca. Pierwsze próby na tem polu pod tytułem „Do \*\*\*\*\*“ i „Do kwiatka, który od Niej otrzymałem“ pochodzą z daty 13 kwietnia r. 1845.

Trudno zaprawdę orzec, czy wybór przyszłej towarzyszkii życia zawdzięczał Schmitt przypadkowi, czyli też bystremu zmysłowi spostrzegawczemu, to jednak pewne, iż odpowiedniejszego nie mógł on uczynić dla siebie wyboru. Lat kilkadziesiąt wspólnego pożycia, wspólnej doli, wspólnej pracy u ogniska domowego i na polu politycznej działalności, były tyluż latami niezamąconej niczem harmonji, zgodnego poglądu na

kwestje więcej lub mniej donośnej natury, latami wzajemnego wspierania się i szacunku małżonków, Leokadja, córka Jana Mitraszewskiego, łączyła w sobie owe liczne zalety, jakie wyrobiły polskim niewiastom pierwszeństwo przed kobietami innych narodowości i uzupełniała niejako braki, od których jej mąż, jako śmiertelnik, nie mógł naturalnie być wolnym, a dopiero stadło Schmittów razem wzięte stanowiło całość, jeśli dla uniknienia przesady nie powiemy doskonałą, to bezsprzecznie wzorową, godną zazdrości sporej niestety liczby małżeństw cywilizowanego społeczeństwa. Nie chcąc wybiegać po za zakres naszej pracy, ograniczamy się w tem miejscu co do ś. p. Leokadji Schmittowej na ogólnej wzmiance i podniesieniu okoliczności, iż niewiastę tę cechowały: poświęcenie dla męża, wrodzona roztropność łagodność charakteru, skromność, cicha lecz skuteczna dobroczynność i płomienna miłość kraju, które to przymioty dozwoliły jej spełnić należycie powinności w obec rodziny, bliźnich i ojczyzny, i zapisać godnie swe imię w szeregu polskich matron.

Naturalnem następstwem zajęcia się Leokadją było dążenie Schmitta do uzyskania stałej, zapewniającej egzystencję posady. Zawód służby rządowej, nieodpowiadający zresztą jego zasadom był dla skompromitowanego politycznie niedostępnym, guwernerka niepewną, jedno zajęcie na polu rolnictwa przedstawiało jakie takie widoki i w tym też kierunku czynił odpowiednie zabiegi,

Lecz tutaj zbieg okoliczności krzyżował plany i rachuby, wylewy wody w Tarnowskiem i wyrządzone tem szkody odebrały Wiesiołowskiemu sposobność dania Schmittowi u siebie posady, wdrożona zaś pretraktacja z Olszewską w Sorocku nie doprowadziła do pożądanego rezultatu.

Tymczasem zbliżał się termin wybuchu powstania, wysłannicy i przewodcy propagandy, jak Wiesiołowski, Dembowski, Wiśniewski nie ustawali w swej pracy, przeciwnie coraz większą rozwijali energję. Z końcem r. 1845 zawiązano w samej stolicy kraju we Lwowie komitet młodzieży, w którego skład weszli: Maurycy Sikorski, Marjan Sroczyński, Alojzy Boberski, Karol Kaczkowski, Julian Gutowski i Kleofas Władysław Domaradzki, przez co zyskała słabsza dotychczas niżli w zachodniej części kraju, organizacja, nowy zasób sił żywotnych.

W styczniu r. 1846 wybrano w Krakowie rząd narodowy i przeznaczono dzień 21 lutego 1846. do wybuchu ogólnego powstania, w pierwszej linii w Poznańskiem i Galicji. Rząd pruski uprzedził wybuch, aresztując 12. lutego generała Mięrosławskiego i głównych przewodców spisku, a wypadek ten wraz z aresztowaniami przedsięwziętymi w Galicji i innemi okolicznościami spowodował odłożenie wybuchu rewolucji.

Znane są dalsze smutne zdarzenia, krwawe dramata dziejowe, napady band włościańskich, na dwory szlacheckie, rzezie, mordy roznamiętnionych tłumów, i sporadyczne nieudane wybu-



chy powstańcze w Sanockim, Sąddeckim i Brzeżańskim obwodzie. — W tym ostatnim cyrkule przewodził Teofil Wiśniowski mając w gronie spiskowych Henryka Schmitta.

Pół mili od Narajowa w karczemce leśnej, „Kragła“ zwanej, zebrała się 21 Lutego 1846 garstka powstańców w liczbie około 60 zbrojnych i przysięgła pod krzyżem z szabel tak długo nie chować miecza do pochwy, aż wszystkie ojczyzny zakątki nie będą wolne od wroga. — Sprzysiężonym oznajmił Wiśniowski, iż najbliższym ich planem jest napad na konsystujący w Narajowie szwadron huzarów imienia króla Wirtembergii, rozbrojenie i przepędzenie żołnierzy, zabranie strzeliwa i broni, uprowadzenie koni, następnie marsz ku Brzeżanom. — Stosownie do ilości rządowych stajen Narajowa podzielił się oddział na trzy równe części, ustawił strażę i wyrzekiwał przybycia dalszych sprzysiężonych, wstrzymanych w drodze śnieżnemi zaspami. — Naradę i plany spiskowych podsłuchał szynkarz Aron Leiba Moor i uwiadomił posłańcem komendanta narajowskiego szwadronu o grożącym niebezpieczeństwie. — Z rozkazu rotmistrza i za poradą mandatarjusza Godlewskiego wyruszył podoficer z czterema kawalerzystami i policyjnym żołnierzem na zwiady do Kragłej, gdzie ich za przybyciem zatrzymanych przez czaty przywitani powstańcy strzelali. — Szeregowiec Kiss otrzymał postrzał w rękę, policyjny żołnierz skrył się w domu Moora podoficer zaś z resztą ludzi popędził co tchu



z powrotem do Narajowa. Wypadek ten zmienił plan pierwotny a powstańcy wyruszyli w jeden sformowani oddział pod mury miasteczka. — Rotmistrz huzarów ksiązę Löwenstein zostawił część swoich na straży obok magazynów, z resztą zaś i starszym porucznikiem Schimpfem wysunął się za miasto pod przyległy cmentarz. — Tutaj zetknęli się przeciwnicy; spiskowi celniemi strzałami zsadzili kilku jeźdźców z koni, i zmusili huzarów do opuszczenia placu utarczki, a niebawem całego miasteczka. — Löwenstein wpadł cwałem do Brzeżan, które w głębokim śnie pograżone nie miało nawet pzzeczucia odgrywającej się w pobliżu akcji.

Powstańcy powrócili do Kragłej, pomaszerowali z tamtąd do Błotni, dalej do Pomorzan, wyczekując u ks. Szersznika wiadomości z Putator, gdzie pod dowództwem Ignacego hr. Komorowskiego z Chorobrowa, miał się zbierać drugi, przeznaczony do zajęcia Brzeżan, oddział sprzysiężonych.

Po bezowocnem czekaniu, po nadejściu wieści o rzezi w zachodniej Galicji, odbyli zgromadzeni naradę i uchwalili, pomimo silnej opozycji Schmitta, zaniechać planu ataku za miasto, zgasić pochodnię powstania i rozjechać się po okolicy.

Schmitt pomknął ku wschodowi, mając, ścigany niebawem przez władze policyjne, zamiar przedostania się do Mołdawii. — Przez czas dłuższy pozostał jeszcze w kraju, między innemi w znanym nam już z wzmianki o emisarjuszu

Kuleżyńskim, domu Piotra Nawratila w Romanówce i w Manajowie obok Załoziec, w tej samej włości, w której chłopci Iwan i Anastazy Rudnikowie, zachęceni obietnicą nagrody 1000 zł. m. k. ujęli 5. marca 1846 ukrytego w pasiece Teofila Wiśniowskiego. — Schmitt, bawiący tam pod opieką Józefa Bema, stryjecznego brata generała, i pod opieką gorliwego patrioty Klemensa Bobrowskiego, omal nie doczekał już wówczas podobnego losu, a tylko nieudolnej rewizji przypisać należy, iż nie został spostrzeżony pod siennikiem łóżka, na którym leżał, udając słabego, mały synek Bemów, Władzio. — Przychylna gwiazda zbladła w dniu 9. maja 1846 r. w którym Schmitt dobijając do kresu swej podróży popadł w Czudynie, na ziemi Bukowińskiej w ręce mandatarjusza — wołoszyna, Worobkiewicza, doznając w ten sposób losu trzydziestu trzech innych towarzyszy narajowskiej przygody.

O uwięzieniu swem w ten sposób wspomina w liście pisanym z kaźni do Józefa Bema\*).

---

\*) Listów takich, również, jak i utworów poetycznych Schmitta, pisanych w ciągu mnogich dni więzienia, sporą posiadamy liczbę<sup>1</sup> — Są to przeważnie małe karteczki nader drobnem i zbitem wypełnione pismem, które dziś, po upływie lat czterdziestu z trudnością tylko można odczytać. — Niektóre z kartek, kreślone ołówkiem, są zupełnie prawie nieczytelne; przez lupę nawet nie można rozpoznać zatartych wyrazów i ustępów. — Posiadamy również książkę do nabożeństwa, zapisaną pomiędzy wierszami druku nie atramentem lub ołowiem, lecz wci-

„Kochany Józefie! Mocno się cieszyłem gdy mię wieść doszła, że w zdrowiu na łonie Twojej rodziny przebywasz. Dziś Ci przesyłam, choć z więzienia, przyjacielskie me pozdrowienie, jak i godnej pani Twojej, i wszystkim w całej okolicy. Chciej im oświadczyć, że pamięć o nich zawsze mi miłą i nawet w kaźni osładza pobyt; błoga bowiem to wiedza, że się znalazło w życiu ludzi tak godnych, iż nawet ofiary ponieśćby się nie wahali. Od czasu, jak od was wyjechałem, doświadczyłem najdziwaczniejszych kolei, aż w końcu 9 maja 1846 w karczmie przy gościńcu dwie mile od granicy pochwyciono mnie. Seweryn Lauker umknął — co się z nim stało, powiedzieć ci nie umię. On właściwie przyczynił się do mego uwiezienia, gdyż gwałtem chciał do tej karczmy zajechać, gdzie dzień przedtem już nocowałem — choć to odradzałem. Stało się... w księdze przeznaczenia napisano by p. Henryk Schmitt godne swe imię wciągnął także w spisy Berneńskie, albo zapoznał się ze stryczkiem .

. . . . .  
Proszę Cię, mój Józefie, chciej też dla oddawczyni tej karteczki przepisać, lub dać przepisać „Zdzi-

skaniem za pomocą ryłca drobnych liter w wolne miejsca kartek. — Zagadką, zaprawdę, nazwać wypada, iż Schmitt który lat tyle wśród ponurych, ciemnych murów więziennych tak drobnego, i natłoczonego używał pisma, który i w późniejszym życiu zachował ten sam charakter, pomimo ustawicznej pracy i nateżania ócz od wczesnego poranku do późnej nocy, cieszył się do ostatniej chwili dobrym wzrokiem i nie posługiwał szklami.

sława“ — zaklinam Cię na wszystko, nie odmów mi tej przysługi, a ja jak wyjdę kiedy z więzienia, najczulsze złożę ci dzięki, a jeżeli nie, to przecież może się zjedziemy razem u poczciwego Kościuszki, to Ci tam podziękuję i uścisknę jak prawdziwy przyjaciel. Klemensowi (Bobrowskiemu) i w Rom. (anówce) oświadczyć podziękę za poświęcenie, jakie dla mnie robiono, powiedz, że co dzień za nich Boga proszę, by szczęście im dał nieprzerwane. O Tobie zaś nic nie mówię — podzięką byłaby za małą; to jednak miej przekonanie, że prawdziwy szacunek zawsze dla Ciebie mieć będę, jak długo czuć i myśleć nie przestanę. Płci pięknej Waszej okolicy w ogólności i w szczególności ręczki całuję, a mężczyzn wszystkich ściskam, jako Wasz przyjaciel“.

Po kilkodniowym zatrzymaniu w Czerniowcach odprawiono Schmitta 20 maja 1846 do Lwowa, gdzie zastał w celach więziennych wielu przyjaciół, kolegów i towarzyszków prac konspiracyjnych. I znów zawarły się za nim na czas dłuższy skrzypiące bramy znanych nam „Małych koszar„ Żółkiewskiego przedmieścia.

Zdarzenie sprawione w stolicy kraju wypadkami lutowymi, było głębokie. Naród grubą okryty żałobą, cierpiał, bolał, łzawił oko na wspomnienie krwawych czynów roznamiętnionych zastępów włościańskich, z współczuciem spieszył słodzić więźniom ich bolesną dolę, a polskie matrony przodowały pięknym przykładem. W rzędzie gorliwych polek, stawała bezwzględnie Leo-

kadja Mitraszewska — prawdziwy duch opiekuńczy Schmitta i wielu innych dźwigających okowy patriotów. Od czasu do czasu odbierał więzień odwiedziny życzliwych osób, zwłaszcza całej rodziny Hermanów, często zaś tajne korespondencje\*), utrzymywał w ten sposób nieprzerwany związek z światem i informował się o dal- szym przebiegu wypadków. Szczęśliwszy w tej mierze od innych, cieszył się Schmitt pewnemi względami organów więziennych, jak to wpływa z następującego ustępu przesłanej do Mitraszewskiej karteczki:..... „Niech się pani nie lęka by u mnie Jej kartkę złapano, jam zanadto prze- zorny i dziesięciu Hohenauerów\*\*) w pole wy- prowadzę. Nie pojmuję, dlaczego on dla mnie taki łaskawy; nikt tak długich nie miewa od- wiedzín, najwięcej pół godziny, a my nieraz pięć kwadransów się widzimy. Musiał mu ktoś mię polecić, może ów urzędnik, jego znajomy, co mnie tutaj z Czerniowiec odstawił. Ten się, po prostu, we mnie zakochał. Może aktuarjusz Kratkiego bo i na tego korzystnie wpływałem; unosił się nad

---

\*) Pomimo baczego oka i nadzoru straży, była wy- miana listów na porządku dziennym. Schmitt otrzymywał je najeczęściej w ten sposób, iż pisząca osoba wtykała kar- teczkę w piórko gęsie i wsuwała piórko w jedno z przy- niesionych lub przesłanych więźniowi ciastek. Przezor- ność organów rządowych nie szła tak daleko, by rozła- mywać pojedyncze ciastka.

\*\*) Sekretarz Hohenauer był to wówczas młody, sympatycznie przez politycznych więźniów wspominany urzędnik.



moją ostatnią obroną, która cały dzień trwała i dziesięć ważnych mieści w sobie punktów“...

Stojąc przed sądem szli spiskowi w swej obronie rozmaitemi drogami. Jedni zapierali się wszystkiego, mając przytomną w myśli przestrożę, że powinnością ich jest zachowanie tajemnicy, inni urzeknięci okiem strachu, czynili wyznania przez słabość charakteru lub też, wpłątani przez drugich, przez niepotrzebną otwartość i gadatliwość, znów inni w końcu, uważając, że niegodnem jest zapieranie się tego, co w dobrej wierze uczynili dla ojczyzny, porobili zeznania, które ułatwiały wydobycie spisku z osłon tajemnicy.

Całkiem odmiennem było zeznanie Schmitta. — On, niebaczny na swoją osobę, przyznawszy się do uczuć polskich, do charakteru polskiego, nie wyjawiając szczegółów spisku, nie pociągając za sobą innych do ofiary, dowodził nie dających się przedawnić i zaprzeczyć praw narodu do niepodległości i samoistnego bytu, odepchnął zarzuty zdrady stanu, zaniechał wszelkiego tłumaczenia się lub usprawiedliwiania, poddał ocenie postępowanie mocarstw, które zawładnęły obszarem dawnej Rzeczypospolitej i wyjaśnił przyczyny tyloletnich wysiłków narodu, dążącego do uzyskania utraconej wolności. Była to płomienna, z piętnem godności wypowiedziana obrona, obrona nie własnej osoby, lecz obrona myśli, zasady, idei, dla której obwiniony się poświęcił, dla której zaparł się własnego „ja“, życie swoje postawił na kartę losu, dla której ostatnie niejako



pragnął oddać technienie. Toż i nie dziw, że obrona taka nie pozostała bez wrażenia na sędziach, że surowi wykonawcy prawa z pewnym szacunkiem spoglądali na człowieka przejętego do głębi słuszością sprawy. A przecież znaleźli się między rodakami ludzie, którzy postępek Schmitta potępili, tegoż obronę mianem „wyznania“ ochrzcili i zdanie swe podnieśli do potęgi zarzutu. Bolesny, dotkliwy to był cios dla więźnia, podrażnił najdelikatniejszy nerw jego ambicji i wywołał w duszy grę, walkę, burzę myśli i uczuć, tłoczących się nawałem do rozpalonych skroni bezbronnego.

Z kimże podzielić swą żalność, smutek i cierpienie? komu wyjaśnić, udowodnić pobudkę i przebieg faktu? przed kim odsłonić wnętrze złożyć spowiedź serca i myśli, gdy przyjaciele wśród murów zamknięci więziennych, gdy krwią złączonych brak na tym świecie, gdy współrodacy na wolności zdają się nie rozumieć, nie pojmować, nie odczuwać. Rozpacz ogarnia więźnia, strop zdaje się palić nad jego głową, płomienie buchają z czeluści podziemia, a on — stoi jak tytan, z gromem Jowisza w dłoni, nadziemskim uraga potęgom!...

Pod takim wrażeniem, wśród takich uczuć rozpaczcy kreśli Schmitt korespondencję do swej ukochanej — tajne wyznanie bolejącej duszy.

„Z uczuciem niewymownie błogiem, biorę ołówek do ręki — raz, że tym sposobem mogę pisemnie pomówić z panią, o której tyle śnię

i marzę, a potem, że może niektóre ze zdań, myśli, uczuć, wyobrażeń i pomysłów moich prze-  
 drą się przez rdzawą kratę, oddzielającą mnie  
 od wszystkich i wszystkiego i przeszedłszy na  
 łono społeczności polskiej, rozedmą iskrę miłości  
 ojczyzny i urzeczywistnią marzenie, pielęgnowa-  
 ne i pieśzczone tyle odemnie a w dwóch nastę-  
 pnych sonetach „Do Polek“ słabo odcieniowane;  
 chciej je pani przeczytać i innym udzielić . . .

Czy wyznałem wszystko? Tak pani mówiono.  
 Są zatem ludzie, co zimno i obojętnie patrząc na  
 losy kraju, bawią się miłą pogadanką o drugich,  
 szarpia sławę człowieka, który im się bronić nie  
 może. Z razu mocno mię to zabolalo, zwłaszcza,  
 że i pani zdałaś się o mnie powątpiewać —  
 w chwili zimnej rozwagi, przecież w innym  
 świetle wszystko się okazuje! Zaniósłem i ten  
 kielich do ust i gdyby nie to, że pani żądasz  
 odemnie wyjaśnienia, że panią to niepokoji, mil-  
 czałbym na zarzuty, zanadto bowiem niecnymi  
 ludźmi pogardzam, bym się miał przed nimi  
 usprawiedliwiać z kroku, którego ani ocenić, ani  
 pojąć nie zdołają! Dość by mi było na zaspoka-  
 jającym głosie mego sumienia — dla pani się  
 usprawiedliwiam!

„Wiele nieporozumień ztąd wynika, że ludzie  
 z tworzeniem się nowych pojęć, na ich oznacze-  
 nie nowych wyrazów nie wynajdą, tylko nasze  
 pojęcia pod wyrazy dawne podszywają, oznacza-  
 jąc niemi rzeczy najsprzeczniesze; zwą jednem

i tem samem słowem to, co wzniosłe, szlachetne, chlubne, jak również i to co podłe, nikiemne, ohydne. To samo można i o wyrazie „wyznać“ powiedzieć. Wnet on oznacza, tyle co spowiedź, wykrycie zbrodni przez samego zbrodniarza, do czego był powodowany żalem, skruchą i wyrzutami sumienia, uczuł, że zawinił moralnie. W śledztwie politycznem w naszej Polsce, były wyznania z żalu i skruchy, co miotwały tak bardzo zniewolniczałem sercem niektórych, że to nawet zbrodnią mienili, kto Polski sobie życzy — o takich nie warto mówić! Wyznania w takim śledztwie powodowane były najczęściej samolubstwem lub głupotą, lecz zawsze zwać je musimy — zdradą kraju. I mogłażeś pani na chwilę nawet przypuścić, że ja co moją Polskę więcej kocham, jak matka swe rodzone dziecko, jak kochanek swą oblubienicą, że ja tę samą Polskę wyznaniem mógłbym zdradzić? Mogłażeś pani na chwilę o mnie powątpiewać? O! pani przynajmniej znać mię mogłaś i wiedzieć, że rzeczy podłacej nigdy się nie dopuszczę! Krok mój w dzisiejszem śledztwie uczyniony, inni wprowadzie w braku nowego wyrazu, mogli nazwać wyznaniem, ja zaś uważam go jako czyn godny tylko wolnego i swą ojczyznę kochającego człowieka . . . . . \*)

\*) Niektóre ustępy listów Schmitta muszą być z kilku względów opuszczane. Zanadto świeże są jeszcze wypadki w których wiele żyjących w pośród nas działało osób iżby można odnośne listy i zawarte w nich szczegóły ogłaszać w całości drukiem.

Rządy zwa powstanie nasze nie narodowem, lecz dziełem, kilku jedynie wicherzycieli, co w ogólnem zaburzeniu, umyślili sobie za własnymi uganiać korzyściami, a na potwierdzenie tego śmiało przytoczyć mogą zeznania wielu uwięzionych. Wielu z nich mówi o przymusie, zagrażaniu śmiercią i t. p. brednie, w nędznej nadziei, że się wywikłają, stają się czołgajacymi niewolnikami! Mógłłem i ja tak uczynić? Mógłłem z obawy przed więzieniem, szubienicą stać się podobnym, wyprzeć się najdroższych przekonań, przyznać że sprawa Polski zbrodnicza, nie narodowa?

Co za granicą szerzono o sprawie naszej wiedziałem z gazet, z zeznań mnie przedkładanych poznałem, że rządy miały po części słusznąność szerzyć podobne o nas wieści . . . . .

. . . . .  
Każdy o sobie myślał, a sprawy nikt nie bronił? Tu mnie dwie drogi zostawały, gdybym się chciał być ocalić; albo zaprzeczyć zupełnie bytność mą pod Narajowem, albo ją przyznawszy nadmienić o przymusie. Pierwsze było niepodobne, drugie niegodne. Dziewięć zeznań bezpośrednich było przeciwko mnie, nietylko świadcząc, że byłem pod Narajowem, lecz że umyślnie tam pojechałem, że byłem w stosunkach z Teofilem Wiśniowskim, od niego miałem polecenia, że byłem duszą działań i zaburzeń w całej okolicy, gdzie mieszkalem, że pod Narajowem w karczmie nagliłem do pośpiechu, a w Pomorzanach a jedyniej opierałem się najusilniej rozjechaniu

się powstańców, dowodząc im, że kto raz za broń weźmie, to jej składać nie powinien, chyba z życiem razem. Pan... potwierdził zeznanie mego posłańca, który z listem do niego jeździł, dodając, że adres do niego, list zaś do Teofila Wiśniowskiego był pisany, gdyż panu... chodziło o to by wszystko zwalić na drugich! Huzar ranny, ze mną konfrontowany zaprzysiął, że się gorliwością odznaczałem, panowie..... i inni powiedzieli, że im śmiercią zagrażałem, gdy nie staną na termin, A... płótk jak Piekarski na mękach, co tylko wiedział... słowem dowód był przeciwko mnie tyle zupełny i piękny, że głupstwem by było chwilę jeno powątpiewać o potępieniu, gdy do tego dodamy ucieczkę moją i tę okoliczność, że już raz za zbrodnię stanu siedziałem. Czekałem tylko, aż mi wszystkie zeznania przedłożą, by na tle tych zarzutów wystąpić z odpowiedzią nie płatając nikogo, ktoby sam siebie nie płatał. Przed uwięzieniem jeszcze ułożyłem sobie plan mego zachowania przed sądem, i dlatego przystąpiłem do tak zwanego wyznania. Stanąłem w obronie sprawy . . . . .

A przechodząc dzieje rozbioru, powstań i zaburzeń od konfederacji Barskiej, aż do dziś wykazywałem, że Polak bez Polski niepodległej być nie może, i tak długo o nią walczyć będzie, aż albo całe plemię polskie w tej legnie walce, albo odzyska wolną ojczyznę . . . . .



Ztąd dalsze następstwo, że jako Polak dowiedziawszy się o działaniach, mających na celu wyswobodzenie kraju, przyłączyć się do nich musiałem, nie chcąc być niegodnym synem ojczyzny, lecz miałem i to na względzie, by ludzkość naszemu przedsięwzięciu towarzyszyła. Szczupłe ramy listu nie pozwalają mi powtórzyć wszystkiego. Stosunków politycznych, wyjąwszy z wyznającymi, i to nie całkiem — zupełnie zaprzeczyłem; jednego imienia, jednej drobnostki odepnąć się nie dowiedzieli, broniłem sprawy lecz nie potępiałem nikogo — powiedziałem, czego dotąd nikt się powiedzieć nie ważył.... Dość, gdy dodam, że sędziów nawet zmusiłem do szacunku i grzeczności. Nie jeden nazwie mię szaleńcem — marzycielem — gdyż nie może w sobie znaleźć na tyle odwagi. Bojaźliwy zwykle szydzi z odważnego, a ja do pierwszych należeć nie chcę i nie mogę. Wziąwszy w obronę kraju raz za broń, pożegnałem się na wieki z bojaźnią, obawą lub względami; bronić go będę słowem i orężem, i ani więzienia, ani szubienicy się nie lękam. Zabić mnie można, lecz spodlić nikt mnie nie zdoła — chybabym sam mu dopomógł. — Nienawiść, prześladowanie, okrucieństwo znieść mogę — litości i pogardy nie zniosę! . . . .

.....  
Nie jestem w stanie określić stanu mego umysłu; jest to coś, co opisać niepodobienstwem!... Życie moje od lat prawie poświęcając Polsce poświęcone; kochałem ją tem silniej, im więcej prze-

śladowań doznawałem, i ta miłość ojczyzny dziś do tego doszła stopnia, że graniczy z marzeniem. Dla niej się poświęcić niczem — jabym ją chciał uczynić wolną! i wierzaj mi pani, zda mi się, że mam do tego siły. Wiele rzeczy we mnie drzemało, które ostatnie zajścia i nieszczęścia ocknęły... mam to święte przekonanie, że mógłbym stać godnie w szeregu zbawców Polski. Uśmiechasz się pani na to? Lecz wglądnij proszę w dzieje ludzkości; Kto zbawiał kraje? Kto tworzył nowe wyznania? Ludzie, co uczuwszy w sobie posłannictwo rzucili się do tego, bezwzględni na wszystko — pragnęli nieodzownie i dokonali swego!

Myślisz pani, że tu zdolności rozstrzygały? O nie! siła niepochoamowana uczucia i nieugięta wola, jedność i stateczność celu, do którego każde ich dzieło, każdy krok zmierzał, w którym, gdyby w jednym głównem ognisku wszystkie ich myśli były zestrzelone.

Ztąd owa wymowa, której oprzeć się było niepodobna, a która zapalała słuchaczy! Ileż to zdolniejszych uczonych było i żyło w czasach tych reformatorów! A jednak nic nie zdziałali, bo nie czuli, nie widzieli w sobie tego posłannictwa. W dzisiejszych czasach, tak dziwny człowiek, jak Towiański, ileż hałasu narobił?

Nieraz w piersi mojej uczucie taką siłą pała, że gdyby Pigmalion, marmur zimny, głazy martwe mógłbym życiem natchnąć, mógłbym w nie przelać ducha — zdaje mi się, żebym wszystko

poruszył! Czuje, że wtedy mej wymowie nicby się nie oparło!

W ostatniem naszym nieszczęściu poznałem, jakie mnóstwo narzędzi do wielkiego dzieła zbawienia ojczyzny na polskiej rozrzucone ziemi, brak tylko ducha, aby je uporządkował, skupił. Wszyscy na narzędzie doskonali, lecz do samodzielności brak im wewnętrznej twórczości — brak zapału. Samolubstwo i interes krępują ich ducha więzami tak silnemi, że im potrzeba popchnięcia, uderzenia z zewnątrz, by ich z bezwładności wyruszyć. Nie myśl pani, że mnie nienawiść, miłość własna lub zarozumiałość zaślepia! Wiem, że Polska może być zbawioną, jeżeli się znajdzie duch, co zabijwszy w sobie samolubstwo, stargawszy wszelkie węzły wiążące go do świata zmysłowego, dla jednej myśli żyć tylko będzie. Lecz gdzież ten człowiek, gdzie to bezwarunkowe poświęcenie, gdzie to zupełne zapomnienie siebie? gdzież wreszcie to wewnętrzne przekonanie: „Ja to mogę, chcę i muszę zrobić!“

Spojrz pani na tych, co ze mną wspólnie w więzieniu. Wieluż narzeka nie na to, że sprawa upadła, lecz że oni cierpią, wieluż nie przeżywa nad tem, jak dalej działać i pracować dla kraju. Każdego „Ja“ kółkiem, w którym jego uczucia, myśli i chęci wiecznie się kręcą; raz wprowadzie, w chwili natchnionego zapału wyszli z tego kółka zaczarowanego, lecz z tem większą szybkością doń nawrócili, by może usnąć w niem na zawsze! Rzecz prosta — podobni ludzie mnie

nie pojmą, nie odczują co ja czuję, brak im ożywczego ognia! Nazwą mnie jedni może zapaleńcem, marzycielem lub szaleńcem, inni zarozumialcem; jeśli poczucie sił swoich jest zarozumiałością — jestem nim! Weź pani to wewnętrzne przekonanie, że mógłbym służyć ojczyźnie, dodaj do tego dzisiejsze me położenie, a poznasz, choć w zbliżonym stosunku co cierpię. Czuć że kraj w niewoli, być przytem w więzieniu, być gdyby duchy, których ongi czarno-księżnicy w butelki zamykali, lub jak orzeł z obciętymi skrzydłymi chodzić po ziemi, gdy eter mu ojczyzną, o! to cierpienie Prometeusza! Jego bogi przykuli do skały, a sęp odradzające pożerał jelito — i moje serce zakrwawia sęp taki, szponą i dzióbem drze je bezustannie... Wulkan gra w piersi... i jeśli mu czynem nie zrobię otworu, albo ją strzaska, lub spali na popiół!!

Wierzaj mi pani... położenie moje nieraz tak okropne, że mnie prawie do szaleństwa przyprowadza. Ileż to nocy bezsennych strawiłem? Szczęśliwy jeszcze, gdy czasami łza w nocnej cichości przelana, ulży mym mękom — lecz wyschłe oko i łzy mi nie daje! Ach, czyż tylko płakać mogę nad Polską, nad smutną dolą jej dzieci?!...“

Oto spowiedź Schmitta, odwzór skołatanej, wzburzonej duszy jego, obraz cierpień — tęsknoty, jak dnie więzienne..., niewięzły, jak marzenia wśród murów kaźni... I nie dziw temu. Zamknięty w klatkę, oderwany od życia czynów,

żył myślą. Zdania, pomysły, plany, przy pomocy bujnej wyobraźni, w tysiączne, a tysiączne łączyły się postacie, dzieliły się, by znów w inne wchodzić składy, a dusza pragnęła utrzymać porządek w tym chaosie myśli. Lecz wszystkie te popisy czysto teoretyczne, nie mogły go zadowolić; wzrastała chęć urzeczywistnienia ich, chęć czynów; więzienie stało na przeszkodzie; ztąd rozdwojenie w duszy, z tąd pewien widny w niej rozdźwięk...

Snać ulżył spowiedzią sercu, zrzucił tłoczący z piersi kamień, gdyż spokój, na wzór ciszy po gromach i burzy, widnieje w dalszych jego listach, smutnych na tle bezgranicznej miłości ojczyzny, na tle miłości swej ukochanej Leokadji.

W dniu 8 sierpnia 1846 ukończono śledztwo, którego wynikiem był wyrok — śmierci.

Wyrok ten nie stanowił dla Schmitta niespodzianki, przeczuwał go od dawna, przewidywał i był nań przygotowany.

„..... Pani i Polska — pisał wówczas do Leokadji — dźierzycie serce moje... pani i Polska zaprzątacie myśli moje.. stopniowanie jednej miłości, stopniowało drugą... aż zwalczyła Cię rywalka w sercu mojem, wydarła je pani... Polska zwyciężyła; czucie zostało w tej samej mocy jak dawniej, lecz myśli i chęci do ojczyzny przeszły... Pani jako Polka kochająca swą ojczyznę pojdziesz, zrozumiesz, co ten czuje, kto z zakrwawionem sercem patrzeć musi na ogromne, na straszliwe zwaliska i klęski spowod-



wane ostatniem przedsięwzięciem. Widzieć najpiękniejsze nadzieje, jakie dla Polski ukochanej zajaśniały, od razu zniszczone, widzieć część jej dzieci zabijaną przez własnych ziomków, drugą uwięzioną, trzecią przelekką nad wszelkie pojęcie, wiedzieć o tem, że w tej chwili tysiące oplakuje stratę lub uwięzienie najdroższych im istot, czuć, że tyle ofiar bez żadnej dla ojczyzny korzyści wpadło w paszczę losu, słyszeć klątwy i złorzeczenia rzucane na głowę tych, co tylko dobra i szczęścia chcieli, widzieć obojętność wielu, którzy nieszczęśliwym rozbitkom chwilowego przytułku w domach swych odmawiali. O! czuć to wszystko, spojierać na ogromną klęskę kraju, a nie doznawać mąk piekielnych, trzeba być samolubem, w którego sercu czucia, w którego głowie pojęcia zamarły. Płakać mi dziś nie nad sobą, ale nad Polską, płakać jak dziecko u zwłok matki . . . . .

Oto polska niewiasto, pamiętaj o tem, abyś w synu twoim starała się wychować zbawcę dla narodu twego, byś w niego miłość ojczyzny, jako pierwsze pojęcie wszczepiała, a młodą roślinkę człowieczą hartowała i przyzwyczajała do trudów i burz życia ciernistego, jakie Polaka, żyjącego dla Polski oczekuje... Dalej dziewico i niewiasto polska! pamiętaj o tem, abyś nietylko unikała zetknięcia się, czy to w towarzystwach, czy na zabawach z współziomkiem, który nie jest w sercu Polakiem, po polsku myślącym, dla Polski żyją-

cym. Niech twój kochanek, mąż lub syn, będzie  
 Polakiem duszą i sercem, pracującym dla dobra  
 kraju... oddalaj od siebie tych samolubów, któ-  
 rym obojętną ojczyzna, wyszydza i odpycha od  
 siebie wynarodowionych. Wy Polki macie broń  
 straszną, broń skuteczną!... Wielu, coby na prośby  
 dowody i przekonania najmędrsze niezważali  
 i wtedy nawet, gdyby ich zbrodniarzami okrzy-  
 czano, od wasodepchnięci, przez was wyszydza-  
 ni, smagani opinią publiczną, choć na chwilę  
 staną się napowrót Polakami, potem coraz bar-  
 dziej, aż w końcu wejdzie im to w używanie.  
 Załóżcie w tym celu między sobą towarzystwo,  
 działajcie bez przerwy, a wkrótce narodowość  
 u nas nie będzie słowem bez znaczenia, a Polska  
 wdzięczną wam będzie oswobodzenie swoje.  
 Droga Leokadjo! Jeżeli ta Polska ci miłą, jeżeli  
 ja Ci nie jestem obojętnym, zaklinam Cię, przy-  
 wiedź choć częściowo, w zakresie gdzie żyjesz  
 myśl tę do skutku. Niech mam to błogie prze-  
 konanie, że ta, dla której nawet chwilowo o  
 Polsce zapomniałem, godną była nie tylko jako  
 dziewczica, ale oraz jako Polka, najwyższej miłości!  
 Jest to ostatnia moja prośba... Staraj się między  
 rówieśniczkami Twemi zaprowadzić stowarzysze-  
 nie dla dźwigania ducha narodowego, a gdy kie-  
 dyś Polska będzie wolną, wy z dumą będziecie  
 mogły wyrzec, że i wam w znacznej części  
 wdzięczność swą, jako prawym winna obywatel-  
 kom. Bywaj mi zdrowa i wiecznie szczęśliwa...  
 żegnaj Cię na zawsze... Ciebie coś mi ciemnie

życia oświeciła! — Za Polskę i Ciebie modłę się szczerze, o Polsce i Tobie zawsze tylko myślę, Polskę i Ciebie kochać nie przestaję!...”

Tak pisał Schmitt, przed którym los zagrażał dalszą ścieżkę doczesnej wędrówki. — Nie naszym zadaniem poddawać ocenie objawiane przez niego myśli, lecz naszym obowiązkiem podnieść tę idealną miłość jego do ojczyzny, w której sprostać niewielu mu zdoła, dla przewyższenia niema prawie miejsca.

Odwróćmy na chwilę uwagę w inną stronę.

Jakkolwiek wykazy rządowe notowały tylko 434 doprowadzonych do końca procesów, jako wynik rozruchów z r. 1846, to naturalnie ilość zapełniających więzienia Lwowa i Krakowa znacznie wyższej dosięgała cyfry, wielu bowiem już w toku śledztwa odzyskiwało wolność dla braku dostatecznych poszlak i dowodów. We Lwowie obok „Małych Koszar“ było „pokarmelickie“ więzienie przy ulicy Halickiej zapełnione inkwizytami. — W „Małych koszarach“, w których jak wiadomo, osadzono Schmitta, było zajętych cel około 60. Więźniowie porozumiewali się ze sobą przy pomocy tajnych znaków, najczęściej pukaniem do ściany i odpowiedniemi grupowaniem stuknięć, w czem niektórzy doprowadzali do zdumiewającej wprawy i szybkości. Ze względu na konstrukcję gmachu był Schmitt w komunikacji tylko z 20 klatkami. Niezaniedbywał też w tym małym zakresie opiekować się towarzyszami wedle sił i możliwości i w przemycanych z wię-

zienia listach polecać tego lub owego więźnia szczególnej opiece gorliwych patryotów.

„...Wielu z współwięźniów“ — żalił się w korespondencji z 27 grudnia 1846 — ogołołoceni ze wszystkiego, — bez grosza, bez bielizny — wielu nie mają światła — niektórzy siedzą jeszcze pojedynczo. Stan tych ludzi okropny... skazani na łaskę w całym słowa znaczeniu.

Jadło które im dają tak złe, że wszelkie przechodzi wyobrażenie... dawniej daleko gorzej jeszcze było... dostają tak zwany wikt szpitalny, ale i ten nie wszyscy, bo dotąd niektórzy biorą jeszcze zwykłą strawę. Ci co nie mają własnej bielizny, muszą chodzić w grubych i źle wypieranych koszulach skarkowych. Dodawszy do tego zupełny brak książek, brak tytoniu, który w więzieniu ważniejszą odgrywa rolę, niż na świecie, dodawszy do tego nudy, można choć w przybliżeniu ocenić stan tych ludzi...

Kto ma pieniądze, wiele sobie ulżyć może, a już sama możność mienia książek w dostatecznej ilości, światło i tytoń są to dwie rzeczy, co więzienie znośniejsem robią. Prócz tego i nadzorcy dla takich grzeczniejsi... lecz biada nie mającemu. I u kogoż należy starać się o ulgę dla tych biednych? Ci co prawie cudem od podobnego uratowani losu, powinni pamiętać o cierpiących braciach. Wy Polki! gdy mężę obojętni, nie dajcie upadać braci, bądźcie damami dobroczynności. A że ta, którą ja pokochałem

do rzędu gorliwych Polek należeć będzie, jestem pewny i to mnie szczęśliwym i dumnym czyni...”

Dalsza treść listu wymienia nazwiska i stosunki tych, których Schmitt poleca opiece rodziców, i kończy się słowami: „Daruj pani, jeżeli czy to pisząc, czy rozmawiając z Nią podczas odwiedzin, same tylko smutne poruszam temata lecz wesołość w tej chwili w samolubnych tylko może gościć duszach. — Wesołość mnie pożegnała, pokój z nią uleciał... cierpię trojako — jako Polak, jako człowiek i jako kochanek.. płaczę Polski — wolności — i płaczę kochanki... możesz więc być wesołym?...“

Wesołość go pożegnała i nigdy prawie od-tąd nie zwykła była gościć w sercu jego. Myśl zawsze poważna, poważnie nastrajała oblicze, uśmiech, przelotny uśmiech do wyjątkowych w całym życiu zaliczał się zjawisk, a tylko, gdy sprawa publiczna, sprawa narodowa weszła na porządek dzienny, rozjaśniała się poorana ospą twarz Schmitta, błyszczało oko całym żarem ognia, i głos nabierał imponującej potęgi i siły.

Poprzednio już mieliśmy sposobność wspomnieć o Schmittcie na polu poezji, — Pierwsze utwory młodzieńczej fantazji przyjęto sympatycznie, a okoliczność ta zachęciła go do dalszej pracy. — Przed uwieżieniem jeszcze napisał większy poemat p. t. „Zdzisław“, w którym złożył wiele swych myśli i uczuć odzworował w bohaterach powieści Zdzisławie i Helenie miłość kraju, tak, jak ją sam czuł i pojmował. — Utwor



ten objętości sporego tomika, kreślony nierymowanym wierszem — owoc spiesznej, bo tylko trzech tygodniowej pracy, złożył autor w brulionie u Józefa Bema, w czystopisie zaś w domu Piotra Nawratila, z kąd niebawem przeszedł w obieg między patryotycznych rodaków.

Podczas długich dni więziennych nie ustawał w pracach literackich, lecz obok skwapliwego korzystania z otrzymywanych książek, obok kształcenia się w francuskim i angielskim języku, przenosił dalej na papier myśli i wrażenia i zebrał w ten sposób pokaźną ilość poezji na tle miłości ojczyzny, na tle cierpień narodu, miłości do rodziny, do ukochanej, lub na tle czynionych wśród murów kaźni spostrzeżeń.

Nieprzeczamy, iż jako poeta, jako wieszcz, nie dosięgnął Schmitt tej wyżyny, do jakiej go wyniosła miłość ojczyzny i badanie przeszłości dziejowej, nie możemy atoli odmówić mu w tej mierze bezwzględnie talentu, zwłaszcza jeśli zważymy okoliczności, wśród których tręcało o struny swej gęśli. Gdy zaś uwzględnimy zacne dążenie służenia bogdaj w ten sposób z za kraty ziomkom, musimy czuć wdzięczność do więźnia za jego skromne, lecz ciepłe pieśni ojczyste.

Część prac Schmitta stanęła u kaszty zecera nakładem lwowskiej księgarni Jabłońskiego, reszta pozostała w rękopisach, z których jeden p. t. „Wacław, czyli powstanie polskie w roku 1846“ posiada biblioteka Raczyńskich w Pozna-

niu, drugi zaś „Powaśnieni Bracia“ biblioteka Pawlikowskich we Lwowie.

By dać czytelnikom możność poznania Schmitta jako poetę, pozwałam sobie przytoczyć kilka wyjątków z jego utworów więziennych :

### Do mojej matki.

Łzami radości witałaś tve dziecie  
 Gdy mu się bramy otwierały świata,  
 A dusza matki w uczucia bogata,  
 Szczęsne wróżyła przybyszowi życie.  
 Modły zaś słałaś do Boga obfite,  
 Strzegłaś od cierpień młode jego lata,  
 Jakże za trudy dziś sroga zapłata!  
 Nadzieji wszelkich oglądasz rozbicie!  
 I dziś łzy lejesz — ale łzy rozpaczy;  
 Bo ci los syna na wieki wydziera,  
 W więzieniu matko! syn dzisiaj umiera...  
 Niech tobie chociaż Bóg szczęście wyznaczy.

. . . . .  
 . . . . .

### Do fiołków wręczonych mi w więzieniu.

Lube fiołki, posłanniki wiosny!  
 Wyście z Jej drogiej do mnie przyszły dłoni,  
 Oko wam moje współczucia łzę roni  
 Bo z Nią wam rozdział pewnie był żaloszny.  
 Szczęściu naszemu los równie zazdrośny  
 Z objąć nas lubych pchnął do więzień toni,  
 Gdzie słońce chmurnej nocy nie rozgoni;

Tu j-go promień nie wnika radośny.  
 Biedne fiołki! w ciemni śmierć was czeka  
 Wilgoć więzienna zmrozi wonne życie,  
 Choć łzą gorącą zlewam was obficie,  
 Lecz was łez moich nie ocali rzeka,  
 Ona niestety zgon jeno przewleka...  
 Gdybym choć z wami wszedł w grobu ukrycie!...

## Aforyzm.

Świat moralności swej kreśląc prawidła  
 Najskrzętniej wszędzie pozorów przestrzega,  
 Karzec każdego, kto od nich odbiega;  
 Ale bezkarną i zbrodnia obrzydła,  
 Byle zachować te zwierzchnie świecidła,  
 Na których cnota światowa polega!...

## Do mego losu

Wiecznie przekłeta niech ta chwila będzie:  
 Gdym po raz pierwszy światło zoczyłienne;  
 Już wtedy losy nieszczęściem brzemienne  
 Ku dziecka głowie leciały w zapędzie.  
 Znój mi był odtąd godłem bytu wszędzie,  
 Cierpienia, klęski trwają wciąż niezmiennie,  
 Gdy radość znika jak widziadło sennie,  
 Które nas krótko trzymało w obłędzie!  
 Czyż dla mnie wiecznie tylko dzikie ciernie?  
 Czyż kwiat mi żaden drogi nie umaji?...

. . . . .  
 . . . . .

## Do L. M. po otrzymaniu kwiatów.

Dziewico droga! znów mi dałaś kwiaty,  
 Które Twą własną uzbierałaś dłonią,  
 By mi wdziękami i czarowną wonią  
 Widok obrzydłej umilały kraty.  
 Gdy na wiosenne ich spoglądam szaty,  
 A myśli chmurne po głowie mi goją,  
 Marzę o Tobie — z rozbolałą skronią,  
 Bo w Tobie wszystkie me skupilem światy!  
 Czasem w mych piersiach nadzieja się nieci,  
 Że moich cierpień nie długie już chwile  
 I przyszłość lepsza uśmiechnie się mile;  
 Wtedy mi słońce znów błogo zaświeci,  
 Po tyłu burzach i srogiej zamieci...  
 Wiesz że gdzie? Iuba!... w spokojnej mogile...

## Do chłopaka żebrzącego,

*którego widywałem z za kraty więziennej, jak  
 napróżno błagał przechodniów o wsparcie.*

O, biedny chłopcze! już w tej bytu chwili,  
 Gdy innym płynie bieg życia wesoło,  
 Boleścią twoje piętnuje się czoło.  
 Nic tobie nędzy, ni trosk nie umili;  
 Nikt zgłodniałego wsparciem nie posili.  
 Błagalnem okiem spoglądasz w około;  
 Lecz znać cię nie chce twe rodzinne sioło,  
 Zimno od ciebie każdy się uchyli...  
 Zdejmujesz czapkę w poczuciu pokory,  
 Że znajdziesz wsparcie nadzieja cię ludzi,  
 Patrz! oto widok twej nędzy ich nudzi...

Idź raczej w puszczy nieprzejrzane bory,  
 Albo się udaj w dzikich zwierząt nory;  
 Tam znajdziesz litość — lecz nie tu — u ludzi!..

## Do zwiędłych róż.

Powiedły róże; zbladły świetne stroje,  
 Które z hojnej przyrody otrzymały dłoni;  
 Nie szła już więcej do koła swej woni,  
 Straciły biedne w ciemni życie swoje.  
 Próżno łez moich zlewały je zdroje!  
 Ach! one przyszły z tej lubej ustroni,  
 Dokąd myśl moja, dokąd serce goni..  
 Pokój tym różom! skończone ich znoje!  
 A jakżesz do nich podobne me losy!  
 Burza mnie goni od pięknych wybrzeży,  
 Gdzie szczęście moje i nadzieja leży.  
 Z tamtąd mn'e lube nie doleczą głosy;  
 Gdy ciężkie na mnie już się zwałą ciosy,  
 Nikt mnie pocieszyć wtedy nie przybieży.

W tym guście nucił więzień swe żale, wyrzucał w sonetach cierpienia. Odmienne od poprzednich są tegoż dalsze utwory „Żebrek“ i „Więzień“. Posłuchajmy początku pieśni:

## Żebrek.

Na ruskiej ziemi, u Karpat podnóża  
 Co tam od wieków jak olbrzymy stoją,  
 Jest włość bogata, zamożna i duża,  
 I słynna wszędzie w urodzajność swoją. --  
 Wieś rozrzucona po znacznej przestrzeni,



Białe swe w polu rozesała chaty,  
 Co wśród rozlicznych zieloności cieni,  
 Gdyby tam zesze wydają się kwiaty. —  
 Tu domek w środku drzew w majowym stroju,  
 Jak krasne dziewczę do cie się uśmiecha,  
 Bielszym się zdaje w zielonym zawoju,  
 Do twarzy jemu wita z słomy strzecha, —  
 Tam z za pagórka znów chatka ciekawa  
 Wciąż na dolinę przyległą pogląda;  
 Innej na górze schylona postawa,  
 Zda się, że do cie na dół przybiedz żąda. —  
 W dolinie chaty stoją wnet gromadnie  
 Jakby na radę poważną się zbiegły,  
 To przybliżone do siebie układnie.  
 To znów po polach w koło się rozległy...  
 Chaty niewielkie, ale nader schludne,  
 Każdą opłotek kamienny okala...

. . . . .  
 . . . . .

Domek z stodołą, niby mąż i żona  
 Mniejszych budynków potomstwo wydały.  
 Jedne tam matka przyciska do łona  
 Tu się do ojca inne pozbiegały. —  
 Widok tej włości za duszę cie chwyta,  
 Ujrzysz poezję z życiem tutaj w splocie  
 Cecha jej w każdym przedmiocie odbita,  
 Marzeń przyjemnych wywołuje krocie. —  
 Chciałbyś pozostać w tej wiejskiej ustroni,  
 W nadzieji złudnej, że ta błoga cisza,  
 Cierpienia, smutki i tęskność rozgoni  
 A szczęścia kwiatek zejdzie dla przybysza. —

Lecz i tu kwiaty mają swoje ciernie;  
 Los tu zarówno łązy i klęski si-je;  
 Szczęście wnet zuika, ale smutek wiernie,  
 Przetrwa zakwitłe i zwiędłe nadzieje. —

. . . . .  
 . . . . .

## Więzień

W ciemnej świetlicy, sklepionej wysoko,  
 Do której światło otwór w górze mały  
 Tak skąpo wpuszczał, że nie sprawne oko,  
 Przywykłe patrzeć na słońca blask cały,  
 Poznać w tej ciemni przedmiotów nie może  
 Stał o mur wsparty więzień już nie młody;  
 Na rękę, nogach żelazne obroże,  
 Srogie znamiona straconej swobody!  
 Czterdzieści razy słońce w swoim biegu,  
 Obeszło znaki po zwierzęcem kole,  
 Tyleż w niezmiennym następstwa szeregu  
 Zbożem złociste powiewały role,  
 Jak on raz pierwszy światło dzienne zoczył:  
 A jednak w męzkich lat kwiecie i sile,  
 Gdy ledwie w drugą część istnienia wkroczył  
 Patrz, już się nagiął, schylił ku mogile!  
 Włos niegdyś kruczcy, dziś szronem pokryty,  
 Policzki wklęsłe, wychudłe i blade,  
 W oczach zapadłych żar jeno wryty,  
 W nich bowiem czucia przemieszkiwać rade,  
 I w oku jego natchnień ogień plonie,  
 I blaskiem swoim ciemni tej przyświeca,  
 Choć pierś męczeńca pożera i chłonie,

Pomysły jednak zradza i podnieca. —  
 Na czole wzniosłem myśli dojrzysz znamie  
 Ślady je cierpień nawet nie zatarły  
 I choć omdlałe od więzów już ramie,  
 Choć żal, tęsknota duszę dzielną darły,  
 A ciało prawom hołdując przyrody,  
 Niezdolne długo znosić brzemię bytu,  
 Duch przecież wolny pospiesza w zawody,  
 By dojść do enoty wyniosłego szczytu!  
 Duma, łagodność na czole i w oku,  
 W piękną się całość godnie zespoliły,  
 Dumni, gdy wroga, przy słem widzi boku  
 Dla ziomków czuły, łagodny i miły!

. . . . .  
 . . . . .

Masz tu zwaliska precudnej budowy,  
 W nich przecież mistrza wielkiego są ślady.  
 Część zniszczyć mogły tyranów okowy,  
 Zgniłe powietrze i więzienne jady.  
 Lecz dusza, gdyby ów fenix bajeczny  
 W piękniejszej wyszła postaci z płomieni,  
 Byt jej bez granic, nieziemski, lecz wieczny,  
 Tyranów władza kształtu jej nie zmieni!

. . . . .  
 . . . . .

Ostatni przytoczony utwór był uzupełnieniem „Zdzisława“, — wręczył go autor znajomym za pośrednictwem ks. Tomasza Kincla, który po raz wtóry dzielił z Schmittem los w kaźni i został następnie wysłanym na osie-

dlenie do Celowca. — Opróżnione po ks. Kinelu miejsce zajął Alexander Bobczyński, później Karol Wierzejski. Poniżej siedzieli w celi Władysław Czaplicki, Kazimierz Górski, Alexander Pawlikowski, i L. Wisłocki, obok zaś Wilhelm Fox, z którym komunikował się Schmitt przez wywierconą w murze dziurę. — Otwór był tak obszernym, iż Fox widział dokładnie nieznane mu przedtem rysy twarzy sąsiada, uchwycił je na papier i sporządził z chleba portret, miłą pamiątkę dla bliskich sercu Henryka.

Ostateczne załatwienie procesu Narajowskiej wyprawy przewlekało się z dnia na dzień, z Wiednia bowiem, dokąd odeszły akta do zatwierdzenia wyroków, nie nadsełano odpowiedzi. Nadeszła wiosna w roku 1847, dzwony ogłosiły światu święto Zmartwychstania, lato nadeszło nawet, a Schmitta dręczyła zawsze jeszcze niepewność, dręczyło wyczekiwanie jutra, które mu miało przynieść decyzję losu. Nad głową jego zbierała się tymczasem gwałtowna burza.

W pierwszej połowie czerwca 1847 znaleziono w celi Tomasza Chołodeckiego tajny alfabet, a odkrycie to zniewoliło nadzór więzienny do przeprowadzenia ścisłych rewizyj po wszystkich zakątkach więziennych.

Wówczas spostrzeżono otwór w murze kaźni Schmitta, i zarządzono bezwłocznie usunięcie niedozwolonej komunikacji, odebrano więźniowi fajkę, kapciuch, nóż, zapalki, zapas pa-

pieru, lukrecję, której używał zamiast atramentu wówczas skonfiskowano mu dokonany z angielskiego przekład niektórych utworów Moora, i pozabawiono tym sposobem na czas dłuższy umysłowej rozrywki.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności uszedł tylko oka rewidujących poemat „Żebak”, którego 6300 wierszy leżało przechowanych w fałdach kołdry.

Jeżeli wynik rewizji nie małą sprawił przykrość Schmittowi, to był to tylko wstęp do owej głębokiej boleści, jakiej doznał na wiadomość o ponownem owdowieniu matki.

Nieszczęśliwa kobieta, której niewiele chwil pogodnych zajaśniało w życiu, której troski i zgryzoty przez mnogie lata nieodstępny były towarzyszem, utraciła znów podstawę egzystencji, ujrzała się samotna wśród walki o byt materialny, wśród walki o chleb codzienny; syn zaś — bezsilny — nadaremnie przemysliwał nad sposobem ulżenia jej doli, nad spełnieniem powinności, nakazanej mu sercem, nakazanej prawem przyrody. Do dawnych udręczeń, przybyło udręczenie nowe i zawisło całym brzemieniem nad biedną głową więźnia. Listy też Schmitta pełne są obawy, pełne niepokoju o przyszłość matki, a jasnym punktem dni jego więziennych jest wieść o opiece, jakiej się podjęła z całą gotowością, niestrudzona siostra miłosierdzia — Leokadja.



Przybyła nareszcie z Wiednia, w drugiej połowie Lipca 1847, wyczekiwana tak niecierpliwie decyzją, z zatwierdzeniem wyroków śmierci dla Teofila Wiśniowskiego, Józefa Kapuścińskiego i ks. Kmietowicza, zaś ze skazaniem innych na ciężkie więzienie w twierdzach, — Schmitta na lat dwadzieścia berneńskiej fortecy Spielbergu.

Wyrok ten uważał za dotkliwszy od wyroku śmierci. Lat dwadzieścia przepędzić odciętym od ludzi, od świata, zdala od ojczyzny, od wypadków rozgrywających się z biegiem czasu na ziemi rodzinnej, lat dwadzieścia nie żyć lecz wegetować, podobny raczej do automatu, niżli do ludzkiej istoty, lat dwadzieścia wykreślić z jestestwa swego, następnie nieświadomy postępu społeczeństwa, obcy nowym zapatrywaniom, obcy stosunkom, zapomniany, stanąć wśród zobojętniałych serc, nieznanych twarzy ziomeków, zanadto było przerażającą przyszłością dla Schmitta, by nie wywołać w duszy jego zwątpienia, zwątpienia graniczącego z rozpaczą.

On, przygotowany na śmierć za ideę, za ojczyznę, on pragnący tej śmierci, ujrzał się nagle przed pomurym obrazem długiej niewoli więziennej.

Dwie jeszcze myśli gnębiły jego umysł, — myśl o matce i o narzeczonej. Pierwsza ma syna — ma kochającego syna, lecz niema podpory lat swych sędziwych, druga, czyż może wyrzec się świata, życia, zamknąć się w sobie, by kiedyś, kiedyś, po wielu latach dopiero, wierna da-

nemu słowu, nazwać mężem złamanego wypadkami życia człowieka o steranych siłach, przestarzałych poglądach?...

Uwolnić w tych warunkach Leokadję od słowa uważał za swój obowiązek, i w tym też duchu, z zaparciem się własnej osoby apelował do jej rozwagi. Ostatecznie ułożono trzyletni termin do powzięcia stanowczego postanowienia, a ułożono w obec pogłoski o nastąpić mającej niebawem ogólnej amnestji dla politycznych przestępców.

Ażeby utrzymywać i nadal związek z krajem, rodziną i przyjaciółmi, umówił się Schmitt z swym kuzynem Cierpiądem o wymianę korespondencji i szczegółowych relacyj, pocieszany obietnicą odwiedzin w Bernie, dokąd miała Leokadja zjechać z Komorowską, siostrą skazanego na pięć lat do Hradczego kopca Ignacego hr. Komorowskiego. Tego ostatniego upatrzył sobie Schmitt za towarzysza kaźni bernenskiej, czyniąc starania, by życzeniu jego w tej mierze mogło stać się zadość.

Opuszczając po czternastomiesięcznym pobycie „Małe koszary“ niezapomniał o pozostałych współtowarzyszach niedoli, opisał dokładnie ich potrzeby i braki i polecił imiennie pamięci i opiece gorliwych rodaczek.

Wrażenie, sprawione w kraju wyrokami było potężne. Ludność pełna niepokoju, rozgorączkowana przebiegała ulice, manifestując swoje współczucie, znajomi i krewni skazanych, cisnęli się

do wrót więzienia, a kobiety żegnając bliskich sercu mdlały wśród płaczu i łkania. Sędziwa matka skazanego na piętnaście lat Spielbergu Tomasza Chołodeckiego tonąc w łzach cichych, utratą wzroku przepłacała trwogę o los ukochanego syna. Gdy 31 Lipca 1847 wykonano wyrok śmierci na Wiśniowskim i Kapuścińskim\*) tłumy pielgrzymów ciągnęły się przez trzy dni z miasta do stóp szubienicy, aż wreszcie policja rozpędzając i więząc gromadzące się osoby, położyła tamę patryotycznym objawom ludności stolicy prowincji.

W przeddzień stracenia Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, z brzaskiem poranku 1847 wyruszyło z „Małych koszar“ pięć zaprzęgów pod silną eskortą wojska. Kawalerzyści kłusując obok wozów trzymali karabinki w rękach, po dwóch z piechoty siedziało na każdej podwodzie, w środku zaś najeżonych bagnetów widniał biały strój eskortowanych więźniów. Turkot kół i pobrząk ciężkich okowów odbijał się donośnem echem po pustych ulicach miasta. Tu i ówdzie otwarły się drzwi i okiennice domostwa, tu i ówdzie ukazała się z wnętrza twarz ciekawego; jeden z przechodniów uchylił czapki, drugi przesłał słowem pożegnanie, inny skinieniem ręki, znów pierś innego westchnęła głęboko, a wóz za wozem

---

\*) Ks. Kmietowiczowi zmieniono karę śmierci na dożywotnie więzienie, ponieważ żaden z biskupów nie chciał zdjąć z niego kapłańskich święceń.

mknął szybko naprzód. Obok kościoła św. Anny milcząca gromadka serdeczniej od innych pożegnała więźniów, i długo, długo śledziła wzrokiem posuwające się Gródecką ulicą podwody.

Niebawem zniknęły kamienice i przedmiejskie domki Lwowa, ustępując miejsca wiejskim krajobrazom, których powab i urok ten dopiero prawdziwie ocenić zdoła, czyje oko spoczywało na martwych głazach i skrzypiących wrzeczniętach dusznych komnat więzień. Jakie wrażenia, jakie uczucia, jakie myśli snuły się, nurtowały w głębi duszy jadących -- łatwo każdy odgadnie.

Pomiędzy eskortowanymi znajdował się także Henryk Schmitt, zalecony jako niebezpieczny przestępca szczególnej baczości komendanta konwoju.

Des Loges, (takie było nazwisko niższego urzędnika, któremu dano misję przewiezienia więźniów do Berna) nie omieszkał mieć Schmitta ustawicznie na oku i śledzić lękliwie każde jego poruszenie. Obawa, grzecznego zresztą urzędnika dała w ciągu drogi powód do ogólnego śmiechu i żartów gdy Schmitt, kichnąwszy silnie, sięgnął szybkim ruchem ręki do kieszeni i ujrzał w tej chwili przytknięte do swej piersi wyloty pistoletów Des Loges'a.

Za przybyciem do Berna a raczej Spielbergu (Hradczego kopca, Grajgóry) ujrzeni się skazani wśród mnóstwa budynków i gmachów, poprzedzielanych bramami, ulicami i podwórzami, otoczonych strażą więzienną i oddziałami wojska.

Zabudowanie przeznaczone na pobyt przybyszów składało się z szeregow kaźni na dole i dwóch piętrach i z trzech piąter podziemnych, z których pierwsze t. j. najbliższe powierzchni, miało jeszcze u góry okienka, przy samej umieszczone powale, dalsze zaś, zapuszczane głębiej w ziemię otrzymywały słaby odbłask światła za pośrednictwem tunelu.

Przyjeżdżających wprowadzano do magazynów, gdzie po odbyciu ścisłej rewizji i odebraniu wszelkich prywatną własność stanowiących przedmiotów, po ostrzyżeniu i ogoleniu, niemniej założeniu ciężkich kajdan, otrzymywali numerowane ubranie, złożone z koszuli, drelichowych pantalonów do spinania bokiem na guziki, dalej z długiej niemieckiej kamizoli, spencera, białej perkalowej chustki na szyję i białego kapelusza. Jedna połowa kaftana, kamizelki i spodni była biała, druga w czarne ubarwiona paski. Gruba chustka do nosa, płóciennie skarpetki, pięć rękawików do kajdan i skórzany pasek, stanowiły resztę przyborów skazanych.\*)

Od chwili przebrania tracili więźniowie swę imię i nazwisko; — nazwiskiem ich był numer wybity na sukni. W izbach widniała wzorowa schludność i porządek; ściany i podłoga białe, okna jasne, łóżka zgrabne, czyste sienniki, prześcieradła, podszyte koce i włosienne poduszki.

---

\* Życie więźniów z r. 1846 w kaźniach lwowskich następni'e na Grajgórze, opisał szczegółowo i barwnie Władysław Czaplicki w „Pamiętnikach więźnia stanu“ Lwów 1863.



Nad łóżkiem półeczka, [na niej szczotka do włosów, grzebień, szczoteczka do zębów, szklanka i biała szlafmyca, obok gruby lecz czysty ręcznik. — Co soboty zmieniano pościel i bieliznę; służbę pełnili pospolici zbrodniarze. Śniadanie i podwieczorek składały się z mleka i rogalków lub chleba. — Jeżeli lekarz uznał za potrzebne dawano winną albo piwną polewkę, lub rosół. — Na obiad sporządzano rosół, mięso, pieczeń i leguminę, wnoszono zaś jedzenie na drewnianej tacy i w blaszanych pobielanych kubkach. — Na osobę było także wyznaczone zamiast zabronionego tytoniu, po pół łuta tabaki. — Książki naukowe zostały z czasem dozwolone, z wyjątkiem historycznych dzieł lub powieści. — Każdy z więźniów obowiązany był zrobić co tygodnia parę grubych, wełnianych pończoch, lecz pomimo zagrożenia karamą i innemi karami, mało kto oddawał zadaną robotę.

Dwa razy dziennie odbywali skazani jednogodzinną przechadzkę po podwórzu, spędzając tę chwilę przyjemnie, wesoło, gwarno wśród śpiewu narodowych pieśni i miłej pogadanki. — Co niedzieli słuchali mszy św. w kościółku, gdzie każdy oddział zajmował osobne miejsce w poprzedzielanych kratami kaplicach.

Po usilnych protestach i stanowczej opozycji przeciw goleniu brody i wąsów, zmieniono w tym względzie pierwotne rozporządzenie i zaprowadzono krótkie ostrzyganie zarostu. Wielkiem było

dobrodziejstwem, iż więźniowie za wzajemnem porozumieniem wybierali sobie towarzyszków kaźni, to też nigdy nie zaszła między nimi sprzeczka lub niezgoda, przeciwnie bezustanna panowała przyjaźń, najlepsza harmonia, wspólna pomoc i poświęcenie.

Bezpośrednim przełożonym więźniów był niejaki Thun, czy Thune, mężczyzna wieku lat około 45, małego wzrostu, szczupły, pozornie spokojny, obojętny nawet, cierpliwy, wytrwały i jako wykonawca wyższej woli i surowych przepisów dość nawet sympatyczny dla skazanych, w każdym razie sympatyczniejszy od starszego rangą von Adelsberga, pełnego zarozumiałości i dumy.

Dla uzupełnienia naszkicowanego obrazu życia więźniów Grajgóry pozwałam sobie przytoczyć ustępy listu Schmitta z 7. października 1847, który to list — tajna korespondencja — po rozmaitych kolejach doszedł pomimo krat, bram i wyniosłych murów twierdzy na miejsce przeznaczenia.

„... Stan nasz na Spielbergu jest nierównie gorszym niż się spodziewaliśmy; obchodzenie się, strój mieszkanie, wszystko okropne. — Część wielka siedzących tutaj, tj. 57, umieszczona na dole, a choć nie ma kosztów przy oknach, nie nie widać, gdyż mur obwodowy wszelki widok na świat czyni niemożliwym. Cele bardzo małe a mimo tego po trzech w jedną sadzają. — Na przechadzkę chodzimy dwa razy dziennie. —

W ogólności zdrowie nam służy, bawimy się nawet dość wesoło. — Książki mamy dozwolone, atoli nie wszystkie ; dają nam na raz prócz książeczki do nabożeństwa dwa dzieła. — Przecież trudno czytać, tak jest ciemno ; nabawiłem się już bólu oczu. — Szczęściem nabrałem wprawy w robieniu pończochy, i to zatrudnienie godne męża-wojownika, do tej posuwam doskonałości, że wnet, codziennie będę oddawał gotową parę pończoch. Obiecano nam wprawdzie, że nie długo zostaniemy w dolnych celach ; kiedy przejdziemy na górę, trudno przewidzieć. — Wszystkich, których tu przywieźli po 24. lipca 1847, wsadzono d. dolnych więzień ; dawniej przywiezieni siedzą na górze. — Bielizny nie wolno mieć swojej ; pieniądze tylko na owoce, książki i oprawę książek. Tablic dotychczas nie pozwalają, pocieszając nadzieją, że pozwolenie z Wiednia nadejdzie. — Co rozgłoszono we Lwowie o śmierci Roberta Chmielewskiego nie jest prawdziwem, Robert żyje, choć nie bardzo o zdrowy. Innych wiadomości ogólnych dać nie mogę. U nas tak nieodmiennie dzień jeden do drugiego podobny, jak kropla wody do drugiej ; żadnej różnicy, wciąż to samo ; te same ściany, kraty, kajdany, te zimne twarze gładzowanych nadzorców naszych..

Tu nic się nie zmienia ; zdaje się, że życie i jego odcienia zupełnie ustały, wieść nas żadna nie doleci, zamykają tak szczelnie, że kiedyś jako upiory w środku waszym staniemy, zapomnieni, niepoznani, z wyobrażeniami dawno za-

marłemi na świecie. — Okropnie pomyśleć nad taką przyszłością! Nam pisywać do rodziny nie wolno; gdy ztamtąd list nadejdzie i nie się w nim nie zawiera, coby za doniesienie polityczne wzięść można, wtedy taki list doręczają więźniowi w oryginale, jeśli zaś najmniejsza w nim wzmianka o czem niedozwolonem, dają odpis do przeczytania, odpowiedź zaś sami piszą nie pytając się nawet więźnia. — Kilku otrzymało już listy; Szersznik nie dostał oryginału, lecz odpis; musiało być w liście coś niedozwolonego. . . . . Przysłane nam z ojczyzny książki przyjmują i po jakimś czasie wręczają; dagerotypy również oddają . . . . . Chołodecki siedzi z Grochowalskim, oddając się naukom w przedmiotach gospodarstwa wiejskiego. — O Grochowalskim doniesienie jego rodzinie, że zdrów i chciałby się poświęcić nauce wyrabiania cukru z buraków, nie ma tylko dzieł ku temu potrzebnych, niech mu zatem przyszlą najlepsze w tym zawodzie podręczniki, bo nam tu trudno dostać katalogu ksiąg, nie możemy więc kupować sobie dobrych dzieł; dają najczęściej takie, których już kto inny kupować nie chce. — Chołodecki i Grochowalski proszą dalej o dagerotypy, również i o to, by, gdy już wszelka nadzieja ułaskawienia upadnie, podawano dla nich o wygnanie z kraju. — Czy się to na co przyda, nie wiem, lecz ja sobie tego nie życzę; cokolwiek wypadnie, niech mi przynajmniej zostanie nadzieja, że po wyjściu z więzienia powrócę do ukochanej ojczyzny. — Współ-

więźnie moi mają ciągle nadzieję ułaskawienia, ja jej zupełnie nie podzielam; trza będzie ponoś całe lat 20 odsiedzieć. — Przyrzekliście, że do roku przyjedzie ktoś do Berna w celu widzenia się ze mną. — Trudnoby na to uzyskać pozwolenia; nadzwyczajne w tym względzie będą przeszkody i podobno dotychczas nie było jeszcze przykładu, by politycznych więźniów na Spielbergu odwiedzano...

Pani Komorowskiej doniesiecie, że brat jej zdrow i dosyć wesoły; gdy nas przeniosą na górę, będę może z nim się przechadzał; byłbym z tego wielce zadowolonym. Wszyscy nasi przełożeni bardzo grzeczni, lecz zimni i nieczuli, gdyby posągi. Na każdą dolegliwość wiecznie znajdują wymówkę wyższych rozporządzeń..“.

Żaląc się na brak życia i jednostajność, nie spodziewał się Schmitt, iż już w najbliższych kilku tygodniach zdoła garstka skazanych natchnąć ożywczo ponure zakątki kazamat, przerwać monotonność, ułatwić jednostkom wzbogacanie wiedzy, nadać ich nauce odpowiedni kierunek i stworzyć wśród świata więziennego, odrębny światek, znany pod nazwą „Rzeczypospolitej Grajgórskiej“.

Oddział, do którego wcielono Schmitta, składał się z dziewięciu cel, w jednej celi po czterech mniej więcej więźniów, a całość tworzyli koledzy różnych warstw społeczeństwa, rozmaitych stopni wykształcenia, rozmaitego sposobu myślenia i zapatrywania na sprawę narodową



Aby zabić kielkujące niebawem po przybyciu skazanych nudy, chwycili się niektórzy nauki języka francuskiego, bez względu na to, czy mogli mieć nadzieję zbierania w przyszłości pożądaných owoców swej pracy. Widząc to doświadczeni poczęli badać młodszych co do ich przeszłości, wiedzy i stosunków, przychodzić im na tej podstawie z radą, niemniej udzielać osobiście nauk i objaśnień.

Dorywcza pomoc przekształciła się rychło w systematyczne odczyty, wykłady — raczej konwikt z wszelkim rygorem, podziałem godzin i przedmiotów, dalszym zaś następstwem rozpoczętych w listopadzie 1847 wykładów, było uorganizowanie wspomnianej Rzeczypospolitej. Organizację przeprowadzono w czasie od Bożego Narodzenia 1847 do Nowego Roku 1848, poczem odczytano w dniu Trzech Króli statut i wybrano jednogłośnie naczelnika, który dzierżył ster aż do dnia ogłoszenia amnestji.

Naczelnikiem był Ignacy hr. Komorowski, tegoż doradcami Józef Wysocki i Jan Andrusiakiewicz, marszałkiem izby Henryk Schmitt, sekretarzem Apolinary Stokowski, sędzią pokoju ks. Ludwik Gromadzki, prokuratorem zaś Władysław Domaradzki\*.

Nauki w ten sposób rozdzielono, iż Komorowski wykładał język francuski i leśnictwo,

---

\*) Cały statut organizacyjny Rzeczypospolitej Grajgórskiej przytoczony jest w Czaplickiego „Pamiętniku więźnia stanu“.

Schmitt historję i geografję w jednym, Apolinary Stokowski w drugim oddziale, Franciszek Romański gospodarstwo w jednym, Franciszek Toruński zaś w drugim oddziale. Ludwik Stokowski i Robert Nabelak uczyli robienia pończoch; podczas gdy Schmitt, A. Stokowski, Domaradzki, Wojciech Włodek i inni poświęcali się studjom matematyki.

Zarząd więzienny, uznając użyteczność i dobry wpływ stowarzyszenia, nie tylko nie sprzeciwiał się jego zamiarom, lecz przeciwnie poczynił pewne ustępstwa, pozwalając więźniom schodzić się dowolnie po kilku, lub kilkunastu do jednej kaźni i tylko w porze obiadu lub na noc powracać do swojej celi.

Przywilej taki umożliwiał obchody narodowych uroczystości, i dał też sposobność do odprawienia w dniu 21 lutego 1848, jako w drugą rocznicę krwawych scen r. 1846, formalnych niesporów żałobnych.

W skromnej celi ks. Szersznika na pokrytej czarnym kocem podstawie krosienek, widniał zatknięty w piramidę książek znak Zbawiciela, obok otwarte kartki brewiarza. U stopni improwizowanego ołtarza trzech kapłanów - więźniów, drżącym od wzruszenia głosem intonowało nabożne pieśni, a dokoła tuliła się gromadka druhów niedoli, wznosiła w pokorze modły do Stwórcy Wszechświata, powtarzała słowa sług Bożych, w wspólnym śpiewie, cichem westchnieniu szukała pociechy i pokrzepienia, błagała z

całem wylaniem duszy nie o ulgę losu dla siebie, nie o pomyślność dla swojej osoby, ale o dobro dla kraju, o dobro, o oświatę dla tego nie-szczęśliwego ludu, którego dłonie nie oschły jeszcze od wytoczonej strugami krwi bratniej, którego umysł nie pojał zgrozy, wołających o pomstę do nieba czynów.

I zasępiło się czoło pobożnych i łzy po męskiej spływały zrenicy, a myśl przeniosła się z murów więziennych ku dalekim obszarom rodzinnego kraju, z pośród głązów i rdzawej kraty, ku ciepłym ogniskom domowych poddaszy.

„Anioł pański“ zaintonowali kapłani, „Anioł pański“ zanucili chórem zebrani... i popłynął śpiew smętny po stropie kazamat... a na dworze żywioły w pełnej grały sile; wiatr szumiał, huczał, wył, świstał, zawodził po korytarzach, kominach, niby skarga żałośnie niewinnych dusz pomordowanych.

W tem zadzwoniły klucze kłódek, drzwi się więzień rozwarły, wchodzący strażnik i pospolity zbrodniarz padli na kolana, przejęci do głębi poważnym nastrojem modlitwy.

Był to tryumf, niejako wróżba skruchy i żalu zaślepionej braci, która na swoim czole wybiła piętno zbrodniarzy...

Podczas kiedy więźniowie z zapalem oddawali się nauce, przygotowywał tok wypadków dziejowych donośne zmiany, które miały niebawem otworzyć im bramy twierdzy. W dniu 24 lutego 1848 wybuchła rewolucja w Paryżu;

Ludwik Filip wyjechał z Francji, runął tron królewski, na gruzach jego wzniosła się Rzeczpospolita, a po całej Europie powiał duch wolności. W związku z temi zdarzeniami, zuiewoliła rewolucja berlińska króla do ogłoszenia amnestji dla politycznych przestępców, lud berliński udał się do Moabitu i uwolniwszy uwięzionych tamże za wypadki w r. 1846 Polaków, ciągnął w tryumfie ich wóz wśród okrzyków: „Niech żyje Polska! Niech żyją Niemcy!“

W Austrii złożył Metternich dostojenstwo swoje, wyjechał do Anglii, cesarz Ferdynand zapewnił ludom swojego państwa konstytucję, Lwowianie przypieśli na wieść o rewolucji wiedeńskiej, narodowe kokardy, przywdziali strój ojców i wybrali komitet, który w adresie do tronu wyraził demokratyczne, zarazem polskie zasady mieszkańców nadpełtawiańskiej stolicy, żądał upragnionego od dawna zniesienia pańszczyzny, uwłaszczenia ludu, samorządu miejskiego, gwardji narodowej, szkół miejskich, sądów przysięgłych, wolności druku i t. p. i t. p.

Ułożony przez Smolkę i Ziemiałkowskiego adres, pochwycił w swe ręce Jan Dobrzański, zbierając przy pomocy Dzierzkowskiego w redakcji „Dziennika mód“ podpisy ludności, która tłumnie zapełniała przyległe ulice, cisnąc się do redakcyjnych stołów. Entuzjazm rósł z każdą godziną, wieczorami stwierdzała iluminacja powszechną radość, deputacja po deputacji jawiły się przed gubernatorem Stadionem, zyskując co

raz to nowe ustępstwa, a w ciągu trzech dni zawiązała się w mieście narodowa gwardja.

Skazani na Grajgórze, odcięci od świata, nie przeczuwali wcale przewrotu politycznych stosunków, a jakkolwiek niektórzy z nich spostrzegli u stóp Spielbergu zebrane tłumy ludności i zauważyli niewidziane dotąd szeregi ćwiczącej się bronią młodzieży, nie poświęcali zjawisku bliższej uwagi.

Aż nadszedł dzień 23 marca 1848, w którym wszystkie kaźnie stanęły otworem, więźniowie ujrzeni się na jednym zebrani podwórz, gubernator Lazansky w otoczeniu urzędników odczytał po stosownej przemowie akt, przynoszący amnestję, podał rękę najstarszemu wiekiem Stanisławowi Brześciańskiemu i powitał zebranych jako wolnych obywateli.

Ogólną radość, powszechne uniesienie mąciła tylko myśl, iż pięciu towarzyszy wyłączono od udziału w akcie łaski...

Wracamy do was bracia ukochani...

Pękły okowy... myśmy wam oddani...

Obyśmy szczęsnym kraj ujrzeli drogi,

Wolność w ojczyste wprowadzając progi...

. . . . .

Szlachetne Polki! mieszkanki Krakowa,

Łżą nas w ojczystej dziś witacie stronie,

W kwiaty i wieńce zdobiąc nasze skronie;

Toż więzień — rodak w imieniu swych braci

Polkiem „Bóg zapłać“ dług wdzięczności płaci,  
Wdzięczność z nas każdy w swem sercu prze-  
[chowa...

Tak improwizował Schmitt powracając wraz z towarzyszami w domowe progi. Już w samym Bernie objawiała ludność, zwłaszcza zaś szlachetne Morawianki, nieudaną sympatję dla uwolnionych Polaków, a objawy takiej sympatji spotężniały w granicach kraju do ogólnego entuzjazmu.

Za przybyciem do Lwowa, znalazł Schmitt rychło odpowiednie pole do działania. Korzystając z licznych znajomości i przyjaźni obywatelskich domów, popierał we własnym zakresie zabiegi Rady narodowej, nalegającej na właścicieli ziemskich, by spieszyli z bezinteresownem uwłaszczaniem włościan, a spieszyli tem bardziej, że rząd ogłosił w reskrypcie 18 kwietnia, zniesienie pańszczyzny z dniem 15 maja 1848 za stosownem wynagrodzeniem poszkodowanych przez to w swych prawach właścicieli ziemskich.

Jakkolwiek wielu obywateli namyślało się i odkładało na później termin stanowczej decyzji, to z drugiej strony znalazło się wielu chętnych, którzy za wzorem Henryka Janki i Henryka Kurdwanowskiego, przemienili w czyn głoszone od lat tylu zamiary i usiłowania. Do rzędu tych ostatnich należała F. Komorowska z Łuczye obok Sokala, której list donoszący Schmittowi o zniesieniu pańszczyzny umieszcza-



my tutaj jako ilustrację ówczesnego ducha pa-trjotycznago i zacnych zamiarów, gorliwych o dobro kraju obywateli.

„Dawno byłabym przesłała Panu Dobrodziejowi wyrazy mych wdzięcznych uczuć, gdyby nie ciągle przeciwności i niepokoje umysłowe, które mi odejmowały możność uczynienia tego. Dziś już przynajmniej z tego względu jestem zadowolona, że uczyniła to, com najwięcej sobie życzyła. Pańszczyznę darowałam z najlepszym dotąd skutkiem. Wiele się do wdzięczności włościan przyczyniło poprzednie darowanie im długów i wszelkich zaległości. Był to dzień radości, chwila szczęścia dla mnie i dla dzieci moich. Oznajmienie ludziom darowania pańszczyzny, tłumaczenia na rozliczne ich zapytania, traktament i tysiączne oznaki wzajemnej przychylności zabrały nam godzin trzy prawie.

Obie gromady równie były zadowolone i zdaje się, iż zakłęcie się moje na dzieci obecne, że ja sama z wolnej woli moją własność im darowuję, i że nikt nie ma prawa im tego odebrać, lub z swej strony darować, ani też mnie za to wynagrodzić, co ja dla włościan moich z serca robię i z własnej woli, iż to zapewnienie moje mówię, znalazło wiarę i odgłos w ich sercu. Nazajutrz tj. 28 kwietnia, przeraził mnie przyjazd komisarza rządowego. Przyznam się Panu, że tak silnego doznałam wzruszenia i wzburzenia na ten widok, przytem tak mocno uczułam prawo moje, iż za żadną cenę nie byłabym do-

puściła tych samych ludzi, którym dzień pierwszej głosiłam świętą prawdę, wprowadzać w błąd przez ogłaszanie odmiennego rozporządzenia. Przy komisarzu więc ogłosiłam tym samym sposobem, jak dzień przedtem, trzeciej gromadzie Leszczotowa, należącej do szwagra mego, darowanie pańszczyzny, co również mile zostało przyjętem. Zarazem oświadczyłam, iż obiecane za to właścicielom wynagrodzenie, ja odstępuję gromadom na szkołkę, dom ochrony, szpital i t. p., co też komisarz im powtórzył. Miło mi było czytać w liście Pana Dobrodzieja parę dni później tę samą radę, już przezemnie zastosowaną. Oh! jakby to było do życzenia, żeby jednomyślnie uczyniono tak w całym kraju! . . .

. . . . .  
 Dosyć męczarni pomyśleć o zaczepkach ciągłych, którym tak cudownie się opieracie. Niech Bóg wspiera cierpliwość i wytrwałość ludu kochanego i młodzieży, a umacnia wpływ pracujących dla dobra społeczeństwa. Gorące modły o to zaszęłają, wszyscy dobrze życzący do Sprawiedliwości Boga, który oby wszechmocnie dopomagał rozpoczętemu dziełu.....“

W miesiącu maju 1848 wyjechał Schmitt w okolice Brodów, Radziechowa, Sokala i Żółkwi w sprawie wyborów do sejmu ustawodawczego, mającego się zebrać niebawem w stolicy państwa, niemniej w sprawie organizacji Rad obwodowych, Stowarzyszenia prywatnych urzędników i Towarzystwa braci. W Radziechowie liczne

grono wyborców nalegało na niego, by kandydował sam na posła do sejmu, gdy jednak Rada narodowa zaleciła z swej strony Ruebenbauera, duchowieństwo zaś ruskie popierało dziekana z Dobrotworu, zrzekł się Schmitt głosów na korzyść proponowanego przez Radę kandydata.

Wybory nie odpowiedziały atoli tutaj podobnie, jak w wielu innych miejscowościach, życzeniom i zamysłom Rady narodowej, do czego przyczyniła się między innemi kontragitacja, powołanej świeżo do życia Rady ruskiej, która zyskała znaczną siłę w całym prawie gr. kat. klerze. Zajmującym był przebieg wyborów w Sokalu, opisany w liście Schmitta z 20 czerwca 1848 r.

„Nasamprzód rano — pisał on — przed zaczęciem jeszcze wyborów, strażnicy i żandarmi podchmieleni, rozpoczęli burdę, a gdy magistrat jednego z nich uwięził, rzucili się na urzędników, zranili w palce syndyka i poturbowali trochę obwodowego komisarza, który chciał ich powagą urzędu swego ująć w karby posłuszeństwa. Nareszcie zaczęto się z wszystkich stron zjeżdżać do wyborów, a ponieważ gromady powołały na wyborców przeważnie chłopów lub księży, stali chłopci gromadami, naradzając się nad tem, kogoby wybrać posłem. Inteligencja małą stanowiła częśćkę, a wybrano ją tam tylko, gdzie wyzyskawszy podejrziliwość chłopów i wstręt do podpisywania, zapowiedziano przed wyborami jeszcze,

iż trzeba będzie podpisać protokół wyborczy, na co natychmiast znikali. Skupionych chłopów zaczęli obrabiać księża, przedkładając im, że nikogo z panów nie powinni obierać za posła, bo z tego nie dobrego nie będzie i radzili, żeby albo chłopą, albo księdza, albo urzędnika wybierali. Najbardziej nalegali na nich, żeby obrali Stadjona. Inteligencja widząc co się święci, zaprotestowała przeciw wyborom w tem miejscu, przytaczając jako powód, gwałt popełniony na osobie komisarza przez żandarmów, tem bardziej, że komisarz nie chciał ręczyć za bezpieczeństwo wyborców, zamierzających przemawiać do zgromadzenia, by mu przedstawić ważność przedsiębrać się mającego dzieła. Na dziewięćdziesięciu kilku wyborców, było tylko jedenastu z inteligencji, kilku żydów i mieszczan z nią trzymających, reszta mieszczenie, chłopci i księża. Po południu o czwartej rozdano kartki, około szóstej skończyło się głosowanie i hr. Franciszek Stadjon gubernator Galicji, został obrany na posła ziemi sokalskiej.

Okropna nienawiść tutaj między chłopami, przeciw tak zwanym „Lachom“. Wiecie już, że Komorowska przy darowaniu pańszczyzny, darowała gromadom remanenta, długi i wynagrodzenie, obiecane od rządu i dziś im jeszcze daje daremnie drzewo na opał i budynki; powinna ich więc była ująć dla siebie. W czasie wyborów. gdy się prawyborcy zeszli do dworu i gdy już się wszystko skończyło, zawezwano

komisję wyborczą do podpisania protokołu; lecz ta odrzekła, że nie podpisze. Przemawiał najpierw mandatarjusz, potem przemawiał ksiądz, zaklinając się na wszystko, że tu niema podstępów, na to wszystko odpowiadali: „jak komisarz powie to podpiszemy“. Zgniewało mnie to, a lubo do tej chwili milczałem, powiedziałem wójtowi słowa prawdy. Wieczorem, gdy sobie chłopci w karczmie podpili, zaczęli nad tem rozmyślać, co ja za jeden, zkał i kiedy przyjechałem, i nuż po radę do strażników, czyliby to nie wypadało zawieść mnie do Żółkwi, „bo on nas bardzo do podpisywania namawiał“. Strażnicy dopiero wybili im z głowy ten zamiar..“

Jeżeli zbieg okoliczności nie dozwolił Schmittowi służyć krajowi jako poseł do sejmu, to natomiast znalazł on odpowiednie dla siebie zajęcie w gronie Rady narodowej obwodu Żółkiewskiego. Dekret powołania na członka Rady, uwiadoczniający w swej jędrnej stylizacji, zasady demokratyczne, zasady równości wobec prawa, bez różnicy stanu i wyznania opiewał:

**Wolność! Równość! Braterstwo!**

Rada Narodowa obwodu N. N. na posiedzeniu dnia . . miesiąca . . . . . roku 18 . . obrała Ciebie, szanowny Obywatelu, członkiem zgromadzenia swojego. Spodziewa się, że od tej usługi krajowej usuwać się nie zechcesz a wezwaniu temu zadosyć czyniąc, na posiedzenia



w mieście obwodowem . . . . . odbywane po odebraniu niniejszego zaproszenia, chętnie pospieszysz.

. . . . . dnia . . . miesiąca . . . . . r. 18 . .

Prezylujący N. N.                      Sekretarz N. N.

Do szanownego obywatela . . . . .

w . . . . .

Dalsze pisma Rady narodowej rozpoczynały się od słów: „Cześć i pozdrowienie!...”

Stowarzyszenie urzędników prywatnych, związane 26 czerwca 1848 rozwijało szybko swą czynność, zakładając w pojedynczych okolicach sekcje. W Tartakowie obrano na zjeździe 10 lipca prezesem Schmitta, który w zamian za objawione mu zaufanie, chwycił z całą energją ster instytucji w dłonie, uważając ją w obec licznego zastępu istniejących w kraju prywatnych urzędników, jako donośny czynnik społecznej pracy. Energia była tem bardziej potrzebna, że wielu z arystokracji potępiło stowarzyszenie, zabraniało swym urzędnikom przystępywać do związku i usuwało ich nawet z zajmowanych posad.

Dalszem polem na którem spotykamy pracującego Schmitta było „Towarzystwo braci“, mające za cel rozszerzać oświatę między ludem i zbliżać na tej drodze poważnione, stojące wrogo przeciw sobie umysły.

Łatwo zrozumieć, że wyliczone zajęcia wymagały ustawicznego związku z stolicą kraju i dokładnych relacji o przebiegu odgrywających



się tamże wypadków. W tej mierze szli Schmittowi na rękę, kapitan gwardji Ignacy Komorowski i Władysław Domaradzki, którzy utrzymywali żywą wymianę listów z przyjacielem i przesyłali mu szczegółowe sprawozdania.

Jeżeli udział w sprawach publicznych, jeżeli wymiana korespondencji stały w związku z fizyczną kwestją czasu, to wchodził tutaj w grę inny jeszcze ważny czynnik, jakim był byt materialny i to nie tylko był własny, ale i egzystencja matki, pozostającej we Lwowie bez dostatecznych środków utrzymania. W dwóch kierunkach zdobywał sobie Schmitt zasoby materialne; guwernerką w domu Komorowskiej i pracą literacką, gdzie przeszedł z mniej odpowiedniego dla jego zdolności pola poezji, na pole prozy. Druk sonet, rozpoczęty przez Jabłońskiego, złotwim postępował krokiem, i został niebawem przez rząd zakazany, napisana po powrocie do kraju tragedia, piętnująca bieżące stosunki społeczne, zawiodła nadzieje autora, natomiast nakreślił on opis więzienia we Lwowie i Spielbergu, chwycił się myśli badania i szkicowania dziejów ojczystrych i zyskał współudział w publicystyce, która ujmowana przez cały szereg lat w ciasne granice codziennych zapisków kronikarskich, poddawana surowej cenzurze, wlokąca żywot dzięki tylko energji i wytrwałości kilku gorliwych patriotów, wywalczała właśnie wśród ery swobód konstytucyjnych i narodowych, należne jej stanowisko.

Rozpatrywanie i zagłębianie się w przeszłość narodu polskiego, nie było wprawdzie nowym projektem u Schmitta, lecz nową była myśl wstąpienia do szeregu dziejopisarzy, rzucania na papier własnych zdań i poglądów. W czasie studjów szkolnych odwiedzał pilnie biblioteki, w czasie długich dni więziennych we Lwowie, wertował skrzętnie zapiski kronikarzy, podczas pobytu w twierdzy Berneńskiej próbował sił, jako prelegent dziejów, obecnie zaś poszedł o krok dalej i stanął na właściwej drodze, po której kroczył wytrwale przez drugą połowę życia, z chlubą dla siebie, a z pożytkiem dla społeczeństwa.

„Układam“ pisał 23 lipca 1848 „dzieje polskie podług trzech autorów, Bandtkiego, Lelewela i Albertrandego, może kiedyś sprawdziwszy z kronik te lekkie zarysy, uzupełnię i drukiem ogłoszę — tymczasem służą mi do wykładu dla Frania. Są one dość obszerne i wyniesą przeszło 20 arkuszy bito pisanych. Podział i uporządkowanie wypadków zrobiłem podług własnego widzenia rzeczy; starałem się o ile możliwości o zwięzłość, nie opuszczając przecież nic ważniejszego.

Teraz piszę krytykę przeciw Franciszkowi Wiśniowskiemu, który wydał dziełko pod tytułem „Manifest w sprawie ojczyzny“, w którym robi nadzieje szlachcie, że pańszczyzna nie na zawsze obaloną, że ją można napowrót zaprowadzić i że wolno chłopów wywłaszczyć, bo nikt nie miał

prawa nadawać im własności gruntów. Jest to apostoł dziwnych uroszczeń, a dziełko jego tyle ma pozornych prawdopodobieństw w sobie, że łatwo może uwieść wglądających mniej w rzeczy i doprowadzić do jakiego niedorzecznego, krajowi szkodliwego kroku. Tem niebezpieczniejszem to dziełko, gdyż utwierdza lud w mniemaniu, że za powrotem polskich rządów powróciłaby i pańszczyzna. Lękam się by przeciwnicy nie wyzyskali tego dziełka w celu większego rozjątrzenia chłopów...

Nie potrzebujemy bliżej wykazywać ile czasu, jak wielkiego natężenia sił wymagały czynności, które Schmitt na swoje naładował barki; toż widzimy go pracującego bez wytchnienia, siedzącego po kilkanaście godzin dziennie przy stoliku, redukującego wypoczynek do minimalnych granic, bez względu na nadwątlone zdrowie, oddanego jedynie przyjętym na siebie obowiązkom i zakreślonym programem zajęciom. Pojęcie mrówczej wytrwałości i pracy, można w ogóle do niego w całej pełni, a przymiot ten wraz z gorącą miłością ojczyzny i poświęceniem dla kraju, stanowią trójlistną ozdobę jego charakteru. U schyłku nawet życia, gdy siły stargane wypowiadały posłuszeństwo, pokonywała żelazna wola trudności.

Wschód słońca zastawał go zwykle przy pracy, którą północna dopiero przerywała godzina; dla krzepienia zaś znużonego umysłu używał bezustannie cygar i połykał co chwila po kilka

kropel silnej kawy, stojącej w pogotowiu na biurku.

Uwaga, iż Galicję, a zwłaszcza Lwów odznacza gwałtowna polemika i bezwzględny krytycyzm, wywołujący gorączkę gniewu i utrudniający pojednanie blisko nawet siebie stojących stronnictw, znalazła uzasadnienie w wypadkach r. 1848, które cechowała burzliwa wrzawa wśród patriotycznych zgromadzeń i narodowych demonstracyj, wrzawa znajdująca spotęgowane echo w publicznych czasopismach, wywołana walką z rządem i tegoż „bejratem“, dalej walką z Radą ruską i walką demokracji z arystokracją. Ta ostatnia zawiązała 3 maja 1848 „Stowarzyszenie ziemiańskie“ dążące do rozwiązania Rady narodowej i ujęcia kierunku spraw w własne ręce i zbliżyła się mimo woli do rządu. Powstałe ztąd rozdrażnienie tak się rozszerzyło wśród ludności, iż nawet zecerzy nie chcieli składać redagowanego przez Hilarego Maciszewskiego organu ziemian p. t. „Polska“, każdy zaś dbały o opinię patrijota, wystrzegał się z nimi spółki i przyjaźni. Walka stronnictw przechodząc na rozmaite warstwy społeczeństwa, udzieliła się też i Izraelitom, którzy 14 czerwca 1848, stoczyli między sobą zaciętą bitwę na ulicach Lwowa. Łada sprawa wywoływała częstokroć, wśród ogólnego naprężenia umysłów gwałtowną burzę. Gdy na sesję wydziału miejskiego, przyszło stylizowane po niemiecku pismo rady apelacyjnego Edera, odrzucono je bezwzględnie na zasadzie,

„że Lwów był, jest i będzie czysto polskiem miastem, nie przyjmuje więc nie w niemieckim języku“. Uwaga, by odczytać pismo, gdyż może dotyczyć ważnego interesu, spowodowała silny protest. Adwokat Menkes postawił wniosek, by pismo odesłać nieprzeczytane z uwagą, iż wydział lwowski miejski nie rozumie po niemiecku, wzywa więc apelację do przedłożenia pisma w polskim języku. Oryginalnym był zbieg okoliczności, iż mowca w niemieckim przemawiając języku, twierdził, że po niemiecku nie rozumie. Menkes był jednym z najsprężystszych adwokatów. Gdy przemawiał w Radzie narodowej przeciw kongresowi, a dano mu znać, że go zupełnie okradziono, nie zmieszał się tym wypadkiem, przemawiał dalej jeszcze jaki kwandrans, dokończył mowę i dopiero opuścił posiedzenie.

Przy nadarzających się sposobnościach, przynosiła gwardja narodowa usługę publicznemu bezpieczeństwu, bacząc pilnie, by ochronić masy od intryg, pragnących wszelkimi sposobami wywołać powstanie, do czego nie brakło dogodnej okazji, n. p. przy zamierzonej przez rząd rekrutacji w pierwszej połowie lipca 1848, podczas przybycia generała Dwernickiego do Lwowa itp. Opis tej ostatniej uroczystości, niemniej opis jubileuszu odsieczy wiedeńskiej, podajemy podług korespondencji Władysława Domaradzkiego.

„Przybycie Dwernickiego narobiło wiele hałasu. Zaraz na drugi dzień po Twoim wyjeździe miała być wielka serenada, lecz odłożono ją do



czwartku, w którym to dniu robił Dwernicki przegląd całej gwardji obok św. Jura. Trzeba Ci wiedzieć, że on z Hammersteinem byli razem adjutantami i że go Hammerstein zaprosił do siebie na obiad. Obiad trwał długo; gwardja i cała ludność czekały więciej niż dwie godziny w nieznośnym upale na niego. Gdy wjeżdżał na plac św. Jura pośród okrzyków całego miasta, zagrała banda „Segen Oesterreichs“. Niedaleko stała akademja, łatwo sobie zatem wyobrazić, co się dziać musiało. Banda wymawiała się, że jej kazał to grać Wybranowski, a ten składał na Dwernickiego, który się znowu wypierał. Muzyka przestała grać, i zagrała „Jeszcze Polska nie zginęła“, a burza się uśmierzyła. Po predefilowaniu przed jenerałem, zapowiedziano wielką serenadę z pochodniami Dwernickiemu; miejsce zbioru w Akademji. Gdy już wszyscy byli gotowi do pochodu, przysłała sztab, że jenerał sobie życzy, by pierwaj poszli do Hammersteina. Na to powstał okropny krzyk; jedni chcieli iść do Hammersteina, ponieważ tak sobie jenerał życzył, drudzy zaś sprzeciwiali się temu stanowczo. Tych ostatnich była wprawdzie mniej-szość, ale rzucili się naprzód i zatrzymali cały pochód. Poszli więc naokoło rynku do Dwernickiego. Ledwie zaczęli grać, wyszedł Dwernicki z prośbą, by się przeszli do Hammersteina. Na to powtórne wezwanie pogasiła opozycja pochodnie, a reszta ruszyła do Hammersteina, który musiał być już o rzeczy uwiadomionym, gdyż

wyszedł za zbliżeniem się ich do balkonu, z całym swoim sztabem. Oprócz jednej strofki „Segen“ grali ciągle „Jeszcze Polska...“ zapomnieli że Castiliogniemu robiono także serenadę, a on w trzy dni później zbombardował Kraków... U nas małeńko, tego samego dnia nie stało się coś podobnego, bo kiedy zaczęli grać „Segen“, cały lud krzyknął dosyć i kazał powtórnie grać „Jeszcze Polska“. Cóż łatwiejszego, jak świsnąć kilkom, a gotowa byłaby awantura. W piątek była znowu serenada z pochodniami u majora Łosia... grano, śpiewano a nawet tańczono... W czwartek Jaworska, żona sierżanta 6 kompanji, patrząc z zachwytem na przechodzącą serenadę, wychyliła się zanadto, gzyms się urwał, a ona spadła z drugiego piętra na bruk i zabiła się na miejscu...”

„Gazeta Narodowa nigdy bardziej nie rozmięła się z prawdą“ — pisał Domaradzki 21 września 1848 — „jak kreśląc obchód niedzielny na pamiątkę Sobieskiego. Jak wiesz padał śnieg z deszczem, zapowiedziany zatem festyn ludowy na Wysokim zamku, rozbił się o wyroki zagniewanego nieba; zresztą i Hammerstein robił niejakie przeszkody. Pomimo tego odbyły się nabożeństwa po kościołach i stosowne kazania. Szczególnie piękną mowę miał Dominikan ks. Piotr Korotkiewicz.“

„Po południu deszcz nie ustawał; przygotowania kosztowały, trzeba było więc gwałtem coś odbić; uchwalono odprawienie festynu w sali re-

dutowej. Przygotowaną do ustawienia na Wysokim zamku, siedmiołokciową piramidę, trudno było pomieścić, poustawiano więc pojedyncze kawałki z napisami koło ściany, w środku kilka stołów z kwiatami i starymi pismami, ot ifestyn gotowy. O godzinie ósmej ruszono mimo deszczu z pochodniami przez rynek do domu Sobieskich, tam serenada i wiwaty bez końca, tak dalece, że gdy sierżant Komorowski dowodząc oddziałem gwardji zakomenderował: „dyrekcja na prawo, krok podwójny, marsz!“ tłumy ludu, nie wiedząc co mówi wołały: „niech żyje!“ Idąc napowrót do sali, gdzie miał być bal, spotkano wesele z przedmieścia, zabrano więc z sobą, a ponieważ pochodnie dopiero trochę były nadpalone, zrobiono przed starym teatrem koło na ulicy, a chłopci pomimo błota tańczyli kołomyjkę. Z tamtąd ruszyła część do sali, reszta do Akademji z weselem chłopskiem. Na dziedzińcu w Akademji stała woda, niedługo więc tam tańczono, ale ruszono do sali, biorąc po drodze każdego, kto się nawinął w siermiędze z mężczyzn i bez kapelusza z kobiet.

Na sali tymczasem bal się zaczął na dobre, B. szedł w pierwszą parę polonesa,.. „lud idzie!“ zawołano i wszedł cały zastęp ludzi i nuż dopiero tańce i płąsy..“

Wśród takich objawów nieudanego patriotyzmu, wśród powszechnej radości z jaśniejszej jutrzeńki wolności z jednej, wśród gorliwej pracy nad wzmocnieniem i utrwaleniem zyskanych

przywilejów, z drugiej strony upływały narodowi letnie miesiące r. 1848 — przeddzień gwałtownej burzy, społecznych przewrotów. Krępowany przez długie lata prąd swobody, stargawszy zapory, potężną popłynął lawą, lecz zanim właściwą zdołał utorować drogę, odpowiedziało, jak wiadomo, październikowym zapasom wiedeńskiej ludności, w dniu 3 listopada 1848, echo dział u murów Lwowa, a reakcja zyskawszy siły wśród dymiących gmachów miasta, wśród poległych i rannych ofiar zawieruchy, zniszczyła jednym zamachem upragnione nabytki wolności, wprowadzając natomiast stan obłączenia, doraźne sądy, rewizje, aresztowania, brankę wojskową i t. p. na porządek dzienny.

Zmiana ta nie pozostała bez wpływu na los Schmitta, który jakkolwiek przebywając na wsi, nie brał bezpośredniego udziału w listopadowych wypadkach stolicy kraju, musiał obawiać się, iż będzie co najmniej posłanym do służby żołnierskiej. Przez kilka miesięcy trapiła go niepewność przyszłości, odbierała mu spokój i wszelką energię do pracy, na widok okolicznych znajomych i przyjaciół, bądź wcielonych w szeregi wojska, bądź osadzonych w murach więzienia. Dopiero dzień 18 maja 1849 zdecydował o jego losie i usunął dręczącą wątpliwość.

„Siedziałem — pisał — jak zwykle przy biurku, sporządzając wyciągi i notatki, gdy nagle usłyszałem stąpanie i szezęk broni i ujrzałem kilku strażników, którzy za wejściem kazali mi

się zebrać. Zapytałem o przyczynę, oraz dokądam się udawać, ale za całą odpowiedź usłyszałem tylko: „do Szczurowic.“

Zażądałem od nich, by mi okazali rozkaz uwięzienia, lecz i w tym względzie nie mogli mnie zadowolnić, gdyż otrzymali tylko ustne polecenie. Biorąc mię z sobą, kazali sobie wydać mój paszport. Po drodze ujrzałem, że i Franciszka Nawrockiego, który 1 listopada 1848 był porąbany przez kanonierów, obecnie zaś, niewygojony jeszcze zupełnie, bawił w Romanówce. Poprowadzono także do Szczurowic. Obu nas osadzono w koszarach straży, a po sześciogodzinnem czekaniu, zawezwano naprzód Nawrockiego, potem mnie przed akcyzowego komisarza Rüsta.

Ten zaczął mnie wypytować co robią w Romanówce, znalazł błędy w moim paszporcie i oświadczył, że mnie odeszle do Brodów. Przedstawiłem mu niesłuszność podobnego postępowania, wykazałem, że zajęty pracami literackimi nie jestem jak mniema, próżniakiem, dalej, że nie ma powodu nazywać mój pobyt w Romanówce podejrzanym. Jeżeli mój paszport zdaje mi się złym, niech paszport a nie mnie odeszle do Brodów, tembardziej że paszport został już podpisany w Brodach, przez tamtejsze władze. Skończyło się na tem, że paszport mój został u Rüsta, a ja powróciłem do Nawratilów...“

Zatrzymanie paszportu dotkliwem było dla Schmitta zdarzeniem, odjęło mu bowiem na czas



dłuższy możność dowolnych wycieczek, niezbędnych przy nagromadzeniu materiałów do dziejów ojczystych, przy udziale w publicystyce i przy zabiegach o stałe zajęcie, jako główny środek do urzeczywistnienia związku z Leokadją.

Rozpocząwszy skromną kompilację, kreślenie historii polskiej, ujrzał się rychło w obec całego ogromu materiału, znalazł w swym żywiole, zagłębił w pracę, odkrywał coraz to nowe źródła i pomniki dziejowe, porzucił też pierwotną myśl pobieżnego szkicu i zabrał do gruntownego badania przeszłości. Równocześnie rozpiisał subskrypcję na rozpoczęte dzieło, której rezultat był mu otuchą i bodźcem w żmudnem przedsięwzięciu.

Jesień r. 1849, pogodną stworzyła chwilę w życiu Schmitta, ona bowiem powiodła go do stopni ołtarza, a mury gościnne Rzepniowskiego dworu, były świadkami jego radości i szczęścia.

Przykrą stroną uroczystości stanowił tylko fakt, iż władza rządowa zabroniła skompromitowanemu politycznie ks. Korotkiewiczowi\*) opuścić miejsce przymusowego pobytu i w myśl intencji narzeczonych pobłogosławić ich związkowi.

---

\*) Ks. Piotr Korotkiewicz, potomek litewskiej rodziny Tołczków, która w czasie zaburzeń politycznych wykreślanej z karty Europy Rzeczypospolitej przesiedliła się do Galicji z zmianą przydomka na nazwisko, wstąpił z wydziału prawniczego do kaznodziejskiego zakonu OO. Dominikanów, gdzie zajął rychło wybitne stanowisko, a obdarzony niezwykle wymową, gorący przytem patriota porywał wzniosłemi kazaniami słuchaczy. W pracach

Nacierpiawszy się do syta, przeszedłszy tylo-  
lokrotnych wydarzeń najdziwaczniejsze koleje,  
rzucany burzą istnienia jak liść samotny z miej-  
sca na miejsce, więzień, tułacz, który dnie snów  
młodzieńczych, dnie marzeń i uciech wśród cier-  
nistej przebył rzeczywistości, ujrzał Schmitt, bo-  
daj raz, ziszczonem swe najgorętsze pragnienie.  
Los uśmiechnął mu się przyjaźnie i stworzył trze-  
cia, pomyślniejszą niżli poprzednie, epokę jego  
życia...

Przy ulicy Zimorowicza, w kamienicy zna-  
nej Lwowianom pod nazwą „domu Koralnika“ sie-  
działo przy dużym dębowym stole dwoje młodych  
ludzi. On pełen energii i zapału, pełen ognia  
w oku, wśród stosu ksiąg i dokumentów, ona  
z robótką w ręku i z owym wyrazem szczęścia  
i nieśmiałości w twarzy, jaki zwykł towarzyszyć  
pierwszym, samoistnym krokom powracających  
od ołtarza niewiast. Skromne, lecz schludne  
urządzenie świeżego gniazdka sympatycznie ry-  
sowało się wśród mdłego blasku świecy, szlącej  
swe promienie w zawody z światłem przyległego  
kominka.

---

narodowych przodował jako kapłan-obywatel, wskutek  
czego osadzony na skromnej posadzie proboszcza przebył  
czas dłuższy w wiejskim zaciszu. Po powrocie do Lwo-  
wa objął jako prowincjał kierownictwo konwentów Gali-  
cji, zachowując do końca życia ów potężny dar wymowy  
co to i w bojach zatwardziało zwykłą miękzyć serce  
i męskie lice zwykła skrapiać łzami. Zmarł we Lwowie  
r. 1873.

Od czasu do czasu spotykał się wzrok siedzących — przeciągła, wymowna wymiana myśli. Znużone pracą oko jego szukało widocznie natchnienia u żrenic, które pragnęły nawzajem wyczytać w spojrzeniu wróżbę przyszłości, odgadnąć każde skinienie uzyskanego wyborem losu opiekuna.

To stało Schmittów wśród grudniowych wieczorów r. 1849.

Pracował wówczas Henryk jako bibliotekarz Pawlikowskich, udzielał przytem nauk historii polskiej w prywatnych domach, pisywał artykuły, fejsletony i powiastki do polskich i niemieckich czasopism, tłumaczył utwory z obcych języków nie zaniedbywał jednak równocześnie odwiedzać pilnie księgozbiorów lwowskich i czynić w nich poszukiwania do przedsięwziętego na wielką skalę rysu dziejów ojczystych. Gorliwie i sumiennie musiał spełniać przyjęte na się obowiązki, gdy hr. Dzieduszycka z Tłumacza poznawszy go jako instruktora swych dzieci, ofiarowała mu później posadę pełnomocnika rodzinnego majątku w Poznańskiem. Zrealizowaniu planu stanął na przeszkodzie rząd pruski, odmawiając politycznemu przestępcy prawa obywatelstwa.

Pod koniec r. 1850 niedopisały fizyczne siły wależącemu o byt Schmittowi; nadmiar pracy przeplacił kilkumiesięczną słabością.

Niemalą przykrością było dla niego orzeczenie władz policyjnych, wzbraniające mu przyznania obywatelstwa lwowskiego. Widziano w nim

niebezpiecznego spiskowca, obawiano się więc bytności jego w stolicy kraju, gdzie ruch demokratyczny i narodowy tlał jeszcze pod wpływem zabiegów Łukaszewicza i Goslara, założycieli nowych tajnych stowarzyszeń rzemieślników i wyrobników Lwowa, Krakowa i zachodniej Galicji.

Styczność i przyjaźń z znanymi rządowi konspiratorami, powołanie Kaspra Cięglewicza na chrzestnego ojca syna Mieczysława i tym podobne okoliczności stanowiły podstawę podejrzeń władzy. A przecież podejrzenia te nie były uzasadnione, Schmitt bowiem, nie, iżby zwątpił w przyszłość, zwątpił w siły żywotne narodu, lecz na podstawie przebytych doświadczeń, zmienił częściowo swe zdanie, uważając w istniejących stosunkach organiczną pracę jako właściwy kierunek wysiłków polskiego społeczeństwa.

„Co się tyczy właściwego celu mojej podróży“ — pisał w tej sprawie — „to jestem pewnym skutku. — Myśl się moja ogólnie przyjmuje; wszyscy się przekonują, że jedynie droga spokojnego rozwoju doprowadzi nas do celu, że gwałtownym sposobem nie osiągniemy rezultatu. Wszyscy, aż nadto przekonani, że dziś koniecznie dla kraju wytechnienia potrzeba, aby po tylu klęskach znów przyszedł do siebie. Najzagorzalsi nawet pojmują, że dotychczasowe kroki nasze miasto korzyści, klęski nam na kark jedynie ściągnęły... Nam potrzeba dążyć do oświaty kraju, usiłować podnieść nasze piśmiennictwo.“ . . .

. . . . . , . . . . .

Śmierć Gwalkerta Pawlikowskiego oderwała Schmitta na chwilę od żmudnych zajęć literackich, a okolice Medyki oddziaływały ożywczo na znudzony pracą i przejściami życia organizm. Z początkiem r. 1852 wyjechał on z ramienia spadkobierców w celu uregulowania ich interesów i oddania dóbr nowemu komisarzowi, za-skarbił sobie rychło zaufanie mocodawców i ście-śnił węzły przyjaźni, jakie go w ogóle łączyły od dłuższego czasu z domem Pawlikowskich. Sto-sunek ten pozostał niezmienny przez lat kilka-dziesiąt, w ciągu których zarządzał Schmitt ro-dzinną ich biblioteką.

Młody Mieczysław Pawlikowski przylgnął całą duszą do Schmitta, znalazłszy w nim doświadczonego doradcę, światłego towarzysza i opiekuna.

„Dziś 15 lipca“ — pisał r. 1852 — „dzień imienin kochanego Pana; czemuż nie jestem dziś w Medyce, abym mógł Mu wyrazić osobiście i ustnie, wszystko, co serce me czuje... Wiele jeszcze prac i ciężarów spadnie na Pańskie ra-miona. Oby jak najlżej było Panu je znosić! Oby Ci zdrowie służyło niezmiennie, dla Ciebie samego, dla matki i dla nas; dla Twojej żony i małego Tabority Twojego, dzielnego in spe konfederata. Oby Mieczek Twój był takim, jak przeczuwasz, jak pragniesz kochany Panie! Niech mu droga życia stoi otworem — wolna! Wiem, przeczuwam, że się obaj cieszyć sobą obopólnie będziecie. Doczekasz się kochany Panie, i cie-



szyc się będziesz synem, a on chlubić Tobą... Daruj jeśli uczuć tu wyłanych na papier nie przefiltrowałem przez alembik światowej formy; oddałem je tak, jak z serca płynęły..."

Zrozumiał, pojał młody Pawlikowski, iż wzmianką patryjotyczną o przyszłości syna zdoła najłatwiej uradować serce ojca, który całą potęgą miłości rodzica pragnął tchnąć w swoje dziecko gorące uczucia, jakie grały w piersi jego, który chciał widzieć w kwilącym niemowlęciu posiew prawdziwego obywatela kraju, takiego syna Polski, jakiego mu stwarzała wyobraźnia bezgrannego poświęcenia dla ojczyzny, dla zasady, dla idei.

W roku 1854 ujrzał światło dzienne pierwszy wybitny owoc dłuгоletnich zabiegów Schmitta w tym bowiem roku, wyszedł z druku pierwszy zeszyt dzieła p. t. „Rys dziejów narodu polskiego od najdawniejszych czasów znanych do r. 1763“. Opowiadanie to szczegółowe i na wielką przedsięwziętą skalę, doprowadził wszakże autor w ciągu następnych lat pięciu pracy, tylko do roku 1892.

Podobnie, jak we wszystkich swych pracach historycznych, rozwinął tutaj Schmitt nowe a trafne poglądy, ocenił bystro i śmiało opisane wypadki i dał się poznać jako krytyczny i sumienny pisarz, któremu jednak nie szło, jak to sam wspomina w przedmowie, o dochodzenie nowych dat dziejowych, lecz głównie o ducha obrobionych dotychczas dziejów i wyjaśnienie tego;

co w fałszywym wykazano świetle. Nie znajdzie też czytelnik w tej pracy ani nadzwyczajności, ani nowych odkryć, przeciwnie, napotka znane mniej więcej imiennie postacie, na które tylko autor światło tak skierował, iżby się lepiej uwydatniały. W obec tego uważał Schmitt za zbędne wyliczyć źródła, na których oparł swą pracę, zwłaszcza, że posiłkował się przeważnie upowszechnionymi już drukiem dziełami, czerpał ze źródeł znanych przedtem uczonym i rozbieranych krytycznie w mnogich rozprawach i dziełach.

„Nie obarczam“ — zauważył w przedmowie — „dzieła mego przypisami, w których przytacza się za zwyczaj źródło lub miejsce tegoż, albo zbija zdania tego lub owego pisarza, albo w końcu powtarza innemi słowy, co już gdzieś w tekście powiedziano, czem się tylko uwagę czytającego nie potrzebnie od głównego przedmiotu odrywa. Mimo tego wypadnie mi we wstępie i wykładzie dziejów naszych bajecznych trochę rozprawiać, gdzie nie raz rozmaite twierdzenia nowszych badaczy, wręcz sobie przeciwne zestawić, ich sprzeczności lub niepodobieństwo wykazać i marzenia fantastyczne od niezaprzeczanej prawdy odróżnić zmuszony będę. Lecz i w rozprawach tych przedłożę czytelnikom głównie wypadki dotychczasowych poszukiwań i zaręczam, że w całym dziele mojem nie postawię twierdzenia, którego bym wykazaniem źródła pewnego i wiarygodnego nie zdołał udowodnić. Wykazanie zaś tych źródeł na ten jedynie przy-

padek sobie zachowuję gdyby mi krytycy mieli zarzucić niesumiennność w osnowie opisów lub nieprawdziwość w opowiadaniu“.

Zdania o wartości „Rysu dziejów“ były, jak to zresztą mógł przewidywać autor, podzielone. Jedni nie wahali się, jeszcze nawet przed wydaniem pierwszego zeszytu, dać wyraz pewnej zawiści, drudzy starali się milczeniem i pozor-nem lekceważeniem oziębic zapal autorski Schmitta, ogół jednak czytającej publiczności zainteresował się wydawnictwem, które odsłaniało piękne strony przeszłości narodu, oceniało sympatycznie czyny przodków, oddawało cześć bohaterom dziejowym, podniecało płomień miłości kraju, wzbudzało szacunek dla minionych pokoleń i stawało na straży ojczystych tradycji. Z wszech stron posypały się listy i wyrazy uznania dla autora, słowa zachęty do dalszej pracy, a posypały się tem raźniej, że donośne wypadki wojenne na półwyspie krymskim. że rozbudzone przez nie nadzieje społeczeństwa polskiego, potęgowały patryjotyczne uczucia jednostek. Gdy później cenzura władz rosyjskich wzbronila wstępu historycznym pracom Schmitta uwydatniła się jeszcze bardziej ich patryjotyczna tendencja.

Z publicznych czasopism wystąpiły „Nowiny“ łwowskie w nrze 68 z r. 1854 i „Gzas“ krakowski w nrze 58 z r. 1856 z krytyką „Rysu dziejów“. Pierwszemu dziennikowi dał autor odprawę w przedmowie do trzeciego tomu dziejów, ocena

„Czasu“ zaś, lubo pochlebna nie mogła zadowolnić autora, nie była bowiem umiejętnym i wszechstronnym rozbiorem pracy, lecz raczej wynurzeniem doznanych przy czytaniu dzieła wrażeń. Najkompetentniejszych zapatrywań mógł dostarczyć sędziwy badacz przeszłości — Lelewel, to też do niego zwrócił się po wydaniu „Rokoszu Zebrzydowskiego“ Schmitt po światłą radę, po wskazówkę, czy obrana droga odpowiada zamierzonemu celowi. Przez czas dłuższy milczał zajęty innemi sprawami starzec i dopiero w grudniu r. 1858, następującą przesłał odpowiedź:

„Szanowny, a miły sercu Ziomku! Doszło mnie zgłoszenie się Wasze z Medyki 26 sierpnia wyprawione. Z synowskiem, jak sam mówisz uczuciem i wyrazem przemawiacie; pocieszacie mnie, że po pięćdziesiętnym trudzie i oczekiwaniu zasłużyłem na Wasze łube wspomnienie. A ja niezdolny Wam odpowiedzieć! Nie powinno Was dziwić jeśli się żalę, żem podupałł nietylko na wzroku, ale i na możebności iść śladem Waszej młodzieńczej żywości. Przysłaliście mnie parę tomów, czyli początek historycznego w dziejach narodowych zawodu, pytając o me zdanie. Nie pytajcie o nie, idźcie sami dalej do końca. Utyskujecie, że Wasz zawód nie wywołał poważnego innych widzenia; nie tęsknijcie za nim idźcie dalej i kończcie. Obejrzyjcie się na moją przeszłość. Wieleż to lat ubiegło głuchych dla mych piśmiennych płodów! A przecie wywoływałem, zaczepiałem wielu, spokoju im nie da-

wałem, tak, jak to sami czynicie. Toćże i teraz dziewiąty rok mija z mym geograficznym mozołem, a głucho. Słówka grzeczne, obietnice nie dopisują.

Oświadczenie w liście swym, iż zamierzacie wyłuszczyć co było wielkie i piękne, a co tchnie złem, ustawiać w cieniu. Nie powtarzajcie tego głośno. A jeśli taką osnową wykład Wasz pójdzie i taką Bartoszewicz dostrzeże, odpłaci Wam za Wasze braterskie uwagi, jakimi go obarczacie. Ale bez tego znajdują się inni, co pomiatając przeszłością swego rodu, plugawiąc go, podniosą na Was krzyki szydercze. Mnie się widzi, że szpetnej prawdy nie ma co ćmić, bo zwykle złe w naszym pięknie wynika z lichej aplikacji obczyzny, albo z osobistych wad.

Żywioł narodowy, uczciwie zachowany, najświetniej cnotę obywatelską podnosi. W określeniu dziejów narodowych do najświetniejszych zbliżacie się czasów, w których żywioł dojrzewa; u myślących ludzi, co go poznają cześć odbiera. Nie powołam się na zmarłych Rousseau, Sismondi, etc.; wpomnę żyjących. (Przed r. 183) Guiso (co mniema, że Polska już powstać nie może) gdy rozważał instytucje Rzeczypospolitej naszej, uznał w nich wyborne, głęboko pojęte zasady.

Jeden z głównych bytu belgickiego prawodawców, wejrzawszy przypadkiem w nasze dawne instytucje i poznawszy je, i onych rozwój, wykrzyknął razu pewnego: nie pojmuję, nie mogę



sobie tego wytłumaczyć, jak Polska tak ustron-  
 na, tak wysokie pojęcia wyrobiła i rozwinęła.  
 Czego dziś znędzniały zachód szuka? czego się  
 dobija? tych właśnie żywiołów, tych zasad,  
 które Polska posiadała. Niejeden już cudzozie-  
 miec to spostrzegł i powiedział. Powiedział to  
 i dobroduszny Cyprian Robert, którego nasi za-  
 niedbując i lekceważąc, zrazili. A bodaj nie ja-  
 kiego innego narodu w Europie, jedynie tylko  
 polskiego dzieje możnaby do ideału podnieść,  
 ćmiąc nieco zdrożności; ale to nie nasza rzecz.  
 Miłujmy swoje, a mówmy naga prawdę. Cieszymy  
 się, że nasi użyć umieli tak długie czasy; bolej-  
 my że nadużyli... A co zawiodło do nadużycia?...  
 Wzięła was ochota dyskutować o pierwszych  
 Słowian śladach i stawić się rozjemcą niezgo-  
 dności mej z Szafarzykiem. Na zarzuty mnie  
 (pag. 80 — 81) uczynione, cóż mam powiedzieć?...  
 Niech tak będzie. A co do „oraczy“ nadmienilem:  
 już, jawno mi się widzi, że Scyty oraczów za  
 rodnych własnych, za Scytów poczytywali sami.  
 Choć hipoteza sławizmu oraczy niepochlebna,  
 niech będzie rzeczywistością, jeśli się podoba.  
 Aby Herodot brał wschód za południe, nie po-  
 wiedziałem tego, ani wykreśliłem na krajobrazie  
 jakim. Szukałem jedynie objaśnienia rzeczy  
 w kierunku karawany na wschód dążącej, przez  
 kierunek wschodni mocno ku południowi pochy-  
 lony. Z orientacją krajobrazów greckich bywało  
 czasem gorzej, niż z orientacją krajobrazów wie-  
 ków średnich. Zabawki to. Co do Illyrów przy-

mawiacie mi podobnie, jak Kazimierz Schulz, że ich sławizmu zaprzeczam. Powiedziałem tylko, że nie postrzegam dowodów na to, na ich dacką narodowość. Kazimierz Schulz takową udowodnić usiłuje.

Chociaż nie miało być potem spornych z innymi spotkań, postrzegam jednak, że mimochodem zdarzyło się Przeździeckiego spomnieć i niepewne inne widzenia przytaczać.

Przedmowy zwykle się piszą po wykończeniu dzieła, przodem napisaliście ich dwie. Od drugiej mija rok drugi, a nie się dalej nie ukazało, dalszych poszytów niema. A byłbym arcyciekawy jak Łokietka wystawicie. Helcel chce go poniżyć biorąc po 36 leciech me hipotezy prawodawcze w obroty i śmieszki. Nie obstaję przy hipotezycznych szczegółowych prawodawstwa zagadnieniach, ale w ocenieniu Łokietka i czasów jego, nie cofam się; owszem znajduję coraz dowodniejszą oczywistość, o czym może się doczekam w roku przyszłym, jeśli Żupański nie zechce bałamucić, choć z krótkimi, a gromkimi wysunąć się wyrażeniami.

A wy, szanowny ziomku, z dziewiątym poszytem nie wysuwacie się. Najlepiej by było, gdybyście całe swe dzieło wykończyli i razem całe ogłosili. Nie lubię takich dorywczych szarpanin. Leonard Chodźko zachęcał mię do takich poszytnych publikacyj, dla spekulacyj, dla zaradzenia memu niedostatkowi. Mniejsza oto, że ta spekulacya nieudolnością wydawnictwa świeci,

gorzej, że z tego często powstają same okruchy, ułamki, urywki, niewykończone płody: aż żal! Pewnemu Belgowi dawałem coś takiego narzekając, że to ułamek defektowy; a on mi na to: *to nie defekt, w tym ułamku widzę całość, bo kiedy niema doskonałego dzieła, któremoby nie do zupełności nie brakowało, wszystkie dzieła w całości defektowe.*

Owóż powiecie, zamiast co dobrego powiedzieć, stary jak się pióra dorwie to i zrzędzi. To prawda. Dla tego jeszcze powód do zrzędzania daje Wasz „Rokosz Zebrzydowskiego“. Długi szereg wymieniliście tych, co o nim co rzekli. Szukałem w tej liczbie siebie. Nieznalazłszy się pomyślałem pleć androny, albo że bójka o androny roztargnienie wam sprawiła. Nie mogłem w tej mierze co nowego powiedzieć, powtórzyłem com w Niemcewiczu znalazł; ale pomnę, jak daleko w przód od pierwszego razu do wykrzyku Czackiego odrazę uczułem. Dzięki wam, żeście podnieśli ruch narodowy i naczelników uzacnili; żeście tego nie zaniedbali, gdy się nawinęła sposobność zasobna.

Sprawek Zygmunta III. trzeba szukać nie w krajowych, tylko w obcych archiwach, bo po-ajemnie matwał z obcymi. Dowodów na to musi być mnogo w habsburskich, jak w archiwach tutejszych belgijskich. — Co się o tem o me uszy obilo, nieściąga się do Zebrzydowskiego czasów, tylko do późniejszych nieco, między 1620 a 1633. Było to tak. Sławista Jastrzębski zapy-

tał mnie raz, czy Belgja bogata w dokumenta dla dziejów polskich. Odpowiedziałem że aux archives de l'état, zkađ Niemcy moc dokumentów dla swego towarzystwa historycznego wypisują, znajdując się pliki do Polski ściągające się; że kiedy po różnych krajach szpera, powinien sam, kiedy może, Belgję odwiedzić, choćby dla zapewnienia się, że niema nic. Zjechał tedy na dni kilka i upewnił się, że się znajdują, przytaczając mi jedno pismo Zygmunta III., do gubernatorki niższych Niemiec, w którym prosi ją, aby trzech zbiegłych, co na życie jego z jego podkomorzym konspirowali, schwytać kazała.

List taki przygotowany był z okienkami, tak, że Zygmunt sam nazwiska owych zbiegłych dopisał i sam się podpisał bez kontrasygnacji czyjej. Między tymi trzema znajduje się Arciszewskiego imię. W roku 1846 kiedy tu gościł Kalinka, zachęciłem go, aby korzystał z pory. On coś tam pogmerawszy może wynotował, a powiedział, że są listy tajnego sekretarza Zygmunta III., które ów spiszek objaśniają, że są też i korespondencje projektujące dziedziczość tronu czyli dyplomatycznych frymarków. Relata refero. Z towarzystwa historycznego naszych, Mickiewicz po dwa razy zgłaszał się z zapytaniem, czy co jest.

Na mą odpowiedź chcieli tu tworzyć filją towarzystwa swego, kasjerów, sekretarzy, redaktorów, protokolistów, a mnie do dyrekcji wzywali. Oświadczyłem, że się wdawać w to nie podej,

muje, że tak wielkich zachodów nie potrzeba; niech kogo jednego przyszlą, albo tu na miejscu kogo rozsądnego zobowiążą, który pliki po kolei rozpatrując, wynotowanie, lub kopiowanie sam jeden uskuteczni; po co dwóch lub kilku jednym trudem mordować, wydatki mnożyć i czas marnować. Archiwa są otwarte i przystępne. Nie w tej mierze nie zrobiono. Z polotnego Kalinki rozpatrywania, owoc pewnie niewielki lub żaden. W tych czasach przebywa tu jeden z naszych, panu Pawlikowskiemu dobrze znany Sawaszkiewicz, coby mógł się tem należycie zająć. Zna dobrze języki, pismo jego czytelne, zna dzieje narodowe, w których nie mało gmerał i nad niemi rozmyślał. Niczem nie zajety w tej dobie, na dobre tu w Bruxelli osiadł. Zmęczyłem się szanowny ziomku. Epistoła zrobiła się zbyt długą, oczy me wysilając. Może to pierwszy i ostatni wysiłek mój. Chciejcie w nim wyczytać życzliwość z duszy serca pochodzącą dla waszego poświęcenia się dziejom. Pozdrowienie braterskie. Lelewel“.

Oto kilka słów ciepłych, kilka uwag, rad i wskazówek, udzielonych z całą szczerością i otwartością przez zstępującego do grobu po półwiekowych znojach dzielnego szermierza pióra, wyobraziciela historjografii, wstępującemu na pole dziejowej pracy Schmittowi. — Schmitt, który pragnął, który szukał tych rad i wskazówek, znalazł w nich ojcowską zachętę do dalszych badań, toż z dawnym zapalem chwycił znów pióro do ręki.



Należał on do mężów, którzy nie łatwo ulegali obcym zdaniom, którzy nie dawali odwodzić się od swych zasad i zapatrywań. Przeciwnie, wybitnego umysłu, energicznie pocutych przekonań i silnego hartu, z trudnością naginał się do wymagań i myśli drugih osób, lub ustępował w polemikach z placu boju.

Pomiędzy niewielu osobistościami, które wywierały wpływ na Schmitta, zajmował wspomniany przez nas kilkakrotnie Władysław Domaradzki wybitniejsze miejsce. Kolega ław szkolnych, później towarzysz prac konspiracyjnych i druh więzienny, pozyskał Domaradzki nieudaną życzliwość Schmitta, szczerą ufność przyjaciela. Czy to w sprawach politycznej lub społecznej natury, czy też w czysto prywatnych, osobistych kwestjach, chętnie słuchał Schmitt wywodów byłego „prokuratora Rzeczypospolitej Grajgórskiej“, chętnie wyluszczał powody swych czynów, wyjaśniał plany i zamiary, dzielił z nim smutek i uciechę. Od czasu do czasu wywoływała różnica zapatrywań żwawą dyskusję i wymianę myśli, przy której tępilli przyjaciele pióra w obronie zajętych pozycji.

Schmitta wywody, to działa ciężkiego kalibru, zionące ogniem, druzgocące masą strzeliwą, Domaradzkiego argumenta, to palba tyraljerów-odpowiedź karabinowych strzałów, nie zawsze celna, skuteczna, lecz demontująca od czasu do czasu potężną broń przeciwnika.

Jeśli tok wypadków społecznych lub poli-

tycznych nie nastęczał tematu do polemiki, prowokował ją sztucznie Domaradzki, drażniąc, wyzywając Schmitta na rękę, wiódł z nim spór gorący, a ustępując z placu walki, pozostawiał przyjacielowi satysfakcję nawrócenia „zbłąkanego“ brata. Choć przeświadczony nieraz z góry o rezultacie zapasów, wstępował ochotnie w szranki i kruszył kopię w poczuciu, że dopiero starcie zdań i różnica zapatrywań zdolne wyświecić prawdziwy stan rzeczy.

Przytoczony list może służyć za ilustrację stylistycznej szermierki serdecznych przyjaciół.

„Kochany Henryku! Niech ci p. Bóg tego nie pamięta, że mnie swem wezwaniem, w porozumieniu z nieznośnym deszczem, który właśnie leje, że aż miło, zgwałciłeś do pisania sążnistego listu. Czyż mię to nie znasz? Czy nie wiesz, żem kość z kości krew z krwi tej naszej dawnej pocziwej szlachty, co to wołała pójść dziesięć razy z kordem na gołe łby w taniec, niż raz się podpisać? Różnica między nami ta tylko, że oni brzydzili się piórem instyktowo, a ja w skutek głębokiej rozwagi, z przekonania. Już widzę jak się zżymasz, jak nawałem pchają ci się argumenta do głowy, jak się uśmiechasz, sądząc, że mię niemi z kretesem pobijesz na kwaśne jabłko.

Ale zwolna mój kochany! Nie tak łatwo mię przestraszyć. Naczytałem ja się, niestety, dosyć owych na pozór szumnych, a w rzeczy samej czezych apologii atramentu, (pars pro toto)

zaczawszy od tych, co swoje koncepta gryzmoili na papyrusach, aż do was, co je na gałganach, tym, nasz wiek najlepiej charakteryzującym produkie, wytłaczacie -- a przecież twardo obstaję przy mojem zdaniu. Gdybym miał czas i chęć potemu, napisałbym o tem uczoną rozprawę; na materiałach by mi nie brakło. Dowiodłbym ci jasno jako słońce, że jabłko, które Ewa ukąsiła, było z rodzaju tych, z których się warzy atrament, a zatem, że przez atrament — notabene — za pomocą Ewy złe na świat wstąpiło. Ale mam litość nad nami obydwoma i ograniczę się tylko na kilku uwagach. Powiedz mi mój kochany historyku, kiedy zwykle kwitnęła literatura u pojedynczych narodów? Czy wtedy, kiedy naród był młody, zdrow, czerstwy, pełen życia i siły, czy zaś wtedy, kiedy się zestarzał, zmarudział-rozleniwiiał, zgnuśniał, stracił ochotę do poświęceń, pochopność do czynów i tylko odżywaniem swej dawnej świetności odpierał pogardę młodszych ludów? Odpowiedź tu niewątpliwa. Weźmy który kolwiek z narodów n. p. żydów (właśnie wlaźł mi żyd w drogę). Kiedy Mojżesz opowiadał żydom o stworzeniu świata? czy wtedy, kiedy powstałi przeciw swym ciemiezcom, skruszyli ich jarzmo i tym czynem do takiej moralnej potęgi się podnieśli, że martwe żywioły ich słuchały i morza się rozstępowały? O nie! dopiero w tedy, gdy znikczemnieli, zatęsknili za niewolą i zamiast iść naprzód do ziemi obiecanej, kręcili się za przepiórkami po puszczy.

A z nowszych przypatrzmy się Niemcom... albo nie, przejdźmy do nas samych. To twój specjalny przedmiot; boję się, żebym jakiego głupstwa nie palnął, bo temu się nie poświęcałem; ale to mi przyznasz, że epoka, w której się u nas pisomanja rozpowszechniać zaczęła, była oraz początkiem naszego letargu. Nasz Czarniecki nie pisał artykułów o strategii, a pomimo tego tłukł wrogów, jak bicz boży.

Gdy tymczasem nasi „z saskiego placu“ pisali i piszą, a przecież zamiast zwyciężyć lub zginąć, poszli w obce kraje szukać pomocy, którą w sobie samych znaleźć mogli, ale której znaleźć nie umieli. Oto szkic dowodu, by wypełnić go, nie mam cierpliwości i czasu. Pomyślisz zapewne, do czego to wszystko? Do tego, aby Cię przekonać o mojem poświęceniu dla Ciebie, kiedy mam taki wstręt do pisania, a przecież bez końca długi list piszę...”

Nie mógł obojętnie przyjąć Schmitt podobnych teorii przyjaciela, toż w długich a dobitnych słowach zaprotestował przeciw ich słuszności. Lecz jakież było zdziwienie jego, gdy Domaradzki zamiast kapitulować, nowe wywiódł do walki szeregi.

„Kochany Henryku“ — odpowiedział — „Ja Ciebie wyzywać na pisemną dysputę! Broń Boże. Nigdy mi nie podobnego w myśli nie powstało. Nie mam na to ani cierpliwości, ani czasu; a potem byłaby to zupełnie nie równa walka między nami, bo ten plac boju całkiem

mi nie znany, gdy przeciwnie Ty na nim, jak w domu. Ot, odezwała się we mnie niemiecka edukacja i w słabej chwili napisałem kilka aforystycznych uwag, których nigdy bronić nie myślałem. Ale „chłop strzela a Pan Bóg kule nosi“. Wczoraj zasnąłem, dziś już mi lepiej, ale lekarz nie pozwolił mi wieczór wychodzić. Jestem jeszcze osłabiony, przytem głodny, przeto, jako prawowierny polak, zły; spać mi się jeszcze nie chce, a więc pokłóczę się trochę z Tobą. Ja nauki nie potępiam; owszem, uważam ją jako sprężynę, którą opatrznosc ludzka naprzód porusza — lecz nauka prawdziwa ma się do tej, którą nas nieuków wasz cech raczy, jak starka do chrzczonej wódki u naszych arendarzów wiejskich. Pierwsza cię pokrzepi, rozgrzeje, obudzi i siły spotęguje, druga zaś rozmarzy, nabawi bólu głowy, robi cię ociężałym i do niczego. Gdyby ktoś tę masę zapisanych papierów, która świata potopem grozi, przepuścił przez alembik, jakżeby tam mało esencji zdrowej i pożytecznej zostało. Otoż tą esencję szanuję, a mówię i wymyślam na osad. Z tych kilku słów zrozumiesz, jak sobie Twoje przykłady tłumaczę. Mądrością istotną przewyższali Grecy Persów, ale cech wasz był daleko więcej rozrodzony u ostatnich. Wszakże najwięksi mędracy Greków, żadnych piśmideł po sobie nie pozostawili, a dopiero kiedy mądrość rzeczywista opuszczać ich zaczęła i duch dawnej Grecji starzał się i słabł, wypełznął rój literatów, którzy dawną mądrość tak



długo przeżuwali, przyprawiali, rozbierali i porządkowali, póki cały duch z niej się nie ulotnił a naród tym rozczyntem truty tak dalece nie znikczemniał, że aż do przyjęcia jarzma rzymskiego stał się zdolnym.

Ksenophontem wcaleś mi nie zaimponował; on sam swoje bohaterstwo opisywał, więc się naszym zwyczajem — chwalił.

Historja rzymska, to woda na mój młyn. Rzym dziki, nieokrzesany bił swoich cywilizowanych sąsiadów, dopiero kiedy się zatrzał zniewieściałą cywilizacją podbitych ludów, zaczął się skłaniać ku upadkowi. Jakiś czas bronił się jeszcze siłą swych dawnych, zdrowych instytucyj, ale, kiedy te się do łupiny wypaliły, upadł pod silnemi razami barbarzyńców czerstwych i młodych. Upadł nie zbraku sił materialnych, bo temi przewyższał napastników, ale brakiem ducha zniewieściałością, okrytą w szatę pseudo-cywilizacji. Zwycięstwa ich pojedyncze z tej epoki niczego nie dowodzą, bo są tylko szamotaniem się konającego.

Co się tyczy naszej historji, to przyznaję, że Polska mądrzejszą była w wieku XVI., ale uczeńszą w X VII. w którym to czasie każdy szlachcic bawiał głupstwa po kalendarzu. Zwycięzcę z pod Obertyna uwielbiam, ale nie za jego dzieła, tylko za jego czyny; równie i Zamojskiego. Na dziś będzie tego dosyć, bo i przespać się trzeba..."

Pomimo podobnej szermierki nie słabła harmonja przyjaciół, którzy jakkolwiek częstą utrzy-

mywali wymianę listów, w każdej prawie korespondencji czynili sobie nawzajem wyrzuty długiego milczenia i zapomnienia. Snać tęsknili za pogawędką, za dysputą, za — sobą...

Nieprzerwaną wymianę korespondencji między Schmittem a Domaradzkim, można uważać jako dowód prawdziwej przyjaźni pierwszego, jeśli się zważy nawał pracy, którą Schmitt zniewolony był pokonywać. Uporządkowanie biblioteki Pawlikowskiego, sortowanie i katalogowanie ksiąg, rękopisów, rycin, numizmatów, dokumentów i tp. przeprowadzane energicznie, poczynawszy od drugiej połowy r. 1856, sporo absorbowwały czasu.

Bieg zwykłego w tym kierunku zajęcia przerwały nadzwyczajne czynności, jak przygotowanie części zbiorów na wystawę archeologiczną w Krakowie, urządzoną w r. 1858, lub przeprowadzenie zamiany rycin z Łucjanem Siemieńskim. Zresztą nie zaniedbywał Schmitt wydobywać na światło dzienne i ogłaszać drukiem niektórych napotkanych zabytków zbiorów naukowych. W ten sposób wydał w r. 1857 „Materjały do dziejów bezkrólewia po śmierci Augusta III. i pierwszych lat dziesięciu panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego”—przedruk z „Dziennika literackiego“.

Zakreślając równocześnie z dniem każdym, coraz to szersze koło dla swego współudziału w publicystyce, zabierał głos w sprawach politycznej i społecznej natury.

Omawiana przez niego kwestja żydowska, wywołała dłuższą polemikę z Ludwikiem Lublinerem. Z czasopism ówczesnych zasilał artykułami jako główny współpracownik „Dziennik literacki“, dalej przez pewien przeciąg czasu krakowski „Czas“, poznańską prasę, przeważnie zaś „Gazetę warszawską“, zapraszany usilnie do objęcia redakcji „Gazety codziennej“ w Warszawie, po nabyciu tejże przez Bergera, sekretarza Biblioteki warszawskiej, i do umieszczania prac i korespondencji w wielu innych wychodzących lub zakładanych w kraju i zagranicą dziennikach. Konkurencja była silną; brak czasu, niekiedy program dziennika, lub inne powody zniewalały do dania odmownej odpowiedzi. Częstość napotykały gorąco i śmiało kreślone artykuły na opozycję cenzury, zwłaszcza warszawskiej, tak iż redaktorowie „Gazety warszawskiej“ Antoni Lesznowski, po tego śmierci zaś (1859) Józef Kenig z całym wyteżeniem sił musieli przełamywać w tym względzie trudności i „unguibus et rostro“ — jak się Kenig wyraził — bronić artykułów obcinanych i kiereszowanych niemilosiernie przez cenzurę.

Spółeczność polska widziała w Schmitcie wytrwałego obrońcę sprawy narodowej, cdczuwała żywo rzucane w artykułach myśli, przejmowała się ich dążnością. „Pisz“ — zachęcał Schmitta po dłuższej przerwie Celestyn Chołodecki — „pisz do „Dziennika literackiego“ jak pisywałeś; w ogólnej harmonji tego pisma brakuje często

grzmiaącego basu, którym się odzywałeś, którym budziłeś nas, rzeźwiłeś, krzepiłeś na duchu i nadawałeś sercom naszym męzkiego hartu na wszystkie losów igrzyska...”

Była to dla spraw politycznych narodu do-nośniejsza chwila. Z jednej strony ubiegała się szlachta polska pod zaborem rosyjskim o polep-szenie losu włościan, z drugiej stawiała na po-rządek dzienny kwestja panslawizmu, dawały się słyszeć głosy, popierające zgodę z rządem ro-syjskim, w nadziei obszernych koncesyj, głosy podsycane wywodami „Norda“ i broszurami ro-syjskich polityków. W Paryżu wyszła odpowiedź na artykuł „Norda“, p. t. „Affaires de Pologne“ żądająca gwarancji ze strony rządu rosyjskiego, iż obietnice koncesyj zostaną rzeczywiście speł-nione. Wieść o przedsięwziętych pod koniec r. 1857 aresztowaniach w Poznańskim i w Kra-kowie, zaniepokoiła umysły, podawana z ust do ust potężniała i wzniecała różnorodne domysły i obawy.

Jakkolwiek łączność Schmitta z Gazetą warszawską osłoniąta była pewną tajemnicą, nie trudnem było wykrycie autora śmiałych artyku-łów, krytyk istniejącego stanu rzeczy i surowej oceny politycznych stosunków kraju. Pod jesień r. 1858 zwróciły władze rządowe uwagę na kro-ki Schmitta i poczęły śledzić przejażdżki jego do Medyki; w grudniu tegoż roku postawiły go pod nadzór policyjny i uwiadomiły o tem zarzą-dzeniu w styczniu r. 1859 z dodatkiem, iż bez

specjalnego pozwolenia nie może wyjeżdżać poza obręb Lwowa. Łatwo zrozumieć skutki podobnego zarządzenia.

Praca na polu historycznem nowemi tymczasem pomnażała się publikacjami. Roku 1860 ogłosił Schmitt „Pogląd na żywot i pisma księdza Hugona Kollataja, podkanclerzego koronnego“. w którym, jak się wyraził „skromnym wieńcem pragnął uczcić grób zasłużonego ojezyźnie człowieka“ — ofiary złośliwej potwarzy. Dziełko to pobudziło znów Nestora dziejopisów — Lelewela do przesłania bratniej odezwy, kreślonej drżącą z osłabienia ręką w dniu 9 listopada 1860.

„Szanowny Ziomku! Czułe dzięki za miłe zgłoszenie się Wasze z dnia 5. czerwca b. r. Cieszy mię, że się zabieracie do dalszego dziejów narodowych wypracowania i druku. Winię też, że odbył już ogłoszonych cząstek, dostarcza środków do dalszego wydawnictwa. Znam z doświadczenia wydawanie podobne dzieł własnych, bo ogłoszenia najogromniejszego z dzieł mych tym sposobem dokazałem. Byłoby to wyszło całe lichy, to jest ledwie w połowie tego co jest gdyby do belgickiej grzeczności nie był doskoczył Gałęzowski i nasi, u których on resursa wydobywał. To też me materiały i dzieło samo ogromniały i wedwójnasób wzrosły. Wasze podobno rozrastają się też. Lękam się tylko, aby wzrost zbyt nie sprawił przewłoki; a co więcej lękam się, aby burza jaka nie przerwała Wam trudów. Bo też u was wszystko coś po-



woli, czyli opieszale, leniwie postępuje. Nie mówię to do takich ogłoszeń, które nowych wymagają trudów, jak n. p. wydawnictwo źródeł do dziejów narodowych przez Bielowskiego, ale do ogłoszeń przedrukiem zwać się mogących, jak Lindego, który pewnie w tym r. 1860 nie wyjdzie... Co bądź, czy będę widział, czy pomacam koniec Waszej historii, wielce wątpię. Tymczasem szczęście Boże! — spieszcie!...

Wasza analiza żywota i pism Kołłątaja, powszechny aplauz znalazła. Czytelnicy w ciągu ogłoszenia, rozlubowani, pytali mię, czy to wyjdzie w osobnej książeczce? Odpowiedziałem: spodziewam się z pewnością. Podzielałem ich ukontentowanie i zabierałem się do pisania do Was i pióro i papier były gotowe, gdy nadszedł nr. 99 „Dziennika literackiego“ (pag. 219 książeczki) a w nim wyczytałem: „Lelewel uprzedzony bezzasadnemi oskarżeniami Linowskiego...„

... „Wszakże to jest dość powszechny zwyczaj bohaterów swego pióra sławić, nieskazitelnymi czynić. Tak Chodźko i Koźmian podniósł Dąbrowskiego bez zarzutu, tak Julian Bartoszewicz obmył z kurzu Naruszewicza, tak Henryk Schmitt dał poznać Kołłątaja. Miło się to czyta, to budzi cześć dla zasług i cnoty; niech przecie wolno będzie innym wglądać w krew i kości, wielbiąc sprawy i zasługi, rozpoznawać opinie, usposobienie, skłonność. Być może, żem nie dość o nim powiedział. Przemawianie jego

za sprawą ludu zasługiwało na wspomnienie, ale w sejmie czteroletnim tak mało, tak nie o ludzie nie było, żem go z oka stracił...”

Już w ciągu druku pierwszych zeszytów „Rysu dziejów” poruszyły księgarnie Poznania i Warszawy myśl wprowadzenia historii Schmitta do spisu książek szkół średnich, względnie nakłaniały autora do wypracowania odpowiedniego dziełka, redakcja „Czasu” zaś proponowała mu r. 1859 wydanie treściwego podręcznika dziejów przeszłości ojczyściej, z której powstało następnie wydane r. 1863 obszerniejsze dzieło: „Dzieje narodu polskiego od najdawniejszych do najnowszych czasów potocznie opowiedziane”.

Zanim „Dzieje” opuściły prasę, odkrywało się przed Schmittem nowe pole działalności.

„Reorganizacja wychowania w Królestwie” pisał w tej mierze Władysław Bentkowski — „i przywrócenie uniwersytetu otwierają ci widoki skuteczniejszego działania w Warszawie na polu historii ojczyściej, niżli we Lwowie, bo jakież to pociągający i szeroki zakres działania, młodzieży polskiej dzieje i nauki przeszłości żywym móż wykładać głosem! Jeżeli więc będziesz tam ciągnięty, nie daj się dwa razy prosić...”

I rzeczywiście istniał w Warszawie projekt powierzenia Schmittowi katedry historii polskiej. Dyrektor komisji oświecenia Krzywicki miał mianowicie zamiar dwóch powołać na tę katedrę profesorów, jednego do prelekcji źródeł, drugiego do wykładu dziejów i traktować co do pierwszej

posady z Bielowskim, co do drugiej z Schmittem. Przeszłość polityczna Schmitta nadała sprawie odmienny kierunek.

Wzmagający się zakres pracy Schmitta na polu dziejo-pisarstwa i zamierzone dalsze wydawnictwa wymagały poznania źródeł dziejów polskich, przechowanych w zagranicznych księgozbiorach. — W tym celu przedsięwziął r. 1862 kilkomiesięczną podróż naukową, w ciągu której zawiązał ściślejsze stosunki z kolegami pióra i poznał bliżej ich usiłowania, zabiegi i pracę narodową.

W połowie maja wyruszył przez Wrocław do Poznania, zwiedził część Wielkopolski, udał się następnie do Berlina, ztamtąd przez Kolonię, Akwisgran, Brukselę do Londynu, na koniec do Paryża, gdzie przez trzy miesiące gromadził skrzętnie dziejowe materiały.

Wycieczkę tę opisał szczegółowo w listach do żony, mając zamiar ogłosić z czasem pamiętnik podróży. Listy te pouczają nas dokładnie o doznanych wrażeniach i zapatrywaniach Schmitta, o tegoż styczności z mieszkającymi za granicą rodakami, są zarazem ilustracją stosunków i dalszym dowodem płomiennej miłości kraju — ośi, około której grupowały się dążności, ogniska, w którym skupiały się myśli jego, to też stosownie do intencyj Schmitta, niektóre z tych listów w dosłownem przytaczamy brzmieniu.

Wrocław 15 maja 1862.

Dziś rano o godzinie dziewiątej opuściłem Kraków. Okolica, do Krzeszowie ładna, potem zaś aż do Mysłowic, granicy Szlązka pruskiego smutna, bo piaszczysta. Z Krakowa do Mysłowic jest mil siedm a jednak wloką się, z powodu częstego stawania i podpisywania paszportu w Szczakowej, kilka godzin. Jak gdyby tego nie było dosyć, zatrzymują w Mysłowicach pociąg na całe cztery godziny. Rób co chcesz w tym razie. Pójść gdzie trudno, a nawet nie znajdziesz kąta cichego, gdzieby można sobie usiąść i czytać swobodnie. Lecz, że zawsze bywa podróżnych zastęp nie mały, zdarzyło się zatem dość szczęśliwie, że w Mysłowicach znalazłem na dworcu kolei dwóch Polaków, jeden z Poznńskiego, drugi z Litwy. — Litwin zapytał mnie nawiasowo o nazwisko, a gdy mu wymieniłem, zapytał dalej, czy jestem tym Schmittem który pisze dzieje polskie.

Na zatwierdzającą odpowiedź, wyściskał mnie serdecznie z nieudaną radością osobistego poznania. — Odjechał pociągiem do Krakowa, Poznańczyk zaś, Twardowski był mym towarzyszem podróży do Wrocławia, gdzie dzień zabawić muszę dla widzenia się z Mosbachem i Replem, którzy pracują również w zawodzie dziejów polskich.

Co za ogromna różnica przedstawia się oku jadącego, gdy tylko przeminie granicę szląsko-pruską. — Po obu stronach drogi kolejnej spotrzegasz niezliczone fabryki mniejsze i większe,

których dym tak kłębiący unosi się nad całą okolicą, że zdawałoby się prawie, jakoby ogromny pożar kraj cały niszczył.

Blżej drogi widzisz całe, częstokroć olbrzymie gmachy fabryczne, a w większej odległości, lub z za lasów spostrzegamy tylko wysokie kominy dymiące. Tysiące tych kominów świadczą, że w kraju tym do wysokiego stopnia przemysł ożywiony, który mnóstwo rąk codziennie zajmuje. Ta mnogość fabryk zaściela przestrzeń kraju na ośm mil wzdłuż drogi, czyli cały prawie Szląsk górny. Do niektórych większych zakładów fabrycznych, idzie osobna kolej żelazna, kosztem przedsiębiorców założona. Przy wielkich gmachach oglądamy zwykle mnóstwo ładnych, mурowanych domków, pokrytych dachówką, w których mieszkają robotnicy. Taki zakład fabryczny wygląda z daleka, jakby małe miasteczko, a jeżeli kilka fabryk jest razem skupionych, przybiera pozór dość dużego miasta. I miasta zresztą, jak same zaraz Mysłowice, Opawa i inne są prawie z samych fabryk złożone. Z pomiędzy wysokich kominów fabrycznych ukazują się wszędzie wspaniałe wieże kościelne, najczęściej kształtów starożytnych, a zbudowane w stylu gotyckim.

Dworców kolejowych jest bardzo wiele w tej części Szląska. Pociąg zatrzymuje się co mila, często co pół mili, a po drodze spotykasz ciągle pociągi ciężarowe. Jeżeli ten ruch ogromny na kolei i to mnóstwo fabryk cię zachwyca, toć rów-



nie miłego doznajesz uczucia patrząc na staranną uprawę roli. Każdy kawałek ziemi jest tu najlepiej użyty; wszędzie widzisz, że mieszkają ludzie jako tako wykształceni i myślący, którzy z roli umieją wyciągnąć pożytek. Pola wyglądają prawie jak ogrody i trzeba prawdziwie naocznie to wszystko widzieć, aby ocenić jak daleko u nas jeszcze do jakiej takiej cywilizacji. Wsie wszystkie, jakie widziałem w pobliżu drogi, są porządnie zabudowane. Dachy są albo gontem pokryte, albo dachówką. Mieszkania same dość obszerne; po dwa okna po obu stronach drzwi wchodowych; domy murowane, albo z drzewa stoją rzędami, a wszystko wygląda nader schludnie i porządnie.

Z tego widać jak cywilizacja wzmogła się w tej dziedzinie dawnej Piastów naszych, gdzie była oraz kolebka rodu naszego. Leez smutno przytem patrzeć na zupełną zmianę narodowości; miasta i w ogóle cała inteligencja są dziś zupełnie niemieckie. Na dworcach kolei żelaznej nie rozmówisz się po polsku, a gdy zagadasz do kogo w tym języku, albo ci odpowie, że nie rozumie, albo taką odezwie się polszczyzną, że nie wiesz prawdziwie po jakiemu mówi. O uczuciu narodowo-polskiem nie ma tu mowy nawet. Ze względu na mój ubiór polski, przemawiali do mnie tak urzędnicy, jak nawet żandarmi po dworcach łamaną polszczyzną—zapewne z grzeczności. Świadczy to o zmniejszeniu się nienawiści, narodowej, która do niedawna te strony trapiła.

W ogóle nader niemiły to widok, gdy w kraju niegdyś czysto polskim dziś prawie zupełnie nie ma Polaków. Lud mówi wprawdzie dotąd nibyto po polsku, lecz ta polszczyzna jest dla nas prawie niezrozumiałą. I ten lud nie czuje się Polakiem. Gdy go zapytasz kim jest, czy Polakiem? odpowie: nie. Niemcem być także nie chce i często słowa po niemiecku nie rozumie, ale nazywa się Szlązakiem, a ojczyzną jego jest — król pruski! Szląsk mógłby wprawdzie w krótkim czasie stać się prowincją czysto polską, gdyby był pod rządem polskim, lecz dziś niepodobna tu myśleć o zaniecaniu polszczyzny, gdy niemieckość góruje w inteligencji, a wszystkie majątki ziemskie są w posiadaniu Niemców.

Duchowieństwo przemawia wprawdzie do ludu po polsku, a raczej po szląsku, lecz i ono nie ma poczucia w sobie polskiego. Tak więc nie ma nadzieji o rozbudzeniu ducha polskiego na Szląsku; wszelkie zaś nadzieje w tej mierze są najzupełniejszem złudzeniem. Niemcy tutejsi są wprawdzie dość grzeczni, lecz poznać, że nie sympatyzują z naszą narodowością...

\*

\*

\*

Poznań 19 maja 1862.

W poprzednim liście przyrzekłem opis Wrocławia, to też dotrzymuję. Miasto nie jest może większe co do rozległości od Lwowa, lecz gdy w niem nie widziałem nigdzie dworów, może więc w swych wysokich kamienicach po-

mieścić znaczną liczbę mieszkańców. Wszędzie, gdzie okiem powiedziesz, przechadzając się po ulicach, oglądasz ślady przemysłu. Wchodząc w główne ulice ku rynkowi, widzisz sklep koło sklepu, a nie przesadzę, gdy powiem, że tych sklepów w rynku i przyległych doń ulicach tyśiące naliczyć można. Patrząc na tę masę sklepów zapytuje człowiek ze zdumieniem, któż kupuje to wszystko? gdzie są ci mieszkańcy, dla których tyle bogactwa roztoczono? I rzeczywiście, na miasto same wystarczyłaby jedna dziesiąta część tych sklepów, reszta dla przejezdnych i okolicy. Z gmachów zasługuje na wzmiankę i uwagę dworzec kolei żelaznej, dalej kilka ślicznych świątyń starożytnych, potem zaś bardzo ładny i poważny ratusz. Kamienice po największej części dwu lub trzypiętrowe, a nawet wyższe; niektóre z nich budowane i ozdobione wspornikami. Lecz co mnie uderzyło, to brak zupełny balkonów, które znów u nas tak zwyczajne. Ruch w mieście ogromny. Na przedmieściach znów fabryki jedna koło drugiej — gmachy potężnych rozmiarów. Wszystko to atoli nie mogło ukoić przykrego w mem sercu uczucia. Widziałem wprawdzie rozbudzony do wysokiego stopnia przemysł, patrzyłem na bogactwa, na zamożność tysięcy skupionych w jednym punkcie, lecz gdy sobie wspomniałem, że miasto to niegdyś polskie dziś ani śladu nie ma polskości, gdy nie usłyszałem wyrazu nawet polskiego, a przytem spostrzegłem, jak na mój strój polski wszystko

ze zdziwieniem jakimś spoglądało, a bardzo często stawano po ulicach, aby na mnie patrzeć, owładnęło mnie przykre uczucie i powiedziałbym nawet bolesne. Ta niemieckość najzupełniejsza mieszkańców, ich usposobienia nam w części nieprzyjazne, te twarze prusko-niemieckie, wszystko to razem nie mogło mnie zachwycać, chociaż potęgę przemysłu przed okiem mojem roztoczonego podziwiać mimo woli musiałem. Pobyt mój w Wrocławiu nie był długi, pozostałem bowiem dwie nocy i dzień, toż i nie poznałem prawie nikogo. Mosbach, u którego byłem, dziwne ma wyobrażenie o przeszłości naszej i o dzisiejszych stosunkach. Jest wprawdzie Polakiem, ale chciałby, abyśmy nie drażnili niczem przeciwników naszych, lecz rozwijali się tylko wewnętrznie i przestawali na tem, co nam przyznają. Prawdziwy mól książkowy, lecz nie zgadzam się z wiedzą, która nie tętni całą pełnią dla sprawy narodowej, nie zgadzam się z literatami, którzy nie pragną żyć, działać i — umierać dla sprawy ojczystej.

W piątek tj. 16 maja, stanąłem w południe w Poznaniu. Są tutaj wszystkiego dwa zajezdne domy polskie, t. j. takie do których Polacy zajeżdżają. Stanąłem w Bazarze, hotelu głównie polskim, gdzie jest i „koło polskie“ czyli kasyno. Bentkowskiego nie zastałem w Poznaniu, odjechał na sejm do Berlina. Udałem się naprzód do księgarni Żupańskiego, gdzie zostałem jak najserdeczniej przyjęty. Gdy mu powiedziałem,

Po co się wybrałem w drogę, oświadczył mi zaraz, że nabędzie odemnie rękopis panowania Stanisława Augusta. Przyrzekłem, że w sierpniu odpowiem na jego propozycję. Z literatów tutejszych poznałem najpierw Kazimierza Jarochońskiego.

Wszędzie przyjmują mnie tutaj jak brata, szczerze, serdecznie, z otwartymi ramionami. Jarochoński nie posiadał się z radości; jesteśmy prawie ciągle z sobą, a rozmawiamy, jak gdybyśmy od dziada razem się wychowywali. Jest między nami i ten jeszcze łącznik, iż i on jest współpracownikiem Gazety warszawskiej. Człowiek nader pracowity, szczerzy, otwarty, pełen wiadomości, przytem gorący w uczuciach dla kraju. Spędzam z nim wiele czasu, oprowadza mnie wszędzie, gdzie jest co do widzenia i zaznajamia z tutejszymi ludźmi. Żyjąc z nimi nie spostrzegam prawie, że Poznań ma pozór miasta przeważnie niemieckiego. Wróciwszy do hotelu poznałem Władysława Niegolewskiego. Ucieszył się niezmiernie i oświadczył mi przy pierwszym poznaniu, iż dawno pragnął mnie poznać. Musiał odjechać tego samego dnia z żoną na wieś. Zapraszał mnie koniecznie do siebie, lecz nie wiem czy znajdę na tyle czasu, aby uczynić zadość zaproszeniu, chociaż pragnąłbym szczerze poznać tutejsze domowe życie szlachty.

Sam Poznań jest znacznie mniejszy od Lwowa, ale piękne miasto. Zbudowany regularnie ma kilka ładnych budynków starożytnych. Ulice



szerokie i wygodne, kamienice schludne, po największej części dwupiętrowe. Otoczony murem, wałami i utwierdzeniami, należy do rzędu większych fortec Europy...

\*

\*

\*

Pogorzela 23 maja 1862.

Gdym list do was wyprawił, byłem pewny, że za dwa lub trzy dni wyjadę z Poznania. Tymczasem stało się inaczej. Nazajutrz, albo raczej tego samego dnia poznałem Jana Działyńskiego. Jest to człowiek jeszcze młody i nader czynny. Dowiedziawszy się, że bawi w Poznaniu i ma niebawem odjechać na sejm do Berlina, poszedłem do niego, nietylko aby go odwiedzić, jako człowieka zajmującego się gorliwie sprawą narodową, ale zarazem aby uzyskać od niego pozwolenie korzystania z bogatych zbiorów. Co do ostatniego nie mogłem się spodziewać trudności, lecz chodziło mi głównie o to, aby mi w razie potrzeby przesłał to lub owo pocztą, co mi będzie niezbędnem.

Nie odmówił memu żądaniu, a tak mam i z tej strony nie małe ułatwienie. W tym samym dniu przyjechał do Poznania brat Kazimierza Jarochowskiego. Jest on proboszczem w Pogorzeli, dwanaście mil od Poznania. Zetknięcie się nasze było zaraz na wstępie nader serdeczne, ponieważ to człowiek gorąco do sprawy przywiązany. Obaj bracia wybierali się do rodziców o pięć mil od Poznania mieszkających i zaprosili mnie do wspólnej wycieczki. Nie ociągałem się, lecz udałem

z Jarochowskimi do Sokolnik małych. W tym samym wagonie jechał i Jan Działyński na sejm do Berlina. Rozmawialiśmy żywo całą godzinę o sprawach naszych i wyznam szczerze, że Działyński mi się bardzo podobał, ponieważ jest to człowiek pragnący rzetelnie dobra kraju i odbudowania Polski. Dowiedziałem się zaś później, że szlachetnie postępuje sobie z oficjalistami swymi i z włościanami, i że nie ma prawie wypadku, aby kogo z nich ostrzej traktował. U niego w domu wszystko jak najskromniej; matka wzorem oszczędności, a przytem dobroczynności. Powiadano mi, że Działyński nie odmówił jeszcze nigdy znacznego zasiłku, gdy szło o sprawę publiczną, a mają tu przekonanie, że gotów każdej chwili bez wahania oddać cały swój majątek, jeżeli tego ojczyzna zapotrzebuje. Teraz n. p. oddał folwark znaczny z dochodami na szkołę rolniczą i przeznaczył duży budynek w Kurniku na gmach szkolny. Czemuż u nas nie ma takich ludzi? Lecz wracam de wycieczki. W trzy godziny stanęliśmy w Sokolnikach, nie wielkim majątku ziemskim Jarochowskich. Było już około północy i wszyscy spali, prócz syna gospodarstwa, który wyjechał naprzeciw do dworca kolei w Szamotułach. Nazajutrz uprzedzono mnie, że gospodarz domu cierpi na podagrę i zapewne będzie musiał leżeć w łóżku, lecz gdy po przywitaniu gospodyni i jej córki usiadłem do kawy, wszedł gospodarz o lasce, nie mogąc wytrzymać, aby nie przywitać gości. Wierząc mi, że dzień prze-

pędzony w gronie tych zacnych osób, może śmiało utkwic w pamięci jako miły życia obrazek. Cóż to za gorący patryjotyzm u matki i córki, co za szlachetny sposób myślenia u ojca i synów! Miłość ojczyzny, jest w tym prawdziwie szlacheckim, albo raczej szlachetnym domu chlebem codziennym, niezbędną potrzebą.

Nieupadliśmy jeszcze, jeżeli wspólność myśli i uczuć kojarzy w bratni zastęp mieszkających najodleglejš od siebie rodaków. Pod wieczór zjechało się kilka osób z sąsiedztwa, między innymi pólkownik Zakrzewski.

Wróciwszy do Poznania, zwiedziłem tutejsze archiwum grodzkie, gdzie wiele ciekawych znajduje się źródeł do dziejów naszych. Siedziałem w niem kilka godzin i uprosiłem Jarochowskiego, aby mi kazał sporządzić niektóre odpisy. Podczas objadu, który jadam zawsze w „Bazarze“, przybył Rustejko, Litwin — emigrant, obecnie bibliotekarz Działyńskiego w Kurniku. Oświadczył mi, że umyślnie przyjechał po mnie; rzecz prosta, że zaraz z nim pojechałem. Pałac, czyli zamek Działyńskich należy do najwspanialszych gmachów w Polsce. Wystawiony z ogromnym przepychem; sale zdobione kosztownie przypominają dawne czasy Rzeczypospolitej. Zbiory naukowe dotąd nieuporządkowane, tak że zaraz z nich korzystać nie mogłem, ale mi przyrzekł Rustejko, że za miesiąc wybierze wszystko, co do czasów Stanisława Augusta potrzebne. Jak gmach jest świetny, a w nim sale, zawierające

muzeum, zbiór dawnych zbroi, przyborów, stroju i ozdób domowych i rycerskich, tak życie właściciela jest skromne i nie wytworne. W bibliotece, nieułożonej jeszcze widziałem rzadkości, mające wysoką wartość. Rustejko krząta się pilnie, lecz tu trzeba kilku ludzi, aby wszystko co prędzej pozafatwiać.

Od Rustejki, który przed czterema miesiącami z Paryża przybył dowiedziałem się, że Cieglewicz w dość przykrem położeniu, z powodu ciągłych projektów ulepszenia machin parowych przy kolejach żelaznych. Ciągłe rysuje i układa plany, tem samem nie ma czasu o innem pomyśleć zatrudnieniu. Wczoraj w południe wróciłem do Poznania, wszedłem w układ z Żupańskim o wydanie wielu z moich prac drobniejszych, a wieczorem wyruszyłem w dalszą drogę, lecz nie wprost do Berlina, ale z księdzem Jarochowskim pocztą do Pogorzeli. Podróż nocna pocztą nie należy do najprzyjemniejszych, gdy sześć osób jedzie jednym powozem, siedząc po trzy rzędem. Jeżdżą wprawdzie prędzej niżli u nas, ale zato niewygodniej. W domu Jarochowskich spotkałem się ze zwyczajami, czysto szlacheckimi, jakie i u nas jeszcze widzieć można. Gościnność, uprzejmość, przytem niewymuszoność. Stary Jarochowski był r. 1831 w powstaniu, a r. 1846 przechowywał Mierosławskiego u siebie, za co wraz z innymi był uwięziony, ale go po roku uwolniono. Synowie jego starsi jak Kazimierz i ksiądz byli w powstaniu r. 1848 i bili się dziel-

nie z Prusakami. Ksiądz ma teraz proces z powodu poselskich wyborów.

Lud wiejski jest tu nader poczciwy — czuje się Polakiem i nienawidzi rządu pruskiego. Włościanie trzymają ze szlachtą i inteligencją, a trzymają tak silnie, że wszystkie zabiegi najwymyślniejsze rządu są marne i nie zdolne odciągnąć ich od tej łączności. Natomiast miasta albo całkiem, albo przeważnie zgermanizowane; żydzi trzymają z rządem pruskim...

\* \* \*

Pogorzela 28 maja 1862.

Doniosłem Ci w ostatnim liście, że wyjechałem z księdzem Jarochońskim do Pogorzeli w powiecie Krotoszyńskim, aby poznać choćby część dawnej Wielkopolski i przypatrzeć się jako tako stosunkom tutejszym. Zaczny Jarochoński jest księdzem, jakich daj nam Boże jak najwięcej; nieodrodny syn przodków, kocha kraj nad wszystko. Wpływ księży na lud jest tutaj ogromny, lud otacza swych kapłanów czcią największą, idzie we wszystkim za nimi. Dzięki usilnej pracy tutejszego kleru, trzyma tu lud ze szlachtą, czuje się każdy włościanin Polakiem. Poszedłem z Jarochońskim pod strzechę wieśniaka; zastaliśmy go czytającego „Przyjaciela ludu“. Przyjął nas uprzejmie i z czcią największą, pytał zarazem, co tam słyhać w świecie i czy prędko nadejdzie już czas, że droga ojczyzna pozbędzie się obcych.



Gdy mu powiedział mój towarzysz, że jestem z innych stron Polski, że mam przeszło 100 mil do domu, ucieszył się pocziwy włościanin niewymownie dziękując księdzu, że wprowadził pod ubogą strzechę jego, pana, przybyłego z tak dalekich stron wspólnej ojczyzny. Ks. Jarochowski zaręczał mi, że tak myślących i czujących włościan znajdę w Wielkopolsce tysiące. A wszystko to jest dziełem tutejszych księży, którzy istotnie nad utrzymaniem miłości ojczyzny między ludem szczerze pracują. Możesz sobie łatwo wyobrazić, jaką mię to radością przejęło, jaką błogością wypełniło serce moje. Mój Boże! kiedyż u nas lud uczuje się ludem polskim?... W niedzielę byłem na sumie w Pogorzeli. Nabożeństwo zaczęło się od procesji naokoło kościoła. Jarochowski zaintonował „Boże coś Polskę“, a za nim cała owa mnogość w kościele zebrana. Łatwo pojmiesz, jakie to na mnie wywarło wrażenie, gdy usłyszałem pieśń tę przez tysiące ludu wiejskiego spiewaną. Po procesji było kazanie; Jarochowski mówił krótko, lecz przemawiał tu kapłan - polak do ludu polskiego w nieszczęściach i niewoli ojczyzny, o jej krzywdach i o nadziei w Bogu, że kiedyś nad nami się ulituje i ziści nasze oczekiwania. Dowodził zarazem ludowi, że cnotami, pobożnością prawdziwą powinien każdy jednać sobie dobrotliwego Boga, gdyż tym jedynie sposobem można wymodlić pomyślność dla ojczyzny. Kazanie było prześliczne, a rozrzewniło mię do łez, ponieważ nie przywykłem jeszcze do słysze-

nia słów podobnych z kazalnicy, wymierzonych do mnóstwa zebranego ludu. W czasie nabożeństwa spiewano na chórze kolejno wszystkie nasze pieśni narodowe, nawet chorał Ujejskiego.

Z Jarochowskim udałem się na odpust do Gołstynia, gdzie jest bogaty klasztor Filipinów. Przełożony klasztoru był mi bardzo rad, a i inni księża równie szczerze mię witali na Wielkopolskiej ziemi. Zaproszeń było co niemiara, i gdybym chciał uczynić zadość życzeniom, trzebaby tu przynajmniej pół roku siedzieć. Pojechaliśmy dalej do państwa Mycielskich

Franciszek Mycielski ożeniony jest z Tarnowską, stryjeczną siostrą Władysława. Spędziłem tam cały wieczór, i mówiliśmy oczywiście o sprawie naszej, a mówili z ogniem i życiem. Mycielscy mają wiele ukształcenia, są oboje bardzo mili i patriotyczni. Oświadczył mi Mycielski, że za bytnością swą we Lwowie, dokąd niebawem ma pojechać pragnie odwzajemnić mi się odwiedzinami. Przyjął mię nader uprzejmie, lecz pytał zarazem, czy może wyniosłem się z kraju na emigrację. Uspokoiłem go zapewnieniem, że najgorzej ci robią, którzy wychodzą za granicę, ponieważ obowiązkiem każdego służyć ojczyźnie we własnej zagrodzie. Łukaszewicz nie pisze teraz wiele i tylko kiedy, niekiedy przeszle jaki artykuł do którego z pism czasowych; szkoda bo to człowiek bardzo rozległej nauki. Z kolei zaglądaliśmy do państwa Szymońskich. Są to ludzie bezdzietni, mają nie wielki majątek ziemski, ale bardzo do-

brze zagospodarowany. Szymońska jest z królestwa i dlatego ciągle wzdycha, żeby wrócić na zagon rodzinny.

Chłódność pożycia w Wielkopolsce nie odpowiada jej usposobieniom, gdyż rzeczywiście nie udzielają się tu sobie nawzajem, jak u nas. Każdy osobno jest bardzo gorliwym Polakiem, a niemal gorliwszym jeszcze katolikiem, ale nie żyją z sobą tak szczerze; owiał ich już wiatr zachodni. Na brak gościnności nie można się użalać, ale to zawsze nie miłe, że nigdzie prawie nie znajdziesz większego grona zebranych. Za to zbierają się na rozmaitych zjazdach w większej liczbie.

W powrocie z Gostynia wstąpiliśmy do hr. Żółtowskiego. Jest to także bardzo dobry Polak. człowiek wykształcony, a przytem nader dobroczynny. Przyjął nas nadzwyczaj serdecznie i spędziłem w domu jego kilka godzin przyjemnych, chociaż nie we wszystkim zgadzamy się z sobą. Uprowadzony z góry o usposobieniu i wyobrażeniach gospodarza, unikałem starannie takich przedmiotów rozmowy, gdzie w rażącym musielibyśmy stanąć przeciwieństwie z sobą, chociaż zapytany przezeń i w tej mierze, wypowiedziałem krótko a dobitnie moje zdanie, lecz nie wdałem się w rozprawy. Mówiliśmy za to obszerniej o stosunkach wzajemnych, o zaletach i wadach obu prowincyj naszych.

Wczoraj byłem w Krotoszynie, gdzie poznałem oficera pruskiego — Polaka. Służy na to w wojsku, aby się obeznać z wojskowością i w

nadzieji, że uzbierane na tem polu wiadomości, użyje na rzecz własnego kraju. Opowiadał mi, że ze swymi kolegami oficerami, nie żyje bliżej, czego mu nawet za złe nie biorą. Innego zresztą wspomnienia nie uniosłem z Krotoszyna, gdzie nadto wielu Prusaków, by miasto miłe na mnie mogło zrobić wrażenie. Lecz wsie są przeważnie polskie, lubo w niektórych okolicach wiele posiadało Niemców. Chociaż dość rzadko się wydarza, są przecież wypadki, że Niemcy tutejsi, protestanci przechodzą na katolicyzm i stają się potem gorliwymi Polakami, nie ma zaś w nowszym czasie odwrotnego wypadku; a tak można się spodziewać, że niemieckość nie weźmie tu góry...

\*                      \*

Berlin 1 czerwca 1862.

Jestem w Berlinie. Przyjechałem tutaj wczoraj wieczór, lecz dotąd z nikim jeszcze z naszych nie mówiłem. Wszystko tu tak mi obce, tak niemiłe, że aż dreszcz serce i duszę moją przechodzi. Cóż mi z owych cudów i objawów przemysłu, coś z widzenia tylu dzieł sztuki i tych olbrzymich zasobów i środków wiedzy, gdy to wszystko nie przemawia wprost do uczuć moich? Mogę je podziwiać, lecz kocham tylko swoje.

Zanim przystąpię do opisu Berlina i wrażeń, jakie na mnie wywarł, muszę naszkicować podróż mą z Pogorzeli do Rawicza, gdzie miałem

wsiaść do wagonu. Wyjechaliśmy z Pogorzeli po nieszpórach. Droga idzie przez kraj nader płaski i równy; nigdzie prawie nie widać pagórka, ponieważ z małemi wyjątkami cała Wielkopolska jest płaszczyzną. Stanęliśmy na chwilę w Krobi. Po drodze spotykaliśmy wielu włościan. Wszyscy noszą kapelusze podobne do naszych cylindrów, a przytem kapoty, głównie granatowe. Najoryginalniejszą częścią ich ubrania są ogromne kołnierze od koszul, zwykle mocno krochmalone, stojące powyżej uszu, poprzewiązywane wstążkami, najczęściej pasowemi w kształcie krawatki z długimi fontaziami. Z Krobi pojechaliśmy do Szurkowa do Wilczyńskiego, gdzie mieliśmy zamieszkać. U Wilczyńskich zastaliśmy gości: państwa Mycielskich, dwóch panów Czarneckich jeszcze jakieś małżeństwo, którego nazwisko zapomniałem. Chciałem się przebrać, ale gospodarz domu nie pozwolił, mówiąc, że w domu szlachcica polskiego może każdy rodak wystąpić i po podróznemu. Imię moje było tu znane, gdyż każdy Wielkopolanin wiedział, iż bawię w ich prowincji, ponieważ „Dziennik poznański“ doniósł o tem współrodakom. Podczas kolacji zapraszała mnie pani Mycielska, abym przecież i ich domem nie gardził. Musiałem przyrzec, że za powrotem z Paryża nie omieszkam uczynić zadość uprzejmemu wezwaniu.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy w dalszą drogę i wstąpili do p. Skawieczńskiego. Wszyscy byli mi tu radzi, jak rodzonemu bratu. „Po co je-



„dziesz tak prędko“, prosili, „zostań trochę przynajmniej z nami, można i wieczór odjechać, po co spieszyć“ itp. Konstanty Skawieczynski wraz z ks. Jarochowskim odprowadzili mię do Rawicza. Muszę jeszcze dodać, że Skawieczynscy należą do nielicznych w Wielkopolsce ludzi, którzy przywdziali strój polski, jako strój codzienny; damy chodzą w żałobie.

Z Rawicza jechałem sam w coupé aż do Leszna, gdzie wsiadł jakiś Niemiec, jak się potem przedstawił Simon Levy, podobno żyd kupiec-hurtownik, sprawujący interesa bankierskie. Zaczął ze mną rozmowę, która bardzo mię zajęła; oświadczył mi bowiem, że lubo nie umie po polsku, czuję się przecież Polakiem i zawsze z Polakami głośnie, gdyż jego przodkowie osiedli jeszcze przed kilku wiekami w Wielkopolsce. W Czempinie wsiadła do wagonu jejmość jadąca do Landsbergu. Opowiadała mi, że sama przedtem dłuższy czas mieszkała w Wielkopolsce i że, lubo Niemka z rodu, rozumie po polsku. Przenosząc się pod Landsberg wzięła z sobą nieco sług-Polek, z czego wynikło, że każde z jej dzieci mówi pierwej po polsku, niżli po niemiecku. Jest to także zjawisko niepraktykowane w tych stronach, gdzie cywilizatorowie niemieccy radziby wszystko wynaradawiać. Wspominała mi przytem, jakich okrucieństw dopuszczało się wojsko pruskie r. 1848 i jak jej mąż wszelkich przykładów starań, by ochronić sąsiadów od gwałtów żołnierzy. Ośm mil za Poznaniem miesz-

kają już sami Niemcy, choć cały kraj nad Notecią był niegdyś polski; rząd atoli pruski wynarodowił naprzód tę część ojcowizny naszej. Przejeżdżałem koło Nakła, pod którem począwszy od czasów Władysława Hermana aż do połączenia Pomorza wschodniego z Polską, a następnie znów od Władysława Łokietka, aż do odzyskania zaboru, dokonanego przez Krzyżaków, tyle walk staczano! Dziś tu cicho — a wszystko niemieckie. Przykro patrzeć!

Przejeżdżałem i koło Lubusza, także niegdyś polskiego. dalej przez Kostrzyń, warownię mocną przy połączeniu Warty z Odrą. Nad wieczorem byliśmy w Frankfurcie nad Odrą, pamiętym dla nas z pomysłnej wyprawy Łokietka r. 1326, którą wspólnie z Litwinami przedsięwziął na margrabię zgorzelickiego czyli brandeburskiego. Wyobrażałem sobie w duchu owe zastępy polskolitewskie, które wtedy wetowały na Niemcach krzywdy, doznawane ze strony niemieckich Krzyżaków. A dziś, niestety, władają nami Krzyżacy. Och! smutno, boleśnie o tem pomyśleć! Lecz dzieje rozwoju ludzkości i narodu naszego nie zamknięte jeszcze!...

W tej właśnie chwili przyniósł mi wysłaniec Bentkowskiego list od niego, wraz z biletem wstępu na galerję podczas posiedzenia izby niższej sejmu pruskiego. Przerwałem list i udałem się z wysłańcem do sali sejmowej. W pół godziny zjawił się na galerji Bentkowski i poszliśmy do muzeum królewskiego, zawierającego

dzieła sztuki i starożytności. Najpierw oprowadził mnie Bentkowski po salach, gdzie są umieszczone rzeźby i posągi; jest tego wielkie mnóstwo. Zaczęliśmy od greckich, przeszli do rzymskich, dalej do średniowiecznych i najnowszych. Trudno opisać wrażenie, jakiego się doznaje, widząc te zabytki sztuki odległych wieków. Cóż to za cuda rąk ludzkich, co za arcydzieła, świadczące w ożywionym do dnia dzisiejszego marmurze o potęgze ducha ludzkiego!

Po rzeźbach oglądaliśmy galerję obrazów, urządzoną wedle chronologicznego porządku, jak się sztuka malarska rozwijała. Pierwszy oddział zawiera w mnogich salach szkoły włoskie i hiszpańskie. Zaczyna się od starowłoskiej szkoły i dochodzi stopniami do szkół nowszych. Arcydzieł słynnych po innych galerjach obrazów jest tu mniej może ale kto chce nabyć wyobrażenia jak sztuka malarska we Włoszech się rozwijała, musi zwiedzić galerję berlińską. Z galerji obrazów przeszliśmy do zbioru pieczęci, numismatów i kamei, dalej do zbioru kopji rzeźbionych lub odlewanych wedle starożytnych arcydzieł, do zbiorów naczyń szklanych i porcelanowych z różnych czasów, do zbioru etrusków, narzędzi zbroi i modeli świątyń dawnych, do muzeum starożytności egipskich, starożytności północnych tj. normańskich, niemieckich i słowiańskich, w końcu do zbioru etnograficznego.\*)

---

\*) Następuje obszerny opis Berlina i osobliwości miasta

. . . Z przechadzki poszliśmy do Działyńskiego. Tu zastałem obecnych w Berlinie posłów polskich; radzą nad tem, aby zakupić jaki dziennik niemiecki i wpływać przezeń na opinię w duchu przychylnym sprawie polskiej, jakoteż odpierać wszelkie potwarze i zaczepki dzienników niemieckich.

Działyński zapoznał mię z obecnymi. Z wybitnych osobistości był tam Libelt i ks. Prusinowski, redaktor „Tygodnika katolickiego“, dalej Stablewski, Żółtowski, Łubieński i inni. Przyjęli mię, jak gdyby dawnego znajomego. Musiałem im wyjaśniać nasze stosunki, o których nie wiedzą wiele; czemu bynajmniej dziwić się nie można, gdyż rzadko kto ze stron naszych bywa w Wielkopolsce, a przybywający przypadkowo, nie opisuje wedle prawdy i należyście to wszystko, co się u nas dzieje. Szczególniej przeświadczam się tu ciągle, że nie mają dokładnych pojęć co to jest sprawa ruska, dalej, że myślą do dnia dzisiejszego, iż Lwów jast przeważnie niemieckiem miastem.

Nie wyobrazisz sobie ich zdziwienia, oraz radości, gdy im wykazałem, że żywioł polski ma we Lwowie stanowczą przewagę, i że zupełnie inaczej w miastach naszych wygląda niżli u nich. Wykazałem im również znaczenie sprawy ruskiej, oraz cele Świętojurców. Przy każdej sposobności muszę na nowo to wszystko omawiać, lecz sądzę, że im daję najczystsze pojęcia o stanie rzeczy.

Przyszły tutaj świeże wiadomości, że Wielopolski znów jest w łasce u cara, i że projekt jego utworzenia wszechnicy w Warszawie zyskał już podobno zatwierdzenie carskie. Być więc bardzo może, że nadejdzie urzędowe do mnie wezwanie na profesurę. Wszyscy tutaj zgadzają się na to, że z obowiązku obywatelskiego powinien każdy przyjąć wezwanie. Przyjmę też, gdyż od pełnienia obowiązków obywatelskich, choćby nawet niebezpiecznych, mnie najmniej się usuwać wolno, skoro drugim nieustannie to przyganiam. Po przyjęciu zresztą w Wielkopolsce mogę słusznie wnosić, że w pocziwej Warszawie równie będzie serdecznie, i że miłość rodaków nagrodzi nam sownie wszelkie gorycze, jakieby przyszło ponosić ze strony rządu..

\*

\*

\*

Londyn 10 czerwca. — Paryż 12 czerwca 1862.

Wyprawiwszy list ostatni, w którym wspominałem o mem przybyciu do Londynu, nie mogłem już potem znaleźć tyle czasu, aby swobodnie zasiąść do pisania. Jest tutaj tyle do widzenia, że chcąc część przynajmniej oglądać, trzeba ciągle być w ruchu. Zacząłem, jak nadmieniałem w liście, od wystawy powszechnej, a dotąd nie mogłem się na to zdobyć, aby po raz wtóry być na tej wystawie. Teraz przystępuję do skreślenia chronologicznego tych wrażeń jakich doznawałem zwiedzając różne, przeróżne miejsca Londynu; zacznę zaś od opisu wielkich



miejsce publicznych, a zakończę opisem rozmaitych zebrań wieczornych...\*)

.....

Wieczorem poszedłem na zebranie tutejszych demokratów polskich. Zgromadzenie było dość liczne; posiedzenie odbyło się porządnie na sposób angielski, choć rozprawy szły żywo, a nawet namiętnie. Po zamknięciu trzygodzinnego posiedzenia, zabrałem głos do zebranych: mówiłem wprawdzie bez przygotowania, lecz od serca i z zapalem. Sala trzęsła się od oklasków, któremi ciągle mi przerywano. Gdym skończył, cisnęli się wszyscy do mnie, a niektórzy ze starej emigracji nie mogli się wydziwić, jak mi potem opowiadano, iż nieemigrant mówił tak, „jak gdyby od r. 1831 był na emigracji“. Nie sądź bynajmniej że im schlebiałem; przeciwnie, w niejednem odmiennie od ich zapatrywań, objawiłem zdanie, ale objawiłem jako gorący patriota i to wywołało wrażenie. Mówiłem od serca, a słowa me wnikły w ich serca. Są to wszystko ludzie, którzy tu w Anglii z pracy rąk swych żyją; niebędąc nikomu ciężarem, nieustannie śnią i marzą o naszej Polsce ukochanej. Na ten temat nastroiłem mowę i znalazłem dla słów mych uznanie...

.....

We wtorek wybrałem się powtórnie na wystawę powszechną... Każdy kraj ma tutaj swe miejsce osobne, Polski tylko, niestety, nie wi-

---

\*) Następują opisy pałacu kryształowego, parlamentu, parków, kościołów itp.

dzisz. Polskich przedmiotów też nader mało, i aż smutno pomyśleć, że to jest wynikiem naszej opieszałości, ponieważ nie jedno mogło się znaleźć na wystawie, a nawet godne zająć tamże miejsce. Węgrzy lepiej pomyśleli o sobie i nadesłali prócz win, zbóż i innych wyrobów, także fotografowane doskonale stroje ludowe z różnych okolic swego kraju. Tak zaś zaimponowali Anglikom, że dzienniki powiadają, iż opłaciłoby się zawiazać bezpośrednio stosunki handlowe z Węgrami. Od nas, gdzie tyle jest bogactwa w ziemi nic a nic prawie nie nadesłano, a i to co przysłano jest porozrzucane, lub tak niepozorne, że nie ściąga na siebie nawet bliższej uwagi.

. . . . .  
Po przybyciu do Paryża udałem się zaraz do księgarni Królikowskiego, wziąłem za przewodnika Wąsowicza ze starej emigracji i poszedłem z nim do Leonarda Chodźki. Przyjął mnie nader uprzejmie i przyrzekł wszelką pomoc w moich poszukiwaniach. Z kolei zwiedziłem bibliotekę polską i zyskałem również obietnicę pomocy.

Co będzie z Warszawą nie wiem, i to tylko pewne, że ważne tam zajdą zmiany. Czy mnie powołają na profesora, jak było przed pół rokiem w projekcie, nie mogę teraz orzekać, skoro mi odmówiono wizy na paszporcie ze strony rosyjskiej. Wątpię nawet aby co z tego było, ponieważ nie przypuszczam takiego liberalizmu ze strony władz rosyjskich, które nim nigdy nie grzeszyły...

Paryż 18 czerwca 1862.

.....Z rodaków naszych, w Paryżu mieszkających, poznałem już oprócz Chodźki, Królikowskiego i Wąsowicza, Seweryna Gałęzowskiego, Elżanowskiego, redaktora Przeglądu rzeczy polskich, jenerała Wysockiego i kilku innych. W sobotę udałem się do hotelu Lambert do księcia Władysława Czartoryskiego. Odźwierny zapowiedział mi, że właśnie ma się zacząć śniadanie, a tem samem księcia widzieć nie można. Posłałem mu bilet, sam zaś poszedłem do biblioteki. Po kilku minutach zjawił się książę w bibliotece i bardzo szczerze przywitał „tak rzadkiego gościa w Paryżu“, oświadczając przytem, że był we Lwowie kilka razy u mnie, ale nie mógł się ze mną widzieć, gdyż bawiliśmy na wsi. Dowiedziawszy się o celu mej podróży wydał polecenie bibliotekarzowi. aby mi kazał przygotować stolik do pracy i dostarczał książek, których zażądam. Rozpocząłem też zaraz mą pracę. Trzeba się pilnie zwijać, aby z tych zapasów skorzystać, jest tu bowiem przeszło 100 tomów rękopisów do czasów Stanisława Augusta, a obok tego mam jeszcze zbiór Chodźki. Na nieszczęście nie można w tych obu zbiorach przesiadywać o różnych godzinach, ale będę się starał, aby mi do domu dozwolono brać książki, gdzie mógłbym dziennie po 15 robić godzin.

Dotąd przeglądałem pamiętniki samego Stanisława Augusta. Jest ich dwa tomy tylko, a więc nie całe, ale w nich znalazłem niezmier-

nie ważne rysy do charakteryzowania osób, które potem głośne odgrywały rolę.

Wieczór wczorajszy spędziłem u jenerała Wysockiego. Zmartwił się tem niesłychanie, gdy odebrał telegraficzną wiadomość z Turynu, że rząd włoski rozwiązał wojskową szkołę polską, która tam istniała. Było w niej przeszło 100 młodzieży, a same ich przewiezienie kosztowało 12.000 franków, Dziś i ten zarodek jakiejś organizacji wojskowej rozbito. Najdziwniejsza, że przed kilku jeszcze dniami oświadczone dyrektrowi tej szkoły urzędownie, że włoskie władze są zupełnie zadowolone z zachowywania się szkoły. Widać, iż na wyraźne żądanie Rosji krok ten uczyniono; że wszędzie zatem nas poświęcają, gdy własny tego wymaga interes. Jest to rozczarowanie dla innych, ale nie dla mnie, gdyż nigdy na zewnętrzne sympatje i pomoc nie liczyłem.

\*                      \*

Paryż 24 czerwca 1862.

. . . . . Od chwili listu mego ostatniego, płynie me życie w Paryżu bardzo jednostajnie. Przed południem pracuję do godziny 12 w domu, potem idę do hotelu Lambert, gdzie siedzę do szóstej. Ztamtąd idę na obiad do traktyerni Duvala, a następnie do kawiarni de la Regence, gdzie są niektóre polskie dzienniki. Wracam zwykle przed ósmą do mieszkania i znów piszę, lub czytam do 12 albo 1 godziny po północy. Znajomości nie

zawieram już żadnych; odłożyłem też na ostatek zwiedzenie tego, co w Paryżu widzieć można, aby nie przerywać pracy...

Przed kilku dniami udałem się z Gałęzowskim do szkoły polskiej na Batignolles. Jest w niej obecnie 350 elewów, podzielonych na klas dziewięć; samych prawie synów emigrantów polskich z różnych stron zebranych, gdyż z Francji, Anglii, Hiszpanii, Algerii, a nawet z Ameryki. Chłopey ci wstępując do szkoły nie umieją zwykle po polsku i dopiero w szkole uczą się ojczystego języka. Przedmioty wykładają się w języku francuskim, gdyż inaczej nie mogliby uczniowie korzystać później z wykładów w szkołach francuskich, lecz obok tego uczą pilnie po polsku, a pokazywano mi wypracowania polskie, którym nie a nie zarzucić nie można. Porządek w szkole wzorowy, czystość niezwykła, toż warto, aby kto z naszych zakładów zwiedził tę szkołę dla przekonania się, jak powinno być w podobnych instytucjach.

Ład i karność wojskowa; chłopey pod nieustannym dozorem i okiem starszych, wyglądają zdrowo i czerstwo, w naukach piękne czynią postępy, tak, iż oddawani później do innych szkół zyskują nierównie więcej nagród, aniżeli Francuzi. Jest to najużyteczniejsze dzieło na jakie się emigracja zdobyła, dzieło zawdzięczające swój stan obecny głównie Gałęzowskiemu, lekarzowi szkoły wileńskiej, który wyszedłszy po r. 1831 wraz z innymi z kraju, dorobił się w Me-



ksyku znacznego majątku, obrócił część tegoż na szkołę polską, a powołany na prezesa rady nadzorczej, opiekuje się gorliwie instytutem, popierając go moralnie i materialnie. Takim ludziom należy się prawdziwie cześć najwyższa...

\*                      \*

Paryż 5 sierpnia 1862

.... Ile mnie się zdaje, nie będzie nic z profesury w Warszawie, ponieważ wątpię, aby rząd rosyjski na to zezwolił. Dobrze usiłowania tych, którzy chcieliby pościągać jak najwięcej narodowych ludzi do wszechnicy warszawskiej, skończą się na tem, że rząd tylko takich zatwierdzi kandydatów, których nie uważa za niebezpiecznych. Zresztą w Warszawie ogromne jest wzburzenie a część młodzieży, przywiedziona do ostateczności myśli nawet o powstaniu. które dziś mogłoby tylko kraj na nowo krwią zalać, a sprawie naszej nie przyniosłoby korzyści. Na nieszczęście są i w Paryżu ludzie, którzy wraz z Mierosławskim pracują nad wywołaniem zbrojnego ruchu w Warszawie; wszyscy zaś rozważniejsi pracują nad tem, aby temu przeszkodzić, gdy obecnie niema rzeczywiście najmniejszego prawdopodobieństwa, by się powstanie udać mogło. Lękać się atoli potrzeba, by ostatecznie do takiego kroku nie przyszło. Mówiłem przed kilku dniami z jenerałem Wysockim, który również obawia się takiego ruchu przedwczesnego, powstrzymuje się jednak od sprężystego przeciw temu wystąpienia,

by go nie obwołano jako reakcjonarjusza. Mniemam, że gdzie idzie o dobro ojczyzny, tam nie należy żadnemi uwodzić się względami, ale każde niewczesne powstrzymać działanie. Może komitet emigracyjny, który teraz się właśnie zawiązał, będzie mógł skuteczniej na kraj wpływać, a szczególnie, jeżeli taki program przyjmą jaki proponowałem. Zgodzili się na moje zdanie, czy atoli tak postąpią, nie wiem; ja uczyniłem, co uważałem za mój obowiązek.

\* \* \*

Paryż 19 sierpnia 1862

. . . W ciągu minionego tygodnia byłem świadkiem dwu uroczystości. Pierwszą z nich było rozdanie nagród w szkole polskiej w Batignolles. Jest tutaj we Francji zupełnie inny zwyczaj, niż u nas, a daleko lepszy, bo zachęcający młodzież do pracy. Po skończonym popisie, urządzają albo salę, albo wielki namiot w dziedzińcu szkolnym, zbiera się całe grono profesorów, cały zarząd, czyli rada szkolna, przybywa wysłany przez rząd komisarz, zwykle członek akademji i liczna, rozesłanemi biletami zaproszona publiczność. O oznaczonej godzinie rozpoczyna się uroczystość przemową jednego z przełożonych zakładu, poczem zabiera głos komisarz rządowy; dalej następuje rozdawanie nagród, których jest bardzo wiele, dla każdej klasy bowiem i każdego przedmiotu, przeznaczone są dwie nagrody, złożone z wieńca i książki lub

innego drobiazgu, Oddawanie takiej nagrody połączone jest z formalnościami: przygrywa muzyka, jeden z przełożonych lub komisarz rządowy wkłada uczniowi wieniec na głowę i całuje go w czoło.

Już to w narodzie francuskim wielka jest dla nas sympatja. Gdy tego roku rozdawano podobne nagrody w Sorbonie, gdzie zwykle sam minister oświecenia jest przytomny i całe ciało dyplomatyczne, mnóstwo dygnitarzy i znakomości, przyjęła zebrana publiczność dawnych uczniów szkoły polskiej z takim zapalem i radością, iż cały gmach trząsł się od okrzyków. Nagrodzonych w Sorbonie było podobno sześciu Polaków. Przy każdego wystąpieniu ponawiały się te objawy zapalu, a chociaż nasi rodacy zabrali nagrody Francuzom, młodzież francuska nie posiadała się z radości, ale z tysiąca piersi wołała: brawo Polacy! niech żyją Polacy! niech żyje Polska!

Posłom niektórych mocarstw nie bardzo było przyjemnem słyszeć podobne okrzyki, a nawet minister francuski miał mocno się zmięszać tą serdeczną manifestacją najświetniejszej części publiczności francuskiej. Otóż na te gorące sympatje powołał się w swej mowie komisarz rządowy na Batignolles, zaręczając, że Francja szczerze sprzyjała i sprzyja Polakom.

Drugą uroczystością były imieniny cesarza, 15 sierpnia, obchodzone z ogromnym przepychem pod nazwą „narodowego święta“. Jest to jeden

z najuroczystszych dni w roku. Wszystkie sklepy wszystkie biura pozamykane, nawet rzemieślnicy i uwierzy w dniu tym nie pracują. Wszędzie na olbrzymich afiszach widnieją programy uroczystości i zabaw, we wszystkich dziennikach umieszczone ogłoszenia, a obok tego w każdej główniejszej ulicy można spotkać pełno wołających: „Program narodowego święta!”

Ze wszystkich kamienic powiewaia chorągwie, a ruch niesłychany w mieście, skupia się potem w dwóch miejscach, t. j. na przedmieściu św. Antoniego i począwszy od Tuileryów, na placu de la Concorde, koło hotelu Inwalidów i na polach elizejskich. Na rzece odbywają się wyścigi czółnami, a oba brzegi są zakryte tłumami ludzi. Patrząc na te zastępy, możnaby sądzić, że ich już nigdzie indziej niema, ale wszedłszy na obszerny plac koło domu Inwalidów, widzi się go znów napełnionym publicznością. Na tym placu są dwa teatra zbudowane na prędcie, gdzie kosztem rządu przedstawiają z wielkim przepychem zwykłe sceny z wojen francuskich; dalej widać akrobatów, produkujących się na linie i w innych sztukach, płaconych również kosztem rządu.

Prócz tego stoi na placu Inwalidów przynajmniej piętnaście teatrzyków, gdzie figlami, muzyką i dowcipami ciekawą wabią publiczność. Kilkaśet namiotów na kawiarnie, piwiarnie i gry rozmaitego rodzaju. Wrzawa i hałas, aż się w głowie mąci, a tłumy przechodzących niedadzą

chwili ustać w miejscu. Gdym był na placu dwie mnie rzeczy szczególnie uderzały, naprzód, ogromna masa ludzi, powtórę dziecinność warstw pracujących w Paryżu, które znajdują upodobanie w takich głupstwach, jakie tam w teatrzykach przedstawiają. Patrząc na te zabawy, trudno naprawdę uwierzyć, że się jest w stolicy najwyżej ucywilizowanego kraju. Lecz z drugiej strony ten ruch, to życie, te bogactwa, zamożność to duma narodowa!

Jakżeż boleśnie robi się w sercu, że my nie mając ojczyzny, nie możemy się czuć tak swobodnymi...

Wieczór była iluminacya pól elizejskich, niektórych ulic, placów, hotelów i gmachów rządowych, płonących szeregiem oświetlonych girland i słupów, różnokolorowemi lampionami i strugami gazowych świateł. Przy Quai d'Orsin, tuż koło pola Marsa, sztuczne ognie, imponujące swą wielkością, hukiem dział, trzaskiem tysiąca wypuszczonych rakiet, rozpryskujących się w różnobarwne gwiazdy.

Te ciągle zamachy w Warszawie są prawdziwym nieszczęściem i lękam się bardzo, by nie sprowadziły jakiego przedwczesnego wybuchu, który dziś żadną miarą udać się nie może. Dreczy mię to niesłychanie; nie mogę czasami sypiać nawet, gdy sobie wspomnę na wszystkie możliwe złąd klęski. Ludzie rozważni



nie mają widocznie wpływu na część gorącą społeczeństwa i mogą być mimowoli wciągnięni do czynu, który nie obiecuje powodzenia. Mówię o tem wszystkim, proszę, zaklinam do złączenia się w silną organizację, któraby ujęła wszystko w karby i nie dozwoliła marnować bez celu sił narodowych. Tutejsze dzienniki zaczynają przebąkiwać, że owe zamachy na Lüdersa, księcia Konstantego i Wielopolskiego, są dziełem tajemnych sprzysiężeń. I cóż z tego wyniknie? Och Boże! serce się kraje gdy wspomnę o tem, iż znów mnogie padną ofiary, a co smutniejsza cofnie się wstecz nasza sprawa. Nam trzeba dziś koniecznie jeszcze spokoju, aby się zorganizować, a tu ciągle przeszkody, ciągła gorączka w narodzie, usposobienie nieprzyjazne pracom organicznym, bez których żaden zamysł udać się nam nie może...

\*

\*

\*

„Obce mogę podziwiać, kochać tylko swoje“ — jest to myśl jaśniejsza w listach Schmitta, który pojął wzrok imponującymi widokami stolic światowych, zachwycając się arcydziełami postępu i cywilizacyi, sercem pewracał do skromnych zagród rodzinnych; uznając potężne zdobycze obcego społeczeństwa, bolał nad położeniem własnej ojczyzny. Chęć wiedzy i nauki powiodła go do galerji obrazów Berlina, do kryształowego pałacu Londynu; miłość kraju zwabiła do chatki chłopka poznańskiego, do cichego kościółka Po-

gorzeli, a skoro odkryte w bibliotece Czartoryskich źródła do dziejów ojczystych niezwykle zażądały pracy, zobojętniał na wszelkie powaby Paryża, oddany wyłącznie zajęciu, w którym widział przysługę do swego społeczeństwa. On zwykł w cichości, bez zgiełku pracować dla sprawy narodowej, bez szukania oklasków, sławy i wziętości za to, co uważał jako swój obowiązek działać dla ojczyzny.

Gorąco i szczerze podjętą była praca jego wśród krwawych wysiłków styczniowego ruchu. Pierwotnie pod wpływem rozważań i znajomości stosunków — przeciwny, jak widzieliśmy z listów, chwytaniu za broń, przeciwny walce orężnej kraju, nieprzygotowanego do ciężkich zapasów z caratem, odmienną w obec dokonanego faktu podążył drogą. Gdy dręczony, dotknięty do żywego naród, sztandar wolności w swoje chwycił dłonie, gdy miłość ojczyzny, poświęcenie i wiarę w świętość sprawy potężnym przeciwstawił zastępom północy, gdy gołą ręką, piersią obnażoną poszła młodzież zdobywać broń na przeciwniku, zrozumiał Schmitt, iż jedynie wspólnym splotem ramion, iż jedynie skupieniem wszystkich sił jednostek można pchnąć rozpoczęte dzieło na pomyślnie tory. Odgłos strzałów powstańczych rozniecił tlejącą iskrę w wnętrzu dawnego towarzysza prac konspiracyjnych i powołał go rychło do łącznej akcji. Z wrodzonym przejęciem się oddał Schmitt swe doświadczenie i pióro na usługi ojczyzny, otworzył dom swój dla dążących

na pole walki, i dla jej ofiar nieszczęsnych, a znana opiekunka cierpiących współbraci — Leokadja — godnie polskiej niewiasty, stanęła przy boku małżonka.

Pierwsza wieść o powstaniu zalektryzowała umysły w Galicji :

„Za broń“! zawołała szlachta i — po kilku zjazdach, naradach i sejmikach, schowała w kąty ojców szablance... niech dalej rdzewieją! „Za broń“ zawoła młodzież po miastach, nasunęła na ucho czapeczki i poszła tłumnie wciągać swe imię w listę ochotników; a Polki?... czyż trza pytać o to jeszcze? Małe chłopięta o czupurnej minie, bujnej fantazji, łączyły się w gromadki, ostrzyły blaszane szabelki „aby bić Moskała“.\*)

Rząd austriacki patrzył z razu przez szpary na objawy sympatji dla zakordonowej braci, na

---

\*) Taką gromadkę junaków spotkał za Lwowem jeden z okolicznej szlachty, a widząc malców bez opieki, zapytał dokąd to dążą?

— Do powstania, bić Moskała! — odrzekli odważni chłopcy.

Na propozycję szlachcica, iż podwiezie ich ku granicy powsiadali na wózek, który niebawem skręcił manowcami napowrót ku miastu. Wśród żwawej rozmowy i opowieści o życiu obozowem, bitwach i Moskałach, nie spostrzegły dzieciaki z razu podstępny, na widok jednak pierwszego domku przedmiejskiego, z okrzykiem: „zdrada bracia!“ rozpięchły się po polu. Nie bez trudności połapano zbiegów i odstawiono do domów, gdzie niektórych musieli rodzice przez dłuższy czas trzymać pod kluczem.

prace pomocnicze, zgromadzanie mundurów i broni\*), na formowanie i ćwiczenie powstańczych oddziałów. Niebawem zmieniły się jednak stosunki, więzienia otworzyły swe bramy dla licznej młodzieży, a ochotnicy, rozbitki i ranni zniewoleni byli ukrywać się przed bacznym okiem policji. Dom Schmittów był we Lwowie jednym z główniejszych ognisk. w którym zbiegały się nici tajemnego działania. Podczas kiedy Henryk związany z komitetem rewolucyjnym, pracował w przyjętym na siebie kierunku, pozostawał w styczności z wysłannikami i komisarzami Rządu narodowego jak ze Stanisławem Jarmundem, Milowiczem, Sawą, lub gorliwymi patriotami, jak z Dobrzańskim, M. Romanowskim, M. Pawlikowskim, Wolskim, M. Sokołowskim, W. Tarnowskim, W. Rapackim, i t. p., przebiegała Leokadja od świtu do nocy budynki więzienne niosąc słowa pociechy i pomoc materjalną strapionym. W towarzystwie Kamilli Poh, członka komitetu dam, zaopatrzona w zlecenia i instrukcje organizacji, które nosiła dla bezpieczeństwa przy sobie, ukryte sztucznie w fałdach sukni,

---

\*) Jedna z młodych patrijotek przenosząc broń pod płaszczem, opuściła na ziemię bagniet. Przechodzący oficer podniósłszy go, zagadnął z ironią:

— Sie haben einen Zahnstocher verloren...

— Spodziewam się po szarmanterji i grzeczności ofiera iż mi zwróci zgubę — odparła przytomna panienska biorąc śmiało bagniet z rąk nieprzygotowanego na taką odpowiedź oficera.

zbierała skwapliwie datki, wyprawiała eskortowanych, wychodziła naprzeciw transportów, odszukiwała najbardziej potrzebujących opieki. Czułe dla cierpiących serce w połączeniu z wytrwałością kierowały skutecznie jej krokami, wskazywały środki i sposoby, dozwalały nieść ulgę. łagodzić udręczenie.

„Dom Koralnika“ (mieszkanie Schmittów) stał się rychło popularnym, jako miejsce rady, opieki i pomocy dla rodaków, a imię Leokadii przeniesione przez emigrantów za granicę, budziło przez długie lata cześć i miłe wspomnienie u walczących z przeciwnościami losu rozbitków.

Z długiego szeregu nazwisk, które zbieg okoliczności złączył w tej epoce cierpień narodu z domem Schmittów, wspmniemy J. Wysockiego Alfonsa Didiera, Seweryna Wiercińskiego\*) Sta-

---

\*) *Alfons Didier* porucznik 77 pułku piechoty francuskiej, uzyskawszy dłuższy urlop przybył do Polski i brał udział w kilku wyprawach, między innymi pod Lelewalem i Waligórskim. — Po upływie urlopu wrócił do czynnej służby w Montpelier.

*Seweryn Wierciński*, oficer armii rosyjskiej, powracał kilkakrotnie na plac boju jak pod Czechowskim Zapałowiczem i tp. — Ostatecznie pod Kobylanką ciężkimi okryty ranami, (na samej głowie siedm cięć pałasza) po długiej niemocy wyjechał do Paryża i odbywał tam dalszą kurację, wyprawiony do wód kosztem rządu francuskiego. — Ożeniwszy się z Francuską założył fabrykę sztucznych kwiatów, którą prowadził do końca życia. — Razem z Sewerynem służył starszy brat jego sztabskapitan wojska rosyjskiego.



niśława Chmurowicza, ks. W. Bukowskiego, ośm-nastoletniego Litwina Masinkiewicza, D. Mężen-skiego, Ostroroga, Świetlickiego, Jana Skąpskiego Mianowskiego, rodzinę Henryka Nowakowskiego i t. d., i t. d.

Tajemna ucieczka Milowicza z więzienia lwowskiego została przeprowadzoną głównie za-biegami Schmittów, a następstwem patrioty-cznych działań ich, były pilny nadzór policyjny i kilkakrotne rewizye.

W nr. 9. Tygodnika (dodatku do „Gońca“) z dnia 30. maja 1863 ogłosił Schmitt rozprawę p. t. „Kilka uwag co do sposobu prowadzenia dziś wojny w Polsce“ wytknął wady dotycheza-sowego kierownictwa powstania, omówił warunki prowadzenia wojny partyzanckiej i przeszedł do wniosków, rad i wskazówek co do przyszłej or-ganizacyi ruchu. W artykule tym dopatrzył rząd austriacki istotę czynu zbrodni zakłócenia spokoju publicznego i postawił Schmitta, jako autora, Władysława Rapackiego, jako faktycznego reda-ktora i wydawcę czasopisma, w końcu Henryka Nowakowskiego, jako odpowiedzialnego redaktora „Gońca“ w stan oskarżenia, a gdy równocześnie podniesiono i inne przeciw Schmittowi i tegoż żonie zarzuty, stojące w związku z udziałem w pracy narodowej, wywiązała się cały szereg procesów politycznych.

Zanim procesa te przeszły wszystkie szcze-ble instancyi sądowych, ogłoszono stan oblężenia

w Galicyi, dopomagając tem skuteczniej Rosyi do paraliżowania działań wojennych i niweczenia zabiegów rządu narodowego. Prasie galicyjskiej nałożono więzy, utrudniono obronę spraw kraju. Dla pióra Schmitta otworzyło się jednak niebawem odpowiednie pole, gdy J. I. Kraszewski, A. Giller i inni postanowili założyć za granicą niezawisły dziennik polityczny „Ojczyzna“ i zaprosili Schmitta do współpracownictwa dla spraw galicyjskich.

...„Idźcie tylko o to“ -- pisał z Drezna 17 marca 1864 Agaton Giller — „ażeby ludzie prawdy i pracy nas popierali i zasilali; bo jakkolwiek na miejscu są znaczne siły umysłowe, to przecież, jeżeli nie będziecie nas zasilać i popierać z kraju, uwiędniemy i nie potrafimy odczuwać rzeczywistego pulsu, tętniącego w ojczyźnie. Proszę Cię więc Henryku o poparcie i współpracownictwo w naszym dzienniku. Chcielibyśmy, ażebyś wziął na siebie dział poświęcony sprawom Galicyi i nadsyłał nam artykuły rozumowane tak o pracach narodowych w ogóle, jak i w szczególności, o pracach tegoż charakteru ze względu na Galicyę, żebyś nam objaśniał kwestyę rusińską z punktu zasad, wypowiedzianych w programie naszym, a prócz tego, ażebyś nadsyłał przynajmniej dwa razy na tydzień, korespondencyę ze Lwowa, zawierającą wiadomości miejscowe, wiadomości z bliskich ziem Polski, zostających pod panowaniem moskiewskim. Jestem przekonany, że nikt lepiej od Ciebie nie potrafi ze

Lwowa objaśnić publiczności w kwestyach wyżej wzmiankowanych, dlatego też proszę Cię usilnie o przyjęcie współpracownictwa w naszym dzienniku“...

W drukarni Ojczyzny w Bendlikonie wyszła w r. 1864 praca Schmitta „Uwagi wywołane przez broszurę pod tytułem: „Kilka słów z powodu odezwy księcia Adama Sapiehy“, rozprawa napisana z punktu historycznego i politycznego w obronie środków używanych dotąd dla oswobodzenia Polski.

Po otrzymaniu listu Gillera nie długo pozostał Schmitt w kraju, gdyż wdrożone procesa dobiegały kresu, a zapadłe w pierwszych instancjach wyroki skazywały go na rok, żonę na czternaście dni zaostzonego więzienia. Postanowili więc wyjechać za granicę i na obczyźnie wyczekiwać amnestji.

W dniu 30. lipca 1864 rozłączyło się małżeństwo. Leokadja udała się na razie do Bileza, obwodu samborskiego, do Celestynów Chołodeckich, Henryk zaś powierzywszy Robertowi Hefernowi swe sprawy i bibliotekę odsiadującego więzienie w Ołomuńcu M. Pawlikowskiego, pojechał do Wróblowic, również w samborskiem położonej majątności Tarnowskich. Z Wróblowic wyruszył 2. sierpnia przez Mościska, Tarnów, Wadowice, Białę, Ołomuniec i Pragę do Cieplic, gdzie pięć dni wyczekiwał sposobności przemknięcia się przez granicę, co o tyle większą

przedstawiało trudność, iż wiózł ze sobą rozpoczęte prace, materiały i rękopisy.

Nareszcie udało mu się, przebranemu, przy pomocy przewodnika przejść na saskie terytorjum i stanąć po dwutygodniowej pielgrzymce w murach Drezna.

Piękna stolica Sasów, która do niedawna roiła się Polonią, goszcząc płaczących klęski ojczyzny wychodźców, zamknęła wrota dla dalszych przybyszów, a władze wydaliwszy przeważną część obcych, z trudnością udzielały pozwolenia dłuższego pobytu. Toż i Schmitt po trziedniowym wypoczynku i krótkim zatrzymaniu w Lipsku w celu widzenia się z Władysławem Tarnowskim\*) pospieszył do sędziwego ogniska polskiej emigracji — do Paryża.

Smutnie przedstawiało się życie tułaczy w Paryżu pod wpływem boleści nad losami kraju, pod wpływem troski o swą własną przyszłość. Większość wyczekiwała niecierpliwie amnestji, wzdychała do powrotu, reszta rozdzieliła się na trzy obozy.

---

\*) Władysław Tarnowski, poeta i muzyk zmarł nagle na okręcie City of Tokio na Oceanie spokojnym niedaleko od San-Francisco w r. 1878. Zwłoki sprowadzone z Kalifornii pochowano w Wróblowicach na cmentarzu przy wiejskiej cerkiewce.

Jedni, z Janem Kurzyną na czele, głosili, iż Rząd narodowy trwa, i powstanie wre na ziemi polskiej, drudzy pod wodzą Czartoryskiego pragnęli zaprzestać wszelkich czynności i wyczekiwać działań dyplomacji, trzeci, zgrupowani około Adama Sapiehy, nie chcieli rąk opuszczać, lecz gdy dalsze powstanie na razie niemożliwe, zaniechać wszelkiej powstańczej agitacji. Pierwszy obóz tracił z dniem każdym wpływ i znaczenie, drugiemu przyklaskiwali konserwatyści, podczas kiedy ostatni zyskiwał codzień na rozmiarach, jako najpraktyczniejszy w danem położeniu.

Wieść o mającej niebawem nastąpić amnestji rządu austriackiego uporczywie krążyła w kołach emigracji; opinia wyznaczała nawet termin amnestji i utrzymywała tem umysły w żywym naprężeniu. W obec nadziei zmiany stosunków, nie przedsiębrał też Schmitt z razu kroków, wiodących do ustalenia bytu na wygnaniu i zwlekał z powołaniem swej rodziny do Paryża. Dopiero z końcem września, gdy nie ziszczały się przepowiednie, podążyła Leokadja wraz z synem na ziemię francuską.

Wyjazd w odległe strony; rozstanie z krewnymi i znajomymi, porzucenie tyloletnich stosunków, by na obczyźnie, zdała od bliskich sercu, od uścisku dłoni bratniej, wśród nieznanego społeczeństwa, cudzoziemskich zwyczajów, odmiennych warunków przepędzić nieograniczony czas tułaczki, ciężkiem było przejściem dla przywiązanej całą duszą do penatów kobiety, dla Polki żyjącej ciepłem ojczystego znicza.



Przyjazd rodziny oddziałał ożywczo na stroskany umysł Schmitta, który urządziwszy swe nowe gniazdko oddał się znów w całej pełni pracy. Biblioteka Czartoryskich i inne naukowe zbiory Paryża stały dla niego otworem, czasopisma dopominały się o omawianie bieżących kwestji, a opłakane stosunki wśród polskiej kolonii wychodźców nagliły do ratunkowej akcji.

Z zapałem zajął się przyprowadzeniem do skutku projektu skupienia w jedno ciało polityczne różnorodnych żywiołów emigracyjnych. Była to praca olbrzymia ze względu na ówczesne usposobienie umysłów. Z jednej strony osobiste wchodziły w grę ambicje, z drugiej powszechna bieda i konieczność rzucania się do pierwszego lepszego zarobku na kawałek chleba, przytem stawiały przeszkody rozbudzone do pewnego stopnia namiętności, niekiedy brak wyrobionych pojęć politycznych.

Niektórzy oglądali się jeszcze na Rząd narodowy w kraju, nierozwiązując przytem pytania, czy rząd taki jest nadal możebnym, czy zdoła się utrzymać i działać.

Towarzystwo naukowe młodzieży, przemienione niebawem w Towarzystwo literacko-naukowe polskie, Towarzystwo wzajemnej pomocy, Komitet zjednoczenia, Towarzystwo demokratyczne, Komitet reprezentacyjny emigracji, oto instytucje dążące do zgrupowania wychodźstwa polskiego po wypadkach r. 1863. Drugą piękną sprawą było założenie odpowiedniego dziennika

(p. t. „Przegląd“); rzecz tem bardziej nagląca, iż czasopisma polskie w Belgii i Szwajcarji nie miały widoków egzystencji, zwłaszcza, że państwa te zmuszone były uwzględniać reklamacje silniejszych mocarstw.

Czasopism polskich w ogóle spora ilość pojawiła się niebawem wśród kolonji emigracyjnych.

Obok „Ojczyzny“ wydawanej jak wspomnieliśmy, staraniem Agatona Gillera pierwotnie w Lipsku, później w Bendlikonie, która pomimo wysiłków wydawcy upadła w listopadzie r. 1865, ukazały się z czasem „Niepodległość“ redagowana przez Aleksandrowicza pod opieką komitetu, dalej „Głos wolny“ w Londynie, „Wytrwałość“ w Brukselji, „Przyszłość“ pod redakcją Bartoszewicza, „Gmina“ pod redakcją Tokarzewicza, „Rzecz pospolita Polska“ pod redakcją Bulewskiego, „Sprawy Towarzystwa demokratycznego“ organ Mierosławskiego itp.

Galicja zyskała od czerwca 1865 r. nowy dziennik „Hasło“, kierowany przez J. I. Kraszewskiego. W wydawnictwie tem wielkie pokładano nadzieje, jakkolwiek skromny był fundusz zakładowy, gdyż spodziewano się potężnego poparcia ze strony obywateli. Kraszewski z całą siłą jał się pracy, mając w rzędzie towarzyszków Schmitta „zadowolony“, jak się wyraził w swej korespondencji z 26 maja 1865 „iż z powodu założonego pisma może się doń zbliżyć i zawrzeć z nim pożądaną, ściślejszą znajomość“...

Niebawem, gdyż już w trzy miesiące później doznał Kraszewski boleśnego 'wrażenia. „Piszę pod wpływem oburzenia, gniewny, chory... „Hasło“ upada, a upada z winy rodaków... paraliżuje to mnie do przedsięwzięcia czegokolwiek bądź... odbiera siły, otuchę... ale woła Boża... poddaję się temu nie tracąc energii...” — żalił się w liście do Schmitta 22 sierpnia 1865, chcąc ulżyć cierpiącej duszy. „Wracaj, szanowny panie“ apelował, kończąc swe wynużenia, „wracaj tam; potrzebni są ludzie... Wpływajcie na społeczeństwo galicyjskie, uleczcie je, jeśli można. Wasz głos i wpływ bardzo być może skutecznym...”

Dziwnym zbiegiem okoliczności, żałosną skarga, prośba „wracaj!” wielkiego hetmana bohaterów pióra otworzyła, niby na skinienie, zamknięte przed Schmittem graniczne zapory. Listonosz, który dążył na Boulevard du Montparnasse 84 wręczyć Schmittowi list od Kraszewskiego, niósł równocześnie radośną wieść od Heferna, zawartą w pospiesznej notatce: „Kochany Henryku! Jesteś objęty amnestją...”

W kilka tygodni po owym liście spieszył Schmitt z rodziną napowrót do Lwowa, a wiezione stosy rękopisów i notat świadczyły wymownie, iż gorliwie wyzyskał czas swego wychodźstwa. Pierwszym, większym owocem poszukiwań w zagranicznych zbiorach były ogłoszone r. 1866 nakładem Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych „Dzieje Polski XVIII i XIX wieku, opiewane przeważnie na niewydanych dotąd źród-

łach“, jako ciąg dalszy dzieła „Dzieje narodu polskiego od najdawniejszych czasów, potocznie opowiedziane“.

Wedle pierwotnego programu i umowy z wydawnictwem miała opracowana przez Schmitta historia ostatnich dwóch stuleci obejmować około 60 arkuszy druku, bogate i obfite materiały nie zezwoliły jednak autorowi zamknąć się w ciasnych granicach programu. Zmuszony był tom ostatni dziejów własnym ogłosić nakładem.

Praca ta znalazła gwałtownych krytyków w Józefie Szujskim i zwolennikach obozu jego i wywoła drażliwej natury zarzuty ze strony przeciwnej Schmittowi partji. Nie wchodząc w słuszność tych zarzutów, nie możemy nie wspomnąć, iż z drugiej strony liczni patrjoci z pełnemi uznania pospieszali wyrazami. Między innymi podążył Kraszewski zachęcać Schmitta do dalszych wydawnictw, ofiarując mu w tej mierze pomoc i usługę, a bawiący na ziemi multańskiej wygnańcy następującemi skromnemi, lecz zarazem rzewnemi słowami objawili swoje uczucie.

„...Pozwólcie Wielce Szanowny Panie, że wyrazimy Wam niezłudną wdzięczność za to dzieło, które szczególnie dla nas, tułaczy prawdziwym jest pokarmem duchowym. Czyż nie ozwiecie się na ogólnikową, a tak stentorską krytykę, pełną mielizny, o trzecim tomie dzieła Waszego?... Oby Bóg zachował Was przy zdrowiu i siłach albowiem zastęp dziejopisarzów tak mały, a nam

światła z historii tak dużo potrzeba, by rozświecać drogę przyszłości...”

Kilkunastomiesięczny pobyt za granicą złączył Schmitta stosunkami i węzłami przyjaźni z bawiącą w Paryżu emigracją, której prace dla ziemi rodzinnej podjęte podzielał i za powrotem do kraju. Seweryn Elżanowski\*) jako literat i więzień stanu, kolega Schmitta, Kasper Cieglewicz, Stanisław Jarmund i inni częstemi korespondencyami dawali dowody nieudanej życzliwości, jaką żywili dla towarzysza, któremu łos przyjazny rychło dozwolił wrócić do ojców zagrody.

Wydarzenia r. 1866 postawiły Galicję w szczególniejszem położeniu i podniosły ją do głównego ogniska narodowego życia. Kraj ujrzał się ważnym przybytkiem polskości, spostrzegł, pojął zadanie, jakie mu przypadło w udziale, lecz zadrzał zarazem na myśl niekorzystnych warunków wewnętrznych, na myśl pewnej niemocy duchowej i materjalnej do objęcia przewodnictwa i steru.

Znalazł się w stadjum chaosu, z którego należało zebrać potrzebne żywioły, musiał budować i szukać budowniczych, musiał odczuwany, głoszony patriotyzm w czyn przemieniać, mozolną, żmudną, lecz ciągłą, wytrwałą rozpocząć pracę, zbierać w jedność i ład organiczny, wyrabiać siły własne duchowo i materjalnie.

---

\*) Wyrokiem sądu stanu w Berlinie z 2 grudnia 1847 skazany wraz z innymi na ścięcie, jako główny sprawca ruchu demokratycznego w zaborze pruskim, został uwolniony przez berlińską rewolucję.



Zadość uczynienie ważniejszym wymaganiom kraju, powołanie Polaka, hr. Gołuchowskiego na urząd namiestnika, wprowadzenie języka polskiego do administracji, szkół i sądownictwa i inne ustępstwa otwierały nową drogę, rozta-  
czały pole organicznej pracy społeczeństwu w Galicji, przewodcom narodu, a tem samem i Schmittowi, który nie krępowany mógł oddać swobodnie swe siły na usługi ojczyzny. Odtąd też rozpoczyna się okres najpotężniejszej działalności Schmitta, odtąd dźwiga on z największym wysiłkiem rozliczne kamienie społecznej budowy, z dłutem i kielnią w dłoni kroczy po oświaty szlaku, piórem, słowem i wzorem zagrzewa do czynu, spina się żwawo na wyżynę zasług, nie-  
baczny, iż siły fizyczne mu niedopisują, iż nadwątłone zdrowie praw się swych domaga. — Mniejsza o siły! mniejsza o zdrowie! byle korzystać z chwili, byle odzyskać to, co wiekowe zatarły stosunki, byle zdobywać należne prawa byle iść naprzód!

Z jednej strony ogłasza publikację za publikację, zasila obficie czasopisma artykułami, bierze udział w istniejących towarzystwach, wykłada dzieje w prywatnych domach i publicznych instytucjach i kieruje biblioteką, z drugiej znosi się nieprzerwanie z mieszkającymi w kraju i za granicą patriotami, projektuje programy polityczne, przystępuje do nowych, pracuje nad związaniem dalszych stowarzyszeń, nad zakładaniem dzienników, uczestniczy w narodowych uro-

czystościach, żywym słowem wygłasza z estrady wypadki przeszłości narodu i zdobywa sobie jako członek Rady szkolnej potężny wpływ na oświatę ludu.

Do towarzystw, które już przedtem mieściły Schmitta w gronie swych członków, jak np. Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu, Towarzystwo literacko-naukowe polskie w Paryżu, lub galicyjskie Towarzystwo gospodarskie (gdzie roku 1861 w obec opłakanego stanu uprawy roli w kraju, spowodował powołanie do życia komisji, mającej przeprowadzić reorganizację zakładu agronomicznego w Dublanach), przybyły po roku 1866 inne towarzystwa, stowarzyszenia, kółka komitety, wzywające go do wspólnej pracy. W owym to czasie widzimy Schmitta oddanego zawiązaniu Towarzystwa narodowo-demokratycznego, spotykamy go na stanowisku prezesa Towarzystwa naukowo-literackiego, spostrzegamy go czynnym w Towarzystwie oświaty ludowej, kojącym dolę ofiar r. 1863 w Towarzystwie opieki narodowej itp.

Poruszona z początkiem r. 1867 myśl założenia dziennika w duchu narodowym pod kierownictwem Schmitta powołała go w celu narad i omówienia programu do Krakowa, gdzie, nie porzucając zamiaru starania się w danym razie o odpowiednie miejsce w składzie przyznanej właśnie Galicji Rady szkolnej krajowej, wyjawiał swą kandydaturę na katedrę dziejów w prastarej Jagiellonów wszechnicy.

Rozpoczęta z Szujskim i tegoż adherentami szermierka zaostrzyła się z biegiem czasu i przeszła w ową długoletnią walkę, jaką staczał dzielnie piórem Schmitt ze zwolennikami krakowskiego stronnictwa historyków. Kto w tej walce uzyskał moralne zwycięstwo, niech orzekną kompetentni, a bezstronni sędziowie.

W tym samym r. 1867 zakazał znów rząd rosyjski rozprzedaż prac historycznych Schmitta, czem zwrócił tylko uwagę ogółu na patriotyczne piętno publikacyi. W rezultacie przeszła pokryjomu znaczniejsza ilość zabronionych książek w granice ziem podległych rosyjskiemu berłu. Mniej pochopną, mniej skorą do wzbogacania wiedzy poważną lekturą i do popierania naukowych wydawnictw krajowych okazała się publiczność galicyjska.

Bolał nad tą apatją rodaków Schmitt, nie przez względna własną osobę, lecz przez wzgląd na sprawę, boleli nad nią i inni gorącego serca patrijoci, z których znany patriarcha ziemian, opiekun ludu wiejskiego Henryk Janko, w następujących słowach wyraził swe uczucie: „Dziękuję Ci zacny, krajowi wielce zasłużony ziomku, żeś mnie nie pominął w liczbie osób, którym powierzasz upowszechnienie użytecznej, bo naród kształcącej, pracy Twojej... Pojmuję słuszny Twój żal na złodowaciałe uczucie większości naszych ziomków, który musi być tem większy, im żywiej bije w sercach naszych przekonanie o potrzebie nabywania i rozszerzania wiedzy we wszystkich jej działach, a szczególnie na polu dziejów ojcys-

tych, których rozjaśnieniu z tak chlubnym i szczęśliwym oddajesz się skutkiem. Niechże Ci, kochany Henryku, służy równe szczęście w ich upowszechnieniu, gdyż wiem, iż przelanie w naród uzbieranych znojem lat całych wiadomości, jest najmiłą nagrodą wyższych umysłów. — Z niezmienną cziłą i przyjaźnią wierny Ci zawsze Henryk Janko.“

Dodatkiem dla społeczeństwa polskiego zjawiskiem, radośną dla Schmitta chwilą było zezwolenie rządu na publiczne wykłady porozbiorowej historii narodu, wygłaszane w sali ratuszowej Lwowa w ciągu zimy r. 1867/68. O znaczeniu wykładów tych poucza nas list M. Pawlikowskiego z 22 grudnia 1867.

Nie często odzywam się do kochanego Pana, a od niepamiętnych już czasów nie miałem od Niego ani słówka. Nie mniej pisząc dziś po tak długim milczeniu piszę z takim uczuciem, jakbysmy w ciągłej i częstej z sobą zostawali korespondencji. Iluż to takich na świecie, którzy żyjąc z sobą w codzienną styczność, mieszkając nawet razem, mniej wiedzą o sobie nawzajem niż my, którzyśmy tyle już nie widzieli się miesięcy i tak dawno nie pisali do siebie. Co do mnie wiem doskonale, co od czasu niewidzenia kochanego Pana smuciło go, a co cieszyło, co zajmowało myśl i serce. Pochlebiam sobie, że i Pan wiesz to samo o mnie... Przedewszystkiem przesałam Szanownym Państwu najszczerze życzenia świąt i nowego roku. A teraz nie życze-

nia, ale powinszowania mi przesłać wypada z powodu prelekcyj Pańskich. Nie odżałuję, że nie mogę być Pańskim słuchaczem.

Gdybyś Pan dotąd w życiu nie jeszcze nie był zrobił dla ojczyzny, żadnych nie zjednał sobie zasług ani żadnego jeszcze nie zdobył stanowiska na polu naukowem to samo otwarcie tych prelekcyj zjednałoby Panu niewygasłą wdzięczność narodu i piękne u potomnych nazwisko. Pojmuję, jak wielce wzruszonym czuć się Pan musisz wykładając — pierwszy z polskich uczonych — polskiej publiczności, dzieje nieszczęść naszych. Fakt to dobrej wróżby — te prelekcje — sama możliwość wykładów. Los szczęśliwy dozwolił Panu, pierwszemu z wszystkich od rozbioru, zabrać głos publicznie o dziejach upadku naszego i niedoli naszej i systematycznie rozpocząć wykłady po: rozbiorowej historii narodu. Los szczęśliwy dozwolił to Panu pierwszemu, ale nie sam los, czemuż bo nikt z naszych uczonych nieuczuł wprzód tego potrzebę? Pojmuję, że nie jeden epizod z nadzwyczajną będziesz Pan musiał omawiać oględnością — niejedno ważne pominąć milczeniem, aby nie narażać dobroczynnego wpływu jaki całość wykładów wywrzeć musi, tej korzyści, jaką kurs cały przyniesie. Szczęśliwe doprowadzenie wykładów do końca, zjedna Panu wyjątkowe miejsce w dziejach literatury naszej, miejsce, jakiego żaden dotąd z dziejopisów naszych nie uzyskał — nie wyłączając nawet Joachima i Maurycego...”



Jakkolwiek udział słuchaczy był stosunkowo liczny, jakkolwiek uznanie na każdym spotykało Schmitta kroku, gorący patryotyzm jego nie dozwalał mu czuć się zadowolonym z osiągniętych sukcesów. On daleki od celów osobistych, daleki od dogadzania własnej ambicji, pragnął, by społeczność polska, mając otwartą drogę, dążyła całą falą czerpać z krynicy wiedzy dziejowej, by wspólnie z prelegentem bolała nad przejściami ojezyny, by poznawała błędy, ujemne strony przeszłości i wyciągała z tąd naukę dla kroków przyszłości.

Żal swój wynurzał przed przyjaciółmi i wywiódł skargę przed J. I. Kraszewskiego, który właśnie pracował wówczas nad „Rachunkami”.

„Z prawdziwą wdzięcznością” odpowiedział 11 stycznia 1868 autor Starej Baśni, „ale zarazem z największym smutkiem odczytałem tak dla mnie ważne pismo Wasze, Szanowny nasz historyku. Kreślisz w niem obraz kraju, prawdziwie zastraszający, ale zgodny z tem, com i ja sam oglądał i co bije ze wszystkich objawów życia prowincji waszej. Niewystawiałem sobie wszakże, aby wasze odczyty nawet, które my tu z daleka chociaż w sprawozdaniach śledzimy, w tym zdrętwiałym Lwowie tak mało robiły wrażenia. Cóż ich już poruszy !!

Darmo się łudzić... Tak mi się serce ścisnęło, iż wyrazić Wam nie potrafię, co czuję. List Wasz jest dla mnie istotnem dobrodziejstwem, bo właśnie siedzę nad Rachunkami; ośmiela on mnie i upoważnia do srogiej chłosty, do której miałem

wstręt, ale dziś stała się ona obowiązkiem. Skorzystam z tych wskazówek... niech się potem jątrzą i gniewają... napiszę ostrą prawdę, niema to co w bawełnę obwijać.

Między nami mówiąc Rachunki tegoroczne będą wiele pracy kosztować, gdyż je chcę uczynić sprawozdaniem z całorocznych czynności; muszę więc każdy fakt i objaw studjować najstaranniej, co zdala nie zawsze łatwo przychodzi. Zrobię, co zdołam...

Odczytuję list, znowu mi się serce ściska; nieumię Wam wyrazić jaką mi nim! zrobiliście łaskę, bo Waszem doświadczeniem i powagą wsparty i pewniejszy siebie odezwę się w Rachunkach. Jeślibyście mieli jeszcze w tym przedmiocie myśl jaką Waszą do udzielenia, udzielcie mi jej proszę, ponieważ redakcyja ostateczna pociągnie się do końca lutego.

Są pewne znaki społecznego rozstroju, które pominąć trudno, a których dotknąć ledwie będę mógł ze wstrętem. Ciężkie zadanie... ciężkie... ale stoimy na rozdrożu i nie można się wahać, trzeba stanowczo wyrzec, dokąd zajść będziemy mogli.

Z prawdziwym szacunkiem i poważaniem dla niezmordowanej pracy i poświęcenia Waszego, ściskam dłoń Waszą i przyjaznej pamięci się polecam prawdziwy sługa J. I. Kraszewski."

Nieomieszkał Schmitt uczynić zadość wezwaniu Kraszewskiego, który o bolesną potraconą strunę podążył znów dać ulgę swej żalości.

„Dopiero dziś (25 stycznia 1868) na Wasz dla mnie zajmujący niezmiernie list odpowiedzieć mogę; parę dni byłem nie zdrów. Rachunki mnie nękają, robota odłożona ostatecznie na koniec roku, choć materyały były zawczasu przysposobione: jest niesłychanie mozolną i trudną. Co pisać? co wyrzucić? co chłostać, a czemu przepuścić? Szujski zrobił nad zeszłorocznymi Rachunkami jedną uwagę, istotnie słuszną, że faktów było mało. Tegoroczne będą niemal kroniką, ale wpadłem teraz naprzód w nader trudne zadanie wyboru... powtóre dwa razy większa praca; tamte Rachunki były programem, te są. lub być mają wypełnieniem.

Skorzystam na ten rok, o ile będzie można ze wskazówek Waszych; osobliwie ważność odczytu i żywego słowa, wpływ ich podnieść muszę. Jest to przecie wybitnym faktem roku ta myśl znakomita i tak pięknie wypełniona te odczyty Wasze. Ma to niezmierną ważność...

Macie wpływ tam jakikolwiek, róbcie co można dla przyszłości działając na młodzież, na uniwersytet, na szkoły. Jeśli się nie poprawi u was przy swobodzie jaką macie, przyjdzie myśleć, żeśmy istotnie na zgubę wyznaczeni, jakimś fatalizmem. „

W dniu 8 kwietnia 1868 zamknął Schmitt pierwszy cykl swoich wykładów, a wdzięczna publiczność pospieszyła z owacją dla niestrudzonego badacza przeszłości. Po wykładzie wystąpił imieniem słuchaczy Kornel Ujejski i wśród

nieprzerwanych grzmiących oklasków podziękował prelegantowi za podjęte trudy. Pełen natchnienia w płynących z głębi serca słowach oddał piewca „Skarg Jeremiego“ hołd zasługom Schmitta, wspomniał o krzywdzie, wyrządzanej mu przez politycznych przeciwników, podniósł znaczenie, użyteczność, naukową wartość i patryotyczną stronę odczytów i jako symbol łączności między narodem a tegoż historykiem, wręczył mu okazały pierścień brylantowy. Mowa Ujejskiego powtórzona w czasopismach publicznych, znalazła odgłos w kraju, odbiła się sympatycznym echem po dalekich obszarach Polski.

Wzruszony niespodziewaną uroczystością podniósł Schmitt w swej odpowiedzi, iż działając spełniał jedynie obowiązek obywatelski, zaś okazywane mu uznanie odnosi nie do dzieł dokonanych ale raczej do szczerych chęci służenia ojczyźnie.

Nie bez przyczyny położył Pawlikowski w swym liście nacisk na oględność w wykładach na przezorność w rozbiórce wypadków dziejowych; wiedział on iż władza rządowa musi żywić pewną nieufność do prelegenta o tak burzliwej przeszłości politycznej.

Schmitt wyszedł zwycięzko z trudności.

„Byłem u Gołuchowskiego,“ zauważył w tej mierze w liście 21 kwietnia 1868, „przyjął mnie nader uprzejmie, a nawet, rzec by można, po przyjacielsku. Życzył mi powodzenia i szczęścia w pracach moich, dodając, że i on pracuje dla dobra kraju, że zatem obaj pracujemy w

tym kierunku. Zaręczał, że jak podczas swego, pierwszego namiestnikostwa, mimo niezmiernych trudności pracował zawsze na rzecz naszej narodowości i coś przynajmniej chciał dla niej wywalczyć tak i teraz to robi, z lepszym nieco skutkiem, dzięki pomyślniejszemu zbiegowi okoliczności.

Dziwił się, że tak szczupła publiczność uczęszczała na me wykłady, a szczególnie brał za złe młodzię, iż nie korzystała z nich w znaczniejszej liczbie. Wyznawał przytem, że nie mógł nawet przypuścić, bym z tak drażliwej części historii jaką są rozbiory kraju, potrafił wywiązać się tak zręcznie, by z jednej strony nie drażnić przeciwników, z drugiej nie ubliżyć niczem prawdzie...

Odtąd wstępował Schmitt przez lat kilka na trybunę, by żywym słowem głosić zebranym przebieg zdarzeń dziejowych, bądź to we Lwowie bądź w innych znaczniejszych miejscowościach Galicyi, jak w Krakowie, Tarnowie, Przemyślu, Stanisławowie, Krynicy i t. p. Rozniecając w słuchaczach miłość ojczyzny, koił zarazem łązy niedoli, każdy odczyt jego bowiem był połączony z celem dobroczynnym, bądźto na korzyść biednej młodzieży szkolnej, bądź na korzyść instytucyi Jozefitów, na korzyść sierót po dotkniętych śmiercią w ciągu wypadków lat 1863 i 1864, na korzyść podupadłej emigracji polskiej w Francyi itp.

Wdzięczne Polki z pod obcych zaborów u źródeł Krynicy wręczeniem puharu zamanifestowały entuzjizm dla niezmordowanej pracy



dziejopisa, którego apostolską działalność cechowały zrozumiały, jasny wykład, gładka wymowa\*), znakomita pamięć i przejęcie się wygłaszanym przedmiotem. Piętno takie nosiły na sobie nie tylko publiczne wykłady, ale i prywatne prelekcje w skromnem kółku familijnem.

Autor niniejszego szkicu przebywając jako mały chłopak w domu Schmittów, pobierał tam pierwsze nauki ojczystych dziejów.

Do dziś dnia stoi mu żywo w pamięci i postać siedzącego w obszernym fotelu mistrza, na którego obliczu w miarę opowiadania charakterystyki wydarzeń przeszłości, uwydatniała się gra wewnętrznych uczuć. Modulacją głosu, wzrokiem samym przelewał wrażenia w serce młodocianego słuchacza. Z niewysłowionem uczuciem szacunku i podziwu wpatrywał się wówczas dzieciak w oblicze prelegenta; imponowała mu potężna pamięć, łącząca daty i miejsca, nazwiska, tytuły, godności uczestników wydarzeń, w jeden nieprzerwany łańcuch opowieści.

---

\*) Dążąc r. 1862 do Paryża, jechał Schmitt przez terytorjum francuskie w towarzystwie młodej Polki. W tym samym wagonie siedziało kilku cudzoziemców. Gdy rozmowa między Schmittem a towarzyszką żywszy przybrała charakter i gdy Schmitt wpadł w rodzaj zapału oratorskiego, zaległa cisza wśród grona podróżnych. Po dyskusyi zagadnęli cudzoziemcy Schmitta, zkąd jedzie i w jakim rozmawia języku? — „Pierwszy raz słyszymy ten język — dodali — lecz cóż to za śliczna, dźwięczna, mile dla ucha brzmiąca, ta mowa pańska ojczysta“.

W kilka dni po zamknięciu pierwszego cyklu odczytów porozbiorowej historyi, otrzymał Schmitt list z Zurychu, w którym hr. Władysław Plater po słowach uznania dla Schmitta, którego „Obraz Polski“ jak się wyraził „świetnie skreślony w tych czasach, obudził uwagę publiczną z korzyścią dla sprawy, tak, iż każdy zaczął robić rachunek sumienia, historyczny“, uwiadamił go o zamierzonym uczczeniu wiekowej walki narodu z Rosyą odpowiednim pomnikiem nad brzegami jeziora Rapperswyll, upraszał o poparcie, liczny udział ziomków w uroczystości odsłonięcia monumentu i objawienie zdania co do usposobienia w tej mierze opinii publicznej w Galicyi.

Galicya nie pozostała obojętną dla zamiarów Platera, a walne zgromadzenie Towarzystwa narodowo - demokratycznego wybrało Schmitta w dniu 21 lipca 1868 delegatem na wspomnianą uroczystość.

Dzień 16 sierpnia 1868 był dniem owego równego obchodu, wśród którego zebrani z rozmaitych stron kraju i zagranicy rodacy, skromny pomnik z czarnego marmuru, w cześć poległym wśród stuletnich walk bohaterom, odkryli na uroczej ziemi Helwetów, na ziemi zraszanej przez wieki krwią wojowników wolności. Ojczyzna walecznych Szwajcarów udzieliła gościnnie zakątką dla uwiecznienia pamięci polskich Tellów, Fürstów Stauffacherów, Melchthalów, Winkelriedów, którzy jak ongi rycerz pod Sempach, wbijali groty w pierś swoją wśród rozległych niw ojczystych,

wśród Włoch i Renu krainy, Hiszpanii wawozów, śnieżnych stepów rosyjskich, skwarnej Afryki, dalekiej Azyi, Saint Domingo obszarów. Wzniosła kolumna pomnika, to symbol spiętrzonych cierpień i ofiar, rozpostarty do lotu srebrnopióry, to godło odrodzenia narodu...

Strojny we flagi i chorągwie statek wyruszył, z muzyką na pokładzie, około pierwszej godziny po południu z Zurychu do Rapperswyll, wioząc 300 uczestników narodowego święta. Tysiące ludu zalegało miejsce wylądowania, a strzały armatnie przywitały przybyszów. Po krótkim zatrzymaniu się w bankietowej sali „pod Łabędziem“ nastąpił uroczysty pochód z muzyką i chórem śpiewaków przez miasto do miejsca, na którem widniał zakryty monument. Obok szwajcarskiej, wiodła zebranych ozdobna chorągiew polska, przywieziona z ojczyzny przez wieszczą Ujejskiego. Odgłos strzałów działowych i tony kapeli popłynęły po nad fale jeziora i hen daleko w przestworze, zwiastując urbi et orbi, że „nie zginęła“, skoro oddaje cześć swym obrońcom, sz rmierzom wolności.

Po odsłonięciu pomnika przemówił Plater w języku francuskim, po nim burmistrz miasta Rapperswyllu po niemiecku. Sympatyczna dla sprawy polskiej mowa burmistrza była punktem wyjścia dla przemowy Schmitta. Wstąpiwszy jako delegat z kraju na trybune, podziękował przede wszystkim burmistrzowi za jego przyjazne Polsce wynurzenia i zapowiedział licznie zebranej pu-

bliczności, iż ze względu na uroczystość i znaczenie samego pomnika, w ojców języku odezwie się do obecnych rodaków. Grzmiące oklaski, jakimi przyjęto zapowiedź Schmitta, natchnęły mowcę, dodały ognia uczuciom jego, tak iż gdy przechodząc straszne nieszczęścia i burze polityczne kraju, z bolem zauważył, że we własnej ojczyźnie nie ma piędzi ziemi, gdzieby można postawić pomnik bohaterom i męczennikom, gdy zachęcając braci do wytrwałej pracy, zaklinał ich na miłość ojczyzny do pozbycia się przywar, które kraj do upadku przywiodły, łzy zakręciły się w oczach słuchaczy, łzy zawisły u rzęs zacnych niewiast polskich. Z wygłoszenia, hucznych oklasków i wrażeń ziomków, odczuli cudzoziemcy doniosłość i zapal słów Schmitta, toż wszyscy spieszyli uścisnąć dłoń jego, wyrazić mu swoje uznanie.

Z kolei wystąpił Danilewski, wysłannik Prus zachodnich, w niemieckim, dalej Kornel Ujejski we francuskim języku, k wiście wzniosłych poetycznych słowach, z tą samą potęgą i siłą, z którą „wstępując z pochodnią do grobów, wygrzebując na jaw podmogilne czyny, stawiając przed oczy Maratonu olbrzymów, pragnął rozmiękle dusze rodaków, jak zbroję w ogniu rumieńca ostalić.“

Następnie przemawiał Francuz, Anatol de la Forge, po tymże zurychski profesor Kinkel, autor wydanej właśnie broszury o potrzebie odbudowania Polski, w końcu przełożony kantonu St.

Gallen, Sachser, z godną podziwienia wprawą i precyzją, w śmiałych, imponujących zwrotach.

Po mowach i odspiewaniu odpowiedniej pieśni przez chór męski, przeszło 400 osób zasiadło w bankietowej sali. Wśród ożywionej rozmowy żwawo płynęły toasty, uderzające na Moskwę i na rozbiór Polski, zapowiadające bliskie jej odbudowanie; a słowa te ludzi, mających rozgłos i znaczenie w świecie, wywody Henri Martina, generała Percla, Kinkla, konsula amerykańskiego i innych, powtórzone w dziennikach, rezeszły się po całej Europie, przypomniały jej sprawę Polską, niezabliźnione rany i krew z nich ciągle płynącą...

Przed odjazdem odbyli zebrani z różnych stron Polski rodacy naradę, w jaki sposób pracować dalej dla dobra sprawy, przyczem Jan Dobrzański swem pełnem zapalem oświadczeniem uzyskał ogólny poklask. Istotną korzyścią moralną było zawiązanie stosunków bliższych z dziennikarstwem francuskim. Schmitt wszedł w styczność z półurzędową gazetą „Patrie“ za pośrednictwem jej współpracownika Steimbacha.

W dniu 8 września 1868 zdał Schmitt sprawę z pobytu swego w Szwajcarji na publicznem posiedzeniu Towarzystwa narodowo-demokratecznego, kończąc tem poruczoną mu misję.

Następny rok 1869, pamiętny przeniesieniem zwłok króla Kazimierza Wielkiego do nowej trumny i obchodem trzechsetletniej rocznicy Unii lubelskiej, był dla Schmitta rokiem nie-



przerwanych wrażeń i występów na arenie naukowej i wcielił go do szeregu pracowników na polu szkolnej oświaty ludu.

Pomiędzy mężami nauki, których jak Duchńskiego, dra. Nowickiego i innych zaprosiła wówczas stolica Galicyi do wzięcia udziału w publicznych odczytach, zjechał w mury Lwowa, idąc ochotnie za głosem Towarzystwa naukowo-literackiego upragniony od dawna, ukochany gość z pruskiego zaboru — Karol Libelt. Pobyt Libelta był jednym ciągiem hołdu, jaki ludność Lwowa odawiała w uroczystym nastroju ducha, jego pracy, zasługom i dziełom, był zarazem nieudanym objawem sympatji dla starszej prowincji siostrzanej — dla Wielkopolski. Ażeby uwiecznić pamięć chwil szczytnych, bratnich odwiedzin, poruszono myśl wzniesienia pomnika trzem książętom wieszczów polskich Mićkiewiczowi, Kraśińskiemu i Słowackiemu. Na rzecz pomnika wydał W. S. W. w Krakowie trzy znakomite rozprawy pióra Libelta „O odwadze cywilnej, miłości ojczyzny i wychowaniu ludów“, przemawiając na wstępie w ten sposób do autora z powodu tegoż pobytu we Lwowie:

„Piękne, wspaniałe i wielkiej doniosłości chwile, przeżyliśmy w starożytnym Lwim grodzie, przyjmując tam po raz pierwszy Ciebie, Szanowny i Drogi nam Ziomku! Mówię wielkiej doniosłości, bo w Tobie uczczono główne cnoty obywatelskie, potrzebne życiu narodów, sumienną i wytrwałą pracę w każdym zawodzie, odwagę

wojskową, jakoteż cywilną idącą w parze z rozumem umiarkowaniem, zupełną niezawisłość, stałość w powziętem raz przekonaniu, a nadto wszystko gorącą miłość Ojczyzny, której świętym ogniem serce Twoje zawsze pałało, czego tyle dowodów dawałeś i dajesz.

Pamiętne rzewne i wspaniałe były objawy sympatji i czci dla Ciebie, zacny Mężu! bo towarzyszył im spokój uroczysty i ład przykładny, tak rzadki przy podobnych manifestacjach, bo w tych objawach jedność zupełna, połączyła ściśle i na wskrós przejęła, jakby łańcuchem elektrycznym wszystkie serca, zespoliła wszystkie stany, przejednała chwilowo przynajmniej, najróżnorodniejsze opinie i dla tego wypadek ten, epokę niejako stanowić będzie w życiu naszym narodowym.“

Zaszczyt przyjmowania Libelta u granic kraju przypadł Schmittowi w udziale. Ukończywszy cykl wykładów w Przemyśle\*), przybył do Krakowa i połączył przywitanie gościa z wygłoszeniem odczytów na rzecz Towarzystwa bratniej pomocy uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Serdeczny był uścisk dawnych znajomych, serdecznem spotkanie się u stóp Wawelu mężów, którzy na przecilwegłych krańcach Polski jedną przejęci myślą, jednym duchem, jednym ogniem miłości ojczyzny na jednej pracowali niwie, którzy cierpieli za ideę, udowodnili, że cierpieć umieją,

---

\*) Rada miasta Przemyśla uchwaliła wyrazić Schmittowi za odczyty publiczne podziękowanie.

a cierpiąc stali niewzruszeni przy wspólnym sztandarze.

Liczne wspomnienia obudziło w Libelcie zetknięcie się z przyjacielem. „Stanęły mi żywo w pamięci chwile“ rzekł Libelt „kiedy to jeszcze ktoś trzeci\*) był w gronie naszym, którego powrotu do kraju bodaj czy się doczekamy. Wiele ponęt do tej podróży dodaje mi pragnienie odnowienia i odświeżenia znajomości, przypomnienia się i innym kolegom, poznania na miejscu żywego ruchu znakomitych mężów, tak w politycznym, jak społecznym i naukowym kierunku.“

Odtąd przez cały czas pobytu Libelta we Lwowie był mu Schmitt nieodstępnym towarzyszem. Wymiana zdań, zgodne zapatrywania, dążności, pragnienia, jednolite tętno uczuć ścisły węzły przyjaźni, podniosły ją do tej serdeczności, szczerości i otwartości, jakie cechują późniejsze korespondencje obu mężów. Pod wpływem tych uczuć, pod wpływem wrażeń odniesionych z przyjęcia we Lwowie i Krakowie przesłał Libelt Schmittowi następujących kilka ciepłych a rzewnych słów pożegnania.

„Brdowo pod Gołańczą d. 22 kwietnia 1869. Kochany Henryku i serdeczny przyjacielu!... Po rozstaniu się naszym w Przemyślu, smutno jakoś i żałośnie zrobiło się na sercu, jakbym nie do domu rodzinnego wracał, ale jakbym go opuszczał na długo, a kto wie czy nie na zawsze, boć nikt

---

\*) Agaton Giller. (?)

nie wie dnia ani godziny, a w moim wieku uderzyć ona może rychlej, niż się jej człowiek spodziewa.

Już we Lwowie, gdym się żegnał z młodzieżą, opanowała mnie myśl, a powtórzyła się samotnie siedzącemu w wagonie, że jak niegdyś Bóg Izraela Mojżesza wywiódł na górę i pokazał mu z niej ziemię obiecaną, dla tego, że przeznaczonem mu było, iż pomrze, zanim lud do niej wprowadzi, tak może i mnie nie będzie danem ujrzeć wolnej ojczyzny, której pracę i życie poświęciłem, ale że mi danem było ujrzeć ją w duchy, gdym wśród was z takim zapałem został przyjęty, jakby w wolnej i oswobodzonej Polsce.

Z tąd tłumaczy się żal, który mnie ogarniał, pożegnawszy się z wami i z ziemią jedynej na teraz wolności, a więc jedynych dla całości kraju nadziei. Niemiał dla mnie pociągu dom rodzinny ni rodzina, ni prowincja, do której wracałem, bo opuszczałem żywot i serce Polski, które się dziś do was stoczyło i silnie pulsuje, bom opuszczał brać liczną narodową, co mnie za swojego uznała, i z taką powitała serdecznością.

Niech jej to Bóg płaci, niech Tobie i tym płaci, coście bliscy sercu i duszy mojej byli, z którymi zlały się w jedność myśli i uczucia moje na węzeł, który i śmierć nie rozwiąże, bo miłość jest potęgą ducha, która się z nim i po za grób przenosi. Bóg wam niech płaci, żeście ostatek dni moich, tak jasnym tak pogodnym, tak ogrze-

wającym rozjaśnili promieniem, żeście mi dali zakosztować już za życia tej nagrody za spełnione i spełniane obowiązki względem Boga i ojczyzny nagrody, jaka się zwykle innym po zgonie dopiero dostaje; żeście w mojej osobie poruszyli myśl wielką jednoty naszej narodowej i rozpotęgowali ją, że się daleko i po za granice kraju naszego odbiła.

Na stacyach następnych po miastach, aż do Bochni żegnały mnie serdecznie deputacje. W Krakowie oczekiwało mnie kilkaset osób i cichem witało przyjęciem. Była czwarta z południa, gdy z córką zajechał do jej mieszkania, o szóstej miałem już prelekcję w wielkiej sali Towarzystwa naukowego. Następna prelekcja odbyła się na rzecz Muzeum przemysłowego w sali ratuszowej. Trzecia w niedzielę na fundusz dla tych, co wrócili z Syberji odbyła się w wielkiej sali hotelu saskiego. . . . .

Młodzież akademicka udarowała mnie albumem na pamiątkę, podobnym, jakim Ciebie, narodowego naszego uczciła historyka.\*) W poniedziałek rano o siódmej wyjechałem na kolej; zastałem na dworcu paręset osób najwięcej mło-

---

\*) Na wręczonym Schmittowi albumie widnieje napis: „Henrykowi Schmittowi wiernemu synowi Polski, za poczciwe chęci i braterską miłość krakowscy akademicy spletają z imion swoich wian serdecznej wdzięczności.“ Między podpisami czytamy wiele nazwisk osobistości, stojących dziś u steru przeciwnej partji politycznej.



dzieży i straż ogniową, ale i wiele z serdecznie mi życzliwych.

Przemówiono do mnie z pożegnaniem i ja pożegnałem dłuższem przemówieniem. Dzwonek kolejowy dał znak, z okrzykiem „do zobaczenia“ opuściłem poważny gród Krakusa, a kolej uniosła mnie ku Prusom. Wrażenia całe tu były odmienne, ale o nich w przyszłym moim liście. Resztę papieru na uściśnienie Ciebie, serdeczny mój Henryku, na ukłony godnej żonie Twojej, na błogosławieństwo synowi Twemu, na rzewne pozdrowienie panów Smolki, Rajskiego i Zawadzkiego, którym nie wiem jak się wywdzięczę. Bóg z Wami.

Twój Karol Libelt.“

Zdawałoby się, że owacje, jakie spotkały Libelta w Galicji, a które nietylko jemu, jako Libeltowi, ale zarazem jako reprezentantowi Wielkopolski się należały, że to serdeczne braterskie przyjęcie powinno było ucieszyć współrodaków z zaboru pruskiego, że powinni byli dać temu uczuciu wyraz jaki głośny, przez wspólne zebranie przez słowa życzliwości i braterstwa któreby się w ziemi krakowskiej i halickiej odbiły echem odwzięczenia. Nikt o tem nie pomyślał. Przeciwnie, nie zgodne z prawdą rozchodziły się wieści, których podstawą była może zazdrość, może koteryjna niechęć, może źle rozumiana polityka, by rządu pruskiego nie drażnić. Otóż mówiono że te owacje wywołała demokracja lwowska, Schmitt et consortes, że teroryzując mieszczaństwo i szlachtę wciągnęła i te warstwy

społeczne, że jeżeli władze naczelne brały udział, czyniły to na przekór Prusom, i że to właśnie będzie źle oddziaływać na stosunki narodowości polskiej księstwa Poznańskiego. Inni twierdzili, że Libelt nadużył swego stanowiska, przedstawiając się jako reprezentant z zaboru pruskiego, a we Lwowie rozeszła się pogłoska o aresztowaniu go przez władze pruskie.

Niedługo potrzebował czekać Libelt na ponowne zagoszczenie do podwawelskiego grodu a Schmitt na ponowne widzenie się z serdecznym druhem. Uroczystość przeniesienia zwłok Kazimierza Wielkiego powołała obu do Krakowa, gdzie Schmitt z nowym wystąpił odczytem. Dążąc na tę uroczystość przejęci byli najlepszą nadzieją, tuszyli, iż zebrane licznie na obchodzie grono mężów politycznych, zechce pod wrażeniem takiej doniosłości wypadku porozumieć się w sprawach tyle ogół obchodzących, że zbierze się na wiec narodowy, aby owiane duchem z trumny wielkiego króla powziąć jaką myśl zgodną co do przyszłych kroków. Zamiast ziszczenia życzeń przykrego doznali wrażenia. Uroczystość mimo orszaku pogrzebowego, liczącego kilkaset osób, mimo kilkudziesięciu tysięcy ludzi zalegających rynek i przyległe do zamku ulice, mimo wielu gości przybyłych z Wielkopolski i napływu ich ze Lwowa i wszystkich miast Galicji nie wypadła tak wspaniale, jakby się należało spodziewać. Udział wieśniaków był w stosunku nie liczny, jedni Żydzi wystąpili gromadnie. W kościele

nie było nawet kazania, i tylko po południu wygłosił w bożnicy na Kazimierzu rabin Dankowicz prześliczną mowę w wybornej oddaną polszczyźnie. Konserwatyści krakowscy i ultramontanie wbrew naciskowi opinii zdołali odjąć obchodowi donioślejsze znaczenie; widzieli w nim zamiar demonstracji, jak gdyby miłość ojczyzny, i jej pamiątek, okazywanie gromadnie tej miłości mogło być demonstracją.

Taki zwrot rzeczy, oziębłość i rozterki oddziaływały szkodliwie na ogół umysłów, zwłaszcza Wielkopolan, którzy przygowywali się do udziału w drugim wielkiem święcie narodowym, w wiekopomnem dziele Franciszka Smolki, w obchodzie Unii lubelskiej. Poczęto obawiać się abstynencji Rusinów, kontragitacji, nieprzyjaznych demonstracji, w dalszem następstwie ogólnego fiaska. Pomimo tych obaw. pomimo opozycji i ograniczającego zakazu władz rządowych, została myśl świetnym uwieńczoną rezultatem, a pomiędzy mężami, którzy gorliwie popierali Smolkę w przeprowadzeniu powziętego zamiaru, zajął Schmitt niepoślednie miejsce. W samej uroczystości nie brał bezpośredniego udziału, bawiąc podtenczas w Romanówce, lecz oddał hołd obchodowi przez ogłoszenie popularnej broszurki, szkicu dziejowego „O Unii Litwy z Koroną“.

Kilkakrotne odczyty historyczne Schmitta w Krakowie zjednały mu powszechną sympatię młodzieży. Trafiły do jej przekonania. ciepłe, pełne pietyzmu dla przeszłości słowa dziejopisa-

rza, które wrodzona prelegentowi łatwość w opowiadaniu i zestawianiu zdarzeń w powabną łączyła całość. Wielu mieszkańców sędziwego grodu, którzy na podstawie błędnych informacji najdziwniejsze mieli o prelegencie pojęcie, przekonali się ze zdziwieniem, że jest on mężem kochającym ojczyznę, nie zaś wartogłowem, szukającym szalonymi krokami osobistej wziętości. W obec tego obudziła ogólny interes kandydatura Schmitta o katedrę dziejów narodowych, a młodzież wszechnicy Jagiellońskiej stanęła z chwilą konkurencji między Schmittem a Szujskim po stronie pierwszego, zamierzając zbiorowym adresem wywrzeć nacisk na akademicki senat\*). Przeciwnie podobnej manifestacji zaprotestował stanowczo sam Schmitt, nie chcąc stwarzać precedensu, by młodzież wpływała na obiór swych profesorów.

Jakkolwiek nie doktoryzowany, posiadał Schmitt wymagane ustawą warunki do objęcia posady, gdyż biret nie był nigdy w Krakowie koniecznym postulatem do uzyskania profesorskiej katedry. Nie mieli go Walewski, Suchecki i inni; niektórzy wtedy dopiero uzyskali dyplomy doktorskie, gdy już zajęli swoje posady. Doktorat, to warunek tylko dla docentów, tych, którzy nie są znakomitościami, ani też nie posiadają dobrze zasłużonej sławy.

---

\*) Lwowscy akademicy pagnąc uczcić zasługi Schmitta policzyli go w r. 1872 w poczet honorowych członków swej czytelnicy.

Powołana do postawienia wniosku komisja uniwersytecka, oświadczyła się jednak z innych powodów, które łatwo zrozumieć można, za Szuj-  
skim, a że uprzedzenia z góry zawsze dają po-  
wód do wyszukiwania uprzedzeń przeciw kontr-  
kandydatowi, podniosła zarzuty przeciw pracom  
Schmitta, imputując im jednostronną dążność,  
taką „która mogłaby wpływać szkodliwie na mło-  
dzieź według nowego zwrotu potrzeb“.

Zżymali się na takie twierdzenie zwolennicy  
Schmitta, zżymali się wszyscy ci, którym nie obcy  
był właściwy stan rzeczy. „Bolesno mi“ — nad-  
mieniał w tej mierze Libelt — „iż doznajesz za-  
wodu od swoich, nie umiejących, czy nie chcą-  
cych uznać Twoich rzetelnych i wielkich zasług  
na polu prac historii polskiej, li tylko z partyj-  
nych względów. To też nie ma miasta wię-  
cej koteryjnego, jak Kraków.“

„Wszakże nie mi nowego o tem nie donosisz  
Wiedziałem to już za mego we Lwowie i Kra-  
kowie pobytu. Gdym . . . . . namieniał o To-  
bie, jako, mem zdaniem, najzdadniejszym do za-  
jęcia katedry historii polskiej, poznałem, że nie  
masz w nim szczególnego przyjaciela, zbył mię,  
że to jeszcze w dalekiem polu, że są inni i t. p.  
Gdym sondował opinię w tym samym przedmio-  
cie u . . . . . wyraźnie mi oświadczyli, że ze  
swej strony popierać będą Szujskiego. Łatwo  
więc przewidzieć można, że się szala przeważy  
na kandydata na którego osoby największego przy  
uniwersytecie wpływu, już naprzód zwróciły swoją



uwagę. Nie mówiłem i nie pisałem Ci o tem, aby Ci niemiłego oszczędzić wrażenia i nie sprawdzać przysłówia, że prorok niema szczęścia i wziętości w swojej ojezyźnie.“ . . . . .

W połowie września 1869 przeważały potężne wpływy krakowskiej partji, lecz przeważały dopiero wówczas, gdy Schmitt na odbytem w dniu 7 sierpnia 1869 posiedzeniu Wydziału krajowego otrzymał mandat jako członek Rady szkolnej kraj.

Ustępując Szujskiemu miejsca w murach wszechnicy, nie zubożetniał dla samej sprawy i dla korzyści, jaką miała odnosić młodzież z otwarcia katedry dziejów rodzinnego kraju, a następujących słów kilka, kreślonych do żony, udowadnia najlepiej, iż zabiegom jego o katedrę przewodniczył nie wzgląd na własną osobę, lecz wzgląd na publiczne dobro.

„Na zakończenie listu muszę Ci donieść, że w Krakowie nawet przyjaciele Szujskiego obawiają się, by jako profesor nie przemawiał do pustych ławek. Temu będę się starał przeszkodzić i użyję całego wpływu mego na młodzież krakowską, aby uczęszczała na wykłady. Nie idzie mi tu o Szujskiego, ale o rzecz samą, gdyż nie chciałbym, aby nam Niemcy wyrzucali, że gdy sami otworzyli nam katedrę dziejów ojczystrych i oddali ją temu, kogo głównie polecił fakultet filozoficzny, młodzież polska nie gromadzi się na prelekcje“...

„Niewiedzieć zaprawdę, komu właściwie składać życzenia, czy Schmittowi, iż został powołany

na ważną dla kraju posadę, czy raczej Wydziałowi krajowemu, iż pozyskał takiego pracownika dla oświaty ludu, i udowodnił, że umie i chce oceniać zasługi“. Temi słowy powitał jeden z patrjetów wiadomość o powołaniu Schmitta na członka Rady szkolnej krajowej.

Inicjatywa w tej mierze była głównie zasługą Smolki, miała więc za podstawę nie przełotną znajomość, chwilowe wrażenie, lecz długoletnią styczność i stosunki wśród różnorodnych faz społecznych i politycznych losów kraju. Nie prędko wszakże mógł rozpocząć Schmitt czynności w nowym zawodzie, sporo bowiem upłynęło czasu, zanim nadeszło za ministerjum Potockiego zatwierdzenie wyboru z Wiednia.

W międzyczasie wśród ogólnej harmonii życzliwych głosów i gratulacji, niby fałszywe strun akordy, odezwały się pojedyncze zarzuty przeciwników, a drażniąc ambicję Schmitta postawiły go nawet wobec pytania, ażali ma wogóle przyjąć mandat, lub też dalej na dotychczasowem służyć krajowi polu. Z licznych przedstawień i perswazji, jakimi pospieszono zapobiedz takiej ewentualności przytaczamy poważny głos wielkopolskiego męża stanu, odezwę Libelta.

„Zaczynam od tego, co mi najwięcej radości sprawiło, to jest powołanie Twoje do Rady szkolnej na miejsce Małeckiego. Doniósł mi o tem naprzód Smolka, a potem i gazety obiór Twój rozgłosiły. Bodaj tylko intrygi nie wstrzymały potwierdzenia w Wiedniu. Już artykuł w „Kraju“

w korespondencji lwowskiej niby chwając Twoje zasługi, położył swoje „ale“, a sątacy, coby Cię chętnie do tej posady nie dopuścili, boś w ich oczach czerwony demokrata, a jakże takiemu dać w rękę moc wpływania na młodzież i nauczycieli? Wszakże deus optimus, maximus omnia bene vertat; mam więc najlepszą nadzieję. . .

Co do postanowienia Twojego, które nie biorę za decydywne, ale za wyraz sprawiedliwego rozdrażnienia na niedołęstwo ludzi — nie dzielę Twojego zdania. Jeżeli Cię rząd potwierdzi, a potwierdzi bez wątpienia, byłoby, mojem zdaniem, grzechem, nie przyjąć nominacji z powodu pokątnych gadanin i pogłosek, rozsiewanych przez ludzi Tobie niechętnych. Ustępować ludziom złej woli, jest to utwierdzać ich w tych przymiotach. Człowiek rozsądny i politycznego charakteru nie powinien cofać się, choćby przed rzeczywistemi trudnościami. Jako członek Rady szkolnej możesz być nadzwyczaj krajowi użyteczny, bo w najważniejszym dlań wydziale — w oświecie. Prawda że ograniczoną jest kompetencja Rady i to już Małeckiego nakłoniło do złożenia mandatu, ale niebawem skończy się to ograniczenie i atrybucje Rady będą powiększone. Dla tego jeśli ci zdanie moje, z rzetelnej przyjaźni płynące, coś warte, nie odrzucaj stanowiska, jakie Ci ofiarowują...“

Taki był początek ostatniej epoki życia Schmitta, epoki, w której dzięki niestrudzonej

pracy, energii i nabytemu doświadczeniu, niepoślednie zajmował przez lat kilkanaście stanowisko w gronie kierowników szkolnictwa, w której, odwzajemniając się szczerze za zaufanie, używał swego potężnego wpływu, zwłaszcza za rządów namiestnikowskich Gołuchowskiego, dla dobra kraju i ziomków. Przy ulicy Lipowej, w murach pałacu Baworowskich, zrodziła się niejedna myśl szlachetna, niejedna piękna inicytywa, przemieniona w czyn przy sesjach Rady, a wykształcona, odziana w formę wśród ciszy północnej godziny. Mieszkańcom ulicy Sykstuskiej nie obcą była postać rosnącego mężczyzny, odzianego w czamare, z dużą spinką u żupana jak mierzystym krokiem o jednej i tej samej przechodził godzinie. Poważny nastrój ducha widniał na jego obliczu; snąć korzystał z czasu; obcy ruchowi przechodniów, obcy drobnostkowemu zjawiskom, głębokie w swem wnętrzu rozważał pomysły.

Pomimo, iż z objęciem mandatu członka Rady szkolnej naładował Schmitt na swe barki cały nawał pracy, dawne zajęcia literackie, ukochane przezeń dzieje ojczyste, nie leżały odłogiem. Po ogłoszeniu „Dziejów porozbiorowych Polski“ (r. 1868) wydał „Dzieje Polski od jej początków, aż do dni naszych; zdarzenia najważniejsze z przeszłości dla użytku szkół i szerszych kół społeczeństwa, dalej „Szkic historyczny dziejów 30 letniego panowania Stanisława Augusta, ostatniego króla polskiego, w stuletnią rocznicę pierwszego podziału Polski“ (r. 1872), następnie

„Kilka uwag w sprawie ulepszenia szkół ludowych w kraju naszym“ (r. 1872), „Ksiądz Hugo Kołłątaj i jego prześladowcy, szkic biograficzno-krytyczny“ (r. 1873), co główna zaś „Panowanie Stanisława Augusta“ (r. 1868—1880). Ostatnia ta praca, oparta na długoletnich studjach źródeł i zbieranych skrzętnie materiałów wywołała wrzawę wśród przeciwnego obozu historyków.

Już dawniejsze odnośne publikacje w czasopismach poruszyły sędziwego dziejopisa Łukaszewicza do nakreślenia kilku słów w obronie Stanisława Augusta. „On właściwie dwa razy tylko zawinił. Raz, że znając zapewne doskonale współczesną sobie społeczność naszą krajową, bo bystrości rozumu zaprzeczyć mu nie można, sięgnął po cierniową koronę polską, drugi raz, że zamiast połączyć się z narodem, za jego głównie staraniem z dwuwiekowego letargu obudzonym, przystąpił do Targowicy, przenosząc hańbę nad śmierć w obronie niepodległości ojczyzny swojej. Od początku 17 wieku, aż do samego schyłku panowania u nas królów z domu Saskiego naród nasz cały, niewyjmując nawet mieszczanina i chłopą tak był ciemny, zepsuty, rozpojony, zubożony i spodlony, bez przemysłu, bez skarbu, bez twierdz i wojska, że gdyby po Auguście III na tron nastąpił był taki genjusz jak Napoleon I, ale z gołą ręką, nie byłby odmienił losów Polski.

Ale nawet Stanisław August byłby ocalił Polskę, gdyby był miał przy wstąpieniu swoim na tron 100.000 bitnego, do osoby swojej przy-



wiązanego żołnierza. Gdy zastał w kraju największy chaos, pytam, jak mógł więcej dobrego zrobić, jak istotnie zrobił w takim odmiecie życia narodowego? Gdy jeszcze dziś, po tylu okropnych doświadczeniach Bartoszewicz twierdzi „pięknem było liberum veto“, gdy wasz Dzieduszycki prawi, że naród nasz (liczący w 18 wieku, aż do końca panowania Stanisława Augusta 100.000 księży łacińskiego i wschodniego obrządku, a klasztorów, kościołów, miejsc cudownych bez liku) zgubiła nie ciemnota, owa córa szkół jezuickich, ale wolterjanizm i encyklopedyści, którzy się na nieszczęście Polski za panowania Stanisława Augusta do ziemi naszej wkradli.

Cóż Stanisław August mógł więcej dokazać w narodzie naszym, takim, jakim go w r. 1764 zastał, jak istotnie dokazał? Odrodzenie Polski pod wszelakim względem w drugiej połowie XVIII wieku, jest jego wyłącznem dziełem, wyłączną zasługą, jakto odpowiadając Dzieduszyckiemu w „Bibliotece warszawskiej“ na miesiąc grudzień 1858 r. okazałem. Wszystkie zaś nieszczęścia i klęski, które Polskę za jego panowania dotknęły, należy kłaść na karb niedołęstwa narodu, który dał sobie narzucać królów przez caryce Elżbietę i Katarzynę i na karb oligarchji, wodzącej za nos ciemną i głupią szlachtę, mającej tylko swoje dobro na celu, nie zaś dobro narodu. Mnie się nawet zdaje, że bez Szczęsnego Potockiego nie byłoby przyszło do drugiego rozbioru Polski.

Wybacz pan starcowi siedmdziesięcioletniemu, że obyczajem wszystkich starców rozgadał się nad miarę listu.

Jestem dla Szanownego Pana z największem uwielbieniem, najniższy sługa *J. Łukaszewicz*."

Gwałtowną była krytyka pracy Schmitta, wydana przez Towarzystwo historyczno-literackie.

„Iurat in verba magistri t. j. Kalinki“ — wyraził się o tej krytyce Libelt. — „Jest to rzecz bardzo naturalna, że gdzie dwóch pisarzy o tym samym przedmiocie, tak różne z tych samych źródeł napisali poglądy, tam na podobny sąd przygotowanym być trzeba. Nie upadaj na duchu i weź sobie za dewizę: „czyń co możesz, a będzie co może“. Ludzie z poświęceniem i charakterem mają los wspólny—nieuznawania przez swoich ich zasługi. Ależ przyjdzie czas i uznanie, choć prawda—przychodzi często za późno...”

Pomiędzy ogłoszeniem drugiego a ostatniego tomu dziejów „Panowania Stanisława Augusta“, kilkoletnia nastąpiła przerwa, spowodowana częściowo powołaniem Schmitta do Rady szkolnej, której w obec potrzeby przyspieszenia rozwoju szkół ludowych wiele poświęcał czasu; głównie zaś dalszemi poszukiwaniami materiałów i zamiarem skorzystania z kilku dzieł nowych, których zapowiedziany druk miał dostarczyć wielu nieznanych, ważnych dokumentów. Tom dodatkowy do powyższej pracy t. j. „Źródła odnoszące się do pierwszego okresu panowania Stanisława Augusta po rok 1773“, wygoto-

wane zupełnie przez autora, wyszły dopiero po tegoż śmierci, staraniem jego syna Mieczysława.

Przeglądając sporą ilość korespondencji prywatnych, odbieranych przez Schmitta, cóż to za nadobną wiązanekę spotykamy tam spraw i interesów, z którymi znajomi i obcy, wielcy i mali, bliscy i dalecy odnosili się do dziejopisa, szukając wskazówki, opieki, rady i pomocy bądź we własnych, bądź w publicznych kwestjach. Rozumiemy, iż jest to częściowo naturalny tylko wynik stanowiska Schmitta, lecz z drugiej strony musimy widzieć w tem dowód popularności i zaufania, jakim go darzył ogół społeczeństwa.

Przerzućmy kilka takich listów.

Jeden poleca młodzieńca, wstępującego na uniwersytet, w zamiarze historycznych studjów; drugi proponuje zakupno drukarni dla dogodności wydawnictw własnych; trzeci zaprasza do współpracownictwa w nowem piśmie; czwarty do udziału w porządkowaniu archiwum miejskiego; dalszy angażuje do komitetu; znów dalszy poleca opiece kapłana-wychodźcę; siódmy zapytuje, czy można podać p. N. na członka Towarzystwa naukowego; późniejszy zawiadamia o założeniu czytelnicy ludowej i apeluje o zasiłek w książkach; dziewiąty zachęca do nadesłania konkursowej pracy; następny nalega na przyjazd do Krakowa i obecność na konferencji Towarzystwa oświaty; w jedynastym wyrażone oczekiwanie prelekcji w Tarnowie; w dwunastym mowa o sprawach politycznych i prośba o radę co do przyszłych

kroków; przyległy nakłania do kandydowania o  
 krzesło poselskie; poczem odczytujemy znów  
 prośbę o opiekę nad sierotami po zgasłym zasłu-  
 żonym patriocie; zaproszenie na pierwsze zgro-  
 madzenie ludu polskiego na Szlążku w Ropicy  
 pod Cieszynem; z kolei prośbę o ocenę pracy  
 literackiej; wniosek, by skarcić piórem nowo wy-  
 dane dzieło niebezpiecznej tendencji i spotykamy  
 wyrazy oburzenia na intrygi przeciwnego stron-  
 nictwa. W szeregu listów takich, niby wdzięczna  
 różyczka polna wśród bukietu ogrodowych kwia-  
 tów, widnieje korespondencja kmiotka krakow-  
 skiego, znanego dziś już z kilkakrotnej wzmian-  
 ki w publicznych czasopismach, włościanina Ma-  
 cieja Szarka:

Brzegi dnia 5 grudnia 1869.

„Wielmożny Panie! W największej pokorze  
 upadam do nóg i serdecznie ich pozdrawiam, a  
 potem proszę ich pokornie, niech będą łaskawi,  
 nie poczytują mi tego za winę, że się poważam,  
 prosty człowiek do nich pisać. Z wielką nie-  
 śmiałością i bojaźnią przypominam Wielmożnemu  
 Panu obietnicę, którą Wielmożny Pan obiecali  
 przesłać do naszej Czytelni przy szkółce gmin-  
 nej w Brzegach, ażeby się i więcej tutaj dobro-  
 czynnych osób znalazło. Wielce by nas w gmi-  
 nie, sąsiadów, ten dar ucieszył, który będzie na  
 wieczną pamiątkę zapisany w gminnym katalogu,  
 kto co ofiaruje z imienia lub nazwiska. Gdybym  
 wiedział, że ten list przyjęty jest mile, to bym  
 później napisał o naszej szkółce i Czytelni gmin-

nej. Zresztą żegnam Wielmożnego Pana i w największej pokorze upadam do nóg. Wierny i życzliwy przyjaciel i sługa Maciej Szarek włościanin.“

Jeżeli u kogo podobny list wieśniaka polskiego miłe mógł wywołać wrażenie, to bezwątpienia u Schmitta, oddanego podniesieniu oświaty i moralności u ludu, rozbudzeniu ducha narodowego, — u męża, ceniącego tych, którzy dobro ojczyzny jako przewodnią obrali życia swego gwiazdę.

Jaką odpowiedź odebrał Szarek, nie jest nam wiadomem, lecz nie musiała ona być obojętną i zimną, skoro w kilkanaście miesięcy później spotykamy obszerną korespondencję kmiotka, wystosowaną na ręce Schmitta do Towarzystwa przyjaciół oświaty ludowej.

W niewyszukanych, z serca płynących słowach, przelewa w niej wieśniak swe myśli na papier; pisze jak umie, pisze jak mu miłość kraju, znajomość stosunków i to gorące pragnienie służenia współbraciom dyktuje; lecz pisząc, szlachetne objawia popędy, zacne wygłasza pomysły i zdrowy rozum zdradza, rozum, jakiego niebrak zresztą wśród naszych chat sielskich i słomianej strzechy.

Z tego punktu widzenia raczą czytelnicy oceniać odezwę krakowskiego chłopka, z tego punktu widzenia raczą tłumaczyć sobie okoliczność, iż obok mnogich listów znakomitości i potęg umysłowych, powtarzamy w całej esnowie list Szarka.



„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Szanowne zgromadzenie przyjaciół oświaty ludowej we Lwowie! Proszę przyjąć, a nie wzgardzić mojami myślami, choć od prostego chłopka, ponieważ ja czytał w *„Dzienniku Polskim“* z d. 5 maja b. r., jako szanowny Zarząd przypomina delegatom oddziałów, iż walne zgromadzenie Szanownych panów delegatów odbędzie się we Lwowie w sobotę dnia 20 maja b. r.; więc ja ile pojmuję, a gragnę z duszy serca, jako prawdziwy Polak, żeby w tej chwili i jak najłatwiejszym sposobem można rozkrzewić oświatę pomiędzy włościanami, podaję moje dobre myśli do szanownego Zgromadzenia przyjaciół oświaty ludowej we Lwowie.

Szanowni panowie! Nie zapuszczam się w politykę, bo i nie rozumiem, jako prosty człowiek, ale mniej więcej ile pojmuję, to mnie mój duch narodowy i miłość ojczyzny do tego pobudza, ażebym moje dobre myśli oznajmił przed ludźmi dobrze myślącymi. Bo i cóż może więcej pobudzić jak nie miłość ojczyzny; to też i ja czytając i słysząc wiele dobrych obietnic, które sami sobie obiecujemy, ale nam ich wykonać nie ma kto, czy nam się też nie chce dobrze sobie robić. Szanowni Panowie! Można się przekonać, że ze wszystkich trzech części naszej ojczyzny, obecnie pod Prusakiem naród polski, większe od nas ma przeszkody, a nie upada, ale krzepnie na duchu narodowym i łączy się siłami tak zawzięcie i wytrwale, że narodowość naszą

na duchu ożywia i od zatury ochrania. U nas przeciwnie się dzieje, a zwłaszcza w tych latach, kiedy narodowość nasza przez rząd nie jest zagrożoną. Byliśmy prawda, przed kilku laty zamknięci za kratą żelazną, ale gdy nam teraz od chwili wolno cokolwiek z poza kraty ubiegać się o swoje i tę bramę otwierać, za którą nas kilkadziesiąt lat trzymali, dla czegoż nie umiemy, czy też nie chcemy z tego korzystać.

A mogliśmy już dotąd bardzo wiele skorzystać i rozwinąć nie tylko nasze siły umysłowe, ale i wpływać na podniesienie oświaty i dobrego bytu naszego ludu wiejskiego, na wykształcenie przemysłowe ludności i w ogóle na podźwignięcie przemysłu w kraju naszym. Bo dziś nie kto na nas, ale my na kogo robimy, nie my z kogo, ale kto z nas żyje, a przez cóż to, szanowni panowie, przez brak oświaty. Kupujemy własny chleb u cudzoziemców; stoimy na tyle z oświatą u innych narodów, a moglibyśmy na przodzie stanąć, ale nam się trza starać o szkoły ludowe, o czytelnie, o fabryki i przemysł, a nie o gorzelnie i nie o propinacje, bo gorzelnia jednemu przynosi stokrotny owoc, a innych tysiące na tem cierpi. Tak samo i propinacja w gminie wiejskiej jest zaporą do oświaty, kaplicą szatana, a siłami majątku włościańskiego, bo z każdej u nas żli ludzie pochodzą, jeżeli nie z tych propinacji, w których żydzi sami szynkarzami. Wołam dawno i proszę właścicieli dóbr, ażeby propinacje

swoje nie wypuszczali żydom, tylko katolikom i to takiemu katolikowi, który nie jest wniczem poszlakowany, ma poczucie narodowości, kocha swoją ojczyznę i jest oświecony.

Niechże właściciel propinacji, temu katolikowi, który jest szynkarzem, pożycza dzieł historycznych i zaprenumeruje czasopismo ludowe, bo wam wiadomo, szanowni panowie, że jest zwyczaj u włościan w każde święto po nabożeństwie i podczas długich wieczorów zgromadzać się sąsiedzi i młodzież do karczmy. Więc ten szynkarz, jako prawdziwy Polak przeczyta im czasopismo, co się w tych dniach stało w Moskwie, w Prusach, Francji i Turcji, albo też powie im, co się dzieje w Ameryce itd.; będzie się włościan pytał, co to jest Ameryka, a szynkarz odpowie, jest to inna część świata, w tej stronie a tej, przez tegoż odkryta, naród trudni się tem lub owem, religii takiej a takiej. — Takim sposobem zachęcałby karczmarz lud do oświaty. Może Was, Szanowni panowie te kilka słów moich o propinacjach obraziły, to proszę darować w tem winę.

Teraz się wracam z mojami myślami i oznajmiam przed Wami, Szanowni panowie, moje zdanie. My się nie doczekamy dobrej woli od wiejskiego ludu, ażeby wszędzie szkółki ludowe były zaprowadzone, tylko trza koniecznie na to przymusu. Może mi na to, Szanowni panowie, odpowiecie, że to jest rzecz niepewna; to ja zaś tak powiem: kura swojska, gdy się zdziczy, sama

do domu nie przyjdzie, ale gospodyni dbała dopóty zagania do domu tę kurę, aż ją zagoni i oswoi ją i jest potem najlepszem zwierzęciem domowem; tak samo nasz lud wiejski, jest podobny tej kurze, a gospodynią do nas, nie wiem pewnie, kto ma być, czy świetna Rada szkolna, czy też Sejm krajowy, żeby nas zganiał i oswajał z oświatą. Myślę, że nie trza uważać za grzech przymuszać lud wiejski do zaprowadzenia szkółek u siebie, bo częste targi i jarmarki, których nasz lud żadnego nie opuści, lecz na każdy idzie i około 10 lub 11 godziny wieczór z niego wraca pijany, trzykroć więcej traci na różnych trunkach, aniżeliby go szkołka kosztowała.

Druga myśl moja jest taka, ażeby podnieść podatku jedną trzecią część na gorzelniach i propinacjach, a temi pieniędzmi pomagać szkołkom ludowym; żeby kwaterka gorzałki, która dziś kosztuje 6 centów, kosztowała 18 centów. Więc takim sposobem upadłby nałóg pijaństwa. Może mi na to, Szanowni panowie, odpowiecie, że lud wiejski jeszcze by się więcej niszczył na tem, jakby wódka droższa była, to ja zaś na to mam takie zdanie: ponieważ, gdyby mięsa funt kosztował 6 centów, używałbym go co niedzielę, ale że kosztuje 20 centów i więcej, nie używam go tylko w czasie wielkanocnym. Tak samo i pijak, choćby i nałogowy, to i miernie używać będzie tej nieszczęśliwej gorzałki.

A jeżeli, Szanowni panowie, nie zgadzacie się na podniesienie podatku gorzelnianego, to ja

się zgadzam podnieść cokolwiek podatku grunto-  
wego i tym podatkiem płacić nauczycieli z kasy  
w szkołkach wiejskich, bo włościan słowa prze-  
ciw temu nie rzecze, choć będzie podatek większy,  
jak nie będzie sam nauczyciela wypłacał; powie  
on: choć podatek większy daję, ale za to szkołkę  
mam bezpłatną.

Tych środków nam zamiar używać do za-  
prowadzenia szkółek ludowych, bo dokądże już,  
Szanowni panowie, będziemy poniżej w świecie  
od innych narodów, kiedy możemy być na prze-  
dzie.

U nas dziś bardzo wiele jest różnych towa-  
rzystw, ale w tych towarzystwach są prawie  
wszyscy ludzie oświeceni; ale zaprowadzać by  
nam trzeba towarzystwa włościańskie. Jeżeli  
w dzisiejszych towarzystwach przypadnie ogólne  
zgromadzenie i jest na tem zgromadzeniu jeden  
lub dwóch włościan pomiędzy panami, powracają  
oni z tego posiedzenia, a drudzy włościanie py-  
tają się ich, cóż tam panowie radzili, pewnie dla  
dobra swego. Dlaczegoż to jest taka nieufność  
pomiędzy nami? Zdaje mi się, że jeszcze są  
tacy, co nas wicherzą, a takich mało, coby nas go-  
dzili, więc nie ma się kto starać o przewodników  
dla prostego ludu. Księża proboszczowie nie  
mają czasu, właściciele dóbr nie mają ufności od  
włościan, a Rady powiatowe dotąd nie poznały,  
czego ludowi wiejskiemu potrzeba.

O mój Boże! serce moje ubolewa nad tem  
że taki naród sławny i mężny, a nie możemy żyć



z sobą w braterskiej miłości, nie możemy wypleć kłokolu z pszenicy, co nam go zasiali, a jest to łatwa praca bez uszczerbku właścicieli dóbr. Jestem, prawda, prosty człowiek; nie byłem w żadnych szkołach; to co umiem, to ze swej ciekawości i za to Panu Bogu dziękuję, bo wiem, że jestem prawdziwie polskim chłopem.

Szanowni panowie, jestem pewnym świadkiem tego, że są u nas tacy włościanie, co nie wiedzą, jakim są narodem, nie wiedzą jakim językiem mówią, jaka ich ziemia żywi, i co nasz kraj ukochany cierpi, czem był dawniej, a czem jest teraz.

Są u nas i tacy włościanie, co znają cokolwiek czytać, ale cóż z tego? To, co czytają, to temu nie wierzą, nic ich nie obchodzi, aby im dobrze było.

Więc, Szanowni panowie, starajmy się o oświatę dla wiejskiego ludu, nie szukajmy zysku dla siebie. tylko róbmy dobrze dla narodu, nie wynajdujmy dla siebie pochwał, tylko dla ojczyzny, kochajmy się i łączmy się, dużo róbmy, mało mówmy, z tem lepiej wyjdziemy. Na tem zakończę swoje myśli i proszę was, Szanowni panowie, nie poczytajcie mi tego za winę, że się poważyłem do Was pisać, a na tom sobie nie zasłużyłem, jako prosty człowiek.

Zresztą pozwólcie panowie parę wierszyków napisać:

Jestem włościanem, na roli pracuję.

I lepsze sobie czasy obiecuję.

Wszystko to się raz zmieni, co nas dzisiaj trapi,  
 Wtenczas, gdy będą oświeceni chłopci,  
 Gdy wszyscy w matki staniemy obronie,  
 Gdy sobie podamy serca, bratnie dłonie.  
 Kochajmy oświatę, byśmy byli przodem,  
 Żeby wiedział włościanin jakim jest narodem.

Szanowni panowie, przepraszam was i upadam do nóg w największej pokorze, jako униżony sługa

*Maciej Szarek, włościanin.*

Brzegi powiatu Wielickiego dnia 17. maja 1871.

Czy projekta Szarka były owocem własnego bystrego poglądu, czyli echem zdań obcych, mniejsza o to, dość, że odpowiadały one duchowi czasu, który podniósł szlachetną, przez zachowanie organa tłumioną niestety, myśl złożenia milionowego funduszu na cele oświaty ludowej, któryby zabezpieczył byt nauczycieli ludowych, wprowadził przymusowe uczęszczanie do szkół i zwiększył dotację na cele szkolne, któryby rozpoczął pracę nad wydobyciem rolniczej i przemysłowej ludności z rąk wyzyskujących ją szynkarzy i lichwiarzy żydowskiego pochodzenia i t. p.

Zbytecznem byłoby bliżej wyłuszczać, jakie stanowisko zajmował Schmitt w szeregu mężów dążących do polepszenia wewnętrznych stosunków kraju, zbytecznem byłoby udowadniać, iż szczerze popierał zacne dążności, nie spuszczać przytem z oka spraw politycznych, jakie

wówczas w ostrych zarysach stały na porządku dziennym.

Mamy na myśli rezolucję sejmu lwowskiego, spory w ministerstwie i parlamencie wiedeńskim, szybkie zmiany w składach gabinetu, ważne ustępstwa dla Galicji, zjazdy gości polskich z rozmaitych miejscowości Galicji, Szlązka i Poznańskiego, konsekwentne dążności germanizacyjne wyznawców zasady „siła przed prawem“, walka rządu pruskiego z duchowieństwem katolickim, ucisk ludności polskiej pod berłem rosyjskiem, w końcu udział Polaków w krwawych zapasach paryskiej komuny.

Dotkliwym dla narodu był zbieg wypadków który wetknął miecz w ręce polskiej emigracji, który ją postawił na czele braci walczących przeciw braciom. Młodzi ludzie, wychowani pod moskiewskim despotyzmem, owiani duchem wolnodumców rosyjskich, dali się porwać prądowi komuny. Lecz co słuszną; nędza, opuszczenie zmusiły tych biednych młodzieńców do przyjęcia służby w szeregach ludzi, których nie znali zamiarów, ani zapewne nie domyślali się, że takimi zbrodniami zatrwożą świat społeczno-polityczny! Polacy bili się dzielnie, bili się jako żołnierze, lecz żaden nie był ani zabójcą, ani podpalaczem. Nikt z ziomków nie pochwalił ich udziału w sprawie gminy paryskiej; przeciwnie, ganili go wszyscy, a młodzi, którzy byli winowajcami, zapłacili życiem za swoje czyny! Bóg ich dziś sędzi. Na nieszczęście dla Polaków zo-

stała boleść, bo imię polskie skompromitowane we Francji. Że było kilkudziesięciu nierozważnych, czyż w tem ogółu wina? Na zachodzie, w tym cywilizowanym zachodzie, w stolicy świata oświeconego, dziwnie uważano godność ludzką! Pisano na murach: *Liberté, égalité, fraternité!*— a pod temi murami rozstrzeliwano w imieniu tej lub owej opinji. Zabijano w imieniu wolności; zabijano szeregami w imieniu porządku!

Nadszedł rok 1872 — smutna rocznica pierwszego podziału Polski. Patrjoci we Lwowie postanowili wstrzymać się z zabawami a z oszczędzonych pieniędzy stworzyć fundusz na cele oświaty ludu. Innego zdania były, jak nadmieniliśmy, organa zachowawcze; inaczej wyglądały w obec stuletniej rocznicy Warszawa, Poznań, Lwów, Wilno a inaczej sędziwy Kraków. Bale i maskarady publiczne nie szczególnie się powiodły, ale za to w prywatnych kółkach podwawelskiego grodu bawiono się znakomicie. Osobistości, które z powodów prywatnej natury, lub przez wzgląd na opinię „ulicy“, nie urządzały u siebie balów, zachęcały inne domy, w których przedtem bywać nie raczyły, do aranżowania tańczących wieczorów.

Jedno z towarzystw przesłało Schmittowi zaproszenie na podobną zabawę.

„Przepraszam najmocniej“ — odpowiedział historyk na odwrotnej stronie zwróconego zaproszenia — „że w stuletnią rocznicę pierwszego

rozbioru mojej Ojczyzny, nie mogę być uczestnikiem na wieczorze z tańcami“.

W poczuciu słuszności sprawy, w obronie zapatrywań i zasad, gorąco pojętego patriotyzmu nie nawykł był Schmitt owijać w bawełnę swych zdań i myśli, lub polityeznych używać środków i sposobów. Z otwartą przyłbicą szedł śmiało na-przód, świętość sprawy uważał jako swój pu-klerz. Lecz ileż to razy udało się przeciwnikom wyzyskać sytuację i podnieść przeciw Schmittowi zarzuty? Tak wyzyskiwano stan rzeczy ilekroć stanął na porządku dziennym zamiar powołania go na krzesło poselskie.

Ambicja Schmitta ułatwiała akcję.

„Nie chwałę ci“ — objawił w r. 1869 swe zdanie Libelt — „żeś się zrzekł kandydatury poselskiej. Wierzaj mi, że to, zwłaszcza u Was je-dyne pole do przyjscia do wziętości, znaczenia i ukształcenia na męża stanu, w praktycznym zawodzie. A że jako dziejopis masz poniekąd teo-retyczne wykształcenie w tym zawodzie, byłby Ci praktyczny zawód poselski bardzo na rękę...“

W niespełna rok później, zabrał Libelt po-nownie głos w tej sprawie.

„Czytałem w „Kraju“ że Cię kochany Hen-ryku komitet podał na kandydata. Życzę Ci z serca i wysokobym to cenił, gdybyś został po-słem lwowskim, ale z tego, co piszesz i co czy-tam, mało mam nadziei. Z tego powodu nie po-gardzałbym kandydaturą złoczowską. Nie zrażaj się tylko kochany Henryku i nie ustawaj w



przedsięwzięciu. Kostka raz rzucona przez Ciebie na krzesło poselskie; cel ten dojdzie Cię, bylebyś chciał i nie lenił się w zabiegach. Nie mówię, abyś w czem ubliżał Twojej godności osobistej i dobrze zaskarbionej i ustalonej reputacji, ale w polityce trzeba być roztropnym, mierzyć wagą złota każdy wyraz, który się wypowiada, nie mówić czego nie trzeba, w ogóle nie wystrzelać naraz wszystkich ładunków, słuchać wiele i do okoliczności umieć się zastosować. Rad będę gdy przeczytam: Henryk Schmitt tam a tam przeszedł większością głosów i obrany za posła...”

Nie ziściło się życzenie Libelta, gdyż i późniejsze zabiegi przychylnego stronnictwa w Tarnowie i Samborze pozostały bez skutku.

W fizycznych siłach Schmitta nastąpił tymczasem zwrot ku gorszemu, a znany z poświęceń dr. Tadeusz Żuliński stanawszy u boku dawnego doradcy dra. Karola Smutnego, objął gorliwą opiekę nad pacjentem, który odtąd rok rocznie wyjeżdżał z murów Lwowa, by bądź to wśród sielskich wygód Romanówki, otoczony pieczołowitością Nawratilów, bądź u źródeł Krynicy pod kierunkiem dra. Michała Zieleniewskiego, szukać ulgi dla swoich cierpień. I wówczas nie dał się jednak Schmitt nakłonić do zaprzestania natężającej pracy; za powrotem do domu poświęcał jak dawniej, czternaście godzin dziennie zwykłemu zajęciu.

W ostatniem dziesięcioleciu życia autora

wyszły po uzupełnieniu źródeł w zbiorach Krasieczyna, obok trzeciego tomu „Panowania Stanisława Augusta“, „Rozbiór krytyczny pomysłów historyjofizycznych i odkryć dziejowych pana Antoniego Walewskiego, członka czynnego krakowskiej Akademji umiejętności“ (1875), następnie „Kilka myśli na czasie w sprawach publicznych“ (1877) i „Rozbiór dzieła p. t. „Dzieje Polski w zarysie“ przez Michała Bobrzyńskiego“ (1882). Pracą tą zamknął Schmitt walkę z krakowską partją historyków polskich; bój, w którym przeciwnicy dźwigali wśród żwawej palby, sztandar z napisem: „Precz z dawną szkołą historyczną, precz z Lelewelem, Moraczewskim, Schmittem!“

Nie było przeznaczonem najbliższym przyjaciom Schmitta, słyszeć odgłosy ostatnich strzałów bojowych. Domaradzki ułożył przedtem (1871) do wiecznego snu swoją głowę; Elżanowski zamknął (1874) strudzone kolejami losu powieki; Libelta zgon (1875) opłakiwał cały naród polski; a wśród ustronia Romanówki oddał Schmitt ostatnią przysługę (1875) sędziwemu Nawratilowi. Imię Piotra Nawratila nie zasłynęło wprawdzie ani w gronie dziejowych osobistości, ani wśród zastępu potęg umysłowych, niezwykła prawość, szlachetność i obywatelskie cnoty postawiły go ateli na wyżynie jako wzór dla współczesnych, jako godny naśladowania przykład dla młodszego pokolenia. O nim można powiedzieć Pola słowami, „iż się nigdy nie usunął, czy to trzeba kogo zgodzić, czy zmiarko-

wać, czy uchodzić, czy podźwignąć, czy pobratać, czy potrzymać, czy poswatać, czy ubóstwem ród podzielić, czy pogrzebać, poweselić...”

Nie więc dziwnego iż bliżsi i dalsi z czcią i szacunkiem wspominali zawsze o domu Nawratilów, o stadle w którym małżonka emulowała skwapliwie w szlachetności z mężem. Kobieta, nader delikatnych uczuć, pełna miłości iście chrześcijańskiej, pełna poświęcenia, dla biednych szczodra, dla siebie oszczędna, czuła jedyne szczęście w kojeniu cierpień bliźnich, w opiece nad znękanymi i sierotami. W swem idealnem pojęciu dobroci nie rozumiała zda się, jak mogą w ogóle istnieć ludzie źli i przewrotni.

Pod koniec doczesnej pielgrzymki spoglądał Schmitt na świeżą drogę, jaka roztaczała się przed krajem, wskutek uzyskanej przyłączeniem dwóch nowych prowincji, przewagi Słowian w składzie rakuskiej monarchji, spoglądał na narodową manifestację, która złączyła w Krakusa grodzie wszystkie prowincje polskie dla uczczenia półwiekowych zasług autorskiej działalności J. I. Kraszewskiego. Jubileuszowe owacje, przygotowane w stolicy kraju dla weteranów powstania r. 1830—1831, szeregiem wspomnień odbiły się w duszy dawnego uczestnika wysiłków konspiracyjnych.

W maju 1880 podążył Schmitt do Krakowa na obchód otwarcia „Grobu zasłużonych” na Skałce i przeniesienia tamże szczątek Jana Długosza. Poruszona w r. 1876 myśl „Grobu zasłu-

zonych“ została w ciągu czterech lat w czyn przemienioną, a czterystoletnia rocznica zgonu Długosza, była oraz dniem otwarcia krypty. Uroczystość rozpoczęła się 18 maja posiedzeniem Akademji umiejętności w wielkiej sali Sukiennic, gdzie przygotowano honorowe miejsca dla czynnych członków Akademji, korespondentów i znakomitszych gości kraju i zagranicy. W pierwszym rzędzie tych miejsc zasiadł dziejopis Roepel, autor „Dziejów Polski“, obok historyk Caro, Nehring, za nimi hr. Włodzimierz Dzieduszycki, hr. Przeździecki, J. I. Kraszewski, Jarochowski, Szulc i inni. Po zagajeniu posiedzenia przez hr. Alfreda Potockiego, zabrał głos prezes J. Majer, następnie wśród burzy oklasków Roepel, poczem odczytał J. Szujski rozprawę „Długosz na tle historjografji europejskiej“, hr. Stanisław Tarnowski zaś wygłosił okolicznościowy wiersz A. E. Odyńca. Nazajutrz przeniesiono wśród okazałego ceremonjału zwłoki Długosza do krypty i wręczono klucze od bramy sklepienia przeorowi zakonu Paulinów. Kondukt prowadził biskup Albin Dunajewski i oddał ostatniem słowem cześć temu, który pierwszy rozpoczął szereg zasłużonych ojczyźnie mężów, mających spocząć w nowej katakumbie. Dwa dni następnych poświęconych było historycznemu kongresowi, w którym uczestniczyło przeszło czterysta osób. Uroczystość jakkolwiek wspaniała i poważna nie zadowoliła patryjotyzmu Schmitta.

„Posiedzenie Akademji odbyło się z wielką



na pozór okazałością“ — wspominał w liście do rodziny — „lecz wglądawszy we wszystko i przypatrując się zgromadzeniu, przysłuchując wygłaszanym mowom i oklaskom, utwierdziłem się w przekonaniu, że Akademia działa raczej w rządu, a nie w naszym duchu i celu. Czułem się obcym, jak gdybym nie był w dawnej stolicy Polski i wśród niezliczonych pamiątek z jej przeszłości pozostałych. Otwarte, lub pokostem pozorowego patriotyzmu pokryte wycieczki, przeciw porobiorowym wysiłkom narodu, rozbrzmiewały wśródtych samych sklepień Sukiennic, które świadczyły o przysiędze Kościuszki, że nie złoży oręża podniesionego w obronie niepodległości, chyba z życiem! Przykro mi było i smutno!...”

W dwa lata później spotykamy list Kraszewskiego, zdanie o prądach krakowskiego stronnictwa.

„Spieszę Wam i synowi Waszemu podziękować za pamięć\*) a pierwszą tę pracę zacnego młodzieńca przyjmuję, jako obiecujący dla przyszłości zadatek.

Czytam zwolna w Gazecie krakowskiej Wasz rozbiór krakowskich neo-historyków; — ale potrzeba, abyście to kazali odbić osobno. Rzecz jest wielce zajmująca i potrzebna. Odczuwam ja tu na obczyźnie wszystko, co się tam u nas i gdzieindziej dziś pisze, czuję te prądy i ich

---

\*) Po otrzymaniu pierwszego utworu literackiego Mieczysława Schmitta.



cele. Kwestyą tylko jest dla mnie, czy polemika z niemi odpowie celowi, a nie nada teoryom większego rozgłosu. Bądź co bądź przefiltrować trzeba było i nikt tego nie mógł uczynić lepiej nad Was. Cieszę się z tego, że kończę rok 70, i że długo już na ten stan rzeczy u nas patrzeć nie będą. Nie rozpaczam bynajmniej, i owszem wiem, że prawda zwycięży, ale nim się to stanie, przejdziemy przez stadyum zwycięstwa fałszu, który dosięgnie punktu kulminacyjnego i dopiero zwrot nastąpić może. Co za charakterystyczny wypadek, to uroczyste pogrzebanie serca Konarskiego, na które ani uniwersytet, ani akademia, ani młodzież pod ich wpływem zostająca — nie przychodzi!

Szujski w „Polen und Ruthenen“ prawi o zwycięstwach i wielkich sprawach Stańczyków, Zamęt — walka — w pojęciach dziwne zamieszanie, a co najgorzej — młodzież idzie za przewódcami. Smutek ogarnia serca. Ściskam serdecznie dłoń Waszą, pełen szacunku — sługa wierny J. I. Kraszewski“.

Jak pracę na polu dziejów ojezystych, tak też pojmował Schmitt i pracę na polu szkolnictwa ludowego, jako twardą służbę publiczną. Zaraz po wstąpieniu w grono członków Rady szkolnej opracował projekt podziału czynności i organizacji wewnętrznej, celem tem raźniejszego i użyteczniejszego załatwienia spraw wychowania publicznego i dążył następnie konsekwentnie do urzeczywistnienia przyjętego przez

Radę wniosku. Jako stały członek ówczesnej drugiej, dzisiejszej pierwszej sekcji Rady, traktującej sprawy szkół ludowych i seminarjów nauczycielskich objął aprobatę i zalecanie książek na premje i do bibliotek szkolnych i był czynnym w komisji dla układania podręczników naukowych. Opracował regulamin szkolny, wydany r. 1876, i załatwiał sprawy do niego się odnoszące.

Po ustąpieniu Juliusza Starkla przeglądał i referował sprawozdania wizytacyjne inspektorów okręgowych, wydawał odpowiednie zarządzenia, nadto zestawiał (1872—1881) statystyczne sprawozdania o stanie szkół ludowych. Studując skrupulatnie niesłychanie rozległe materiały, któremu się w tem zajęciu nasuwały, dążył do najściślejszego cyfrowego przeglądu stosunków szkolnych, poświęcając temu zadaniu trud i czas z narażeniem własnego zdrowia. W ostatnich latach uczestniczył w ankiecie szkolnej Wydziału krajowego. Od czasu do czasu odrywał się od biurowej pracy, delegowany, bądź to dla uregulowania stosunków szkół wyznaniowych izraelskich, bądź dla lustracji zakładów naukowych, bądź w innych specjalnych misjach, a dążąc z całym zasobem wrodzonej rozwagi do celu, zyskiwał szlachetnem i sprawiedliwem postępowaniem swoim ogólną cześć i wdzięczność\*).

---

\*) Pomędzy odnośnemi korespondencjami Schmitta znajduje się dziękizonne pismo biskupa przemyskiego ks. Macieja Hirschlera za sprawiedliwe i szlachetne rozwiązanie donosnej kwestji, dotyczącej szkoły i duchowieństwa.

Pracowitość, jaką rozwijał, odpowiadała wyso-  
kiemu poczuciu o ważności publicznego obo-  
wiązku, cechującemu w ogóle całe jego działa-  
nie. Do ostatnich chwil zrywał się za każdym  
cieniem polepszenia sił fizycznych, nie chcąc  
nigdy brakować na stanowisku, na którego po-  
wołano. Po zupełnym nawet upadku sił tych  
trudno było czynnemu umysłowi jego oswoić się  
z myślą bezczynności — zwiastunem bliskiego  
końca, który wskutek tego, choć oddawna prze-  
powiadany, wydał się nagłym i niespodziewanym.

Nadszedł dzień smutnego wyroku snującej  
nie życia Parki...

Złowroga cisza zaległa w połowie paździer-  
nika 1883 r. mury Baworowskich pałacu, duch  
smętny i rzewny wśród komnat powiewał obszer-  
nych, żałosny głos puszczyka dolatywał z omszo-  
nej fasady domu, a od czasu do czasu odzywał  
się przeciągły jęk dzwonka i skrzyp otwieranej  
furty. Pożółkłe drzewa przyległego parku ście-  
liły u stóp swych dywan zwiędłych liści, mu-  
skane prądem jesiennego wiatru, chyliły kornie wy-  
niosłe wierzchołki, drgając, uderzały z lekka gałąz-  
kami o zroszone wieczornym chłodem szyby okien.

Tam — w wnętrzu pałacu spoczywał Schmitt  
na śmiertelnem łożu. Długie lata trzymała woli  
siła fizyczne siły na wodzy, długie lata wy-  
chodziła silna konstytucja zwycięzko z zapasów,  
lecz pół przeszło wieku walki z losem, pół wieku  
trosk, znojów i trudów, bezustannej pracy i gra-  
nitową wyszczerbia epokę. Dziś przyszło mu

ulżyć znużonej wysiłkiem prawicy, wypuścić pióro z omdlałej ręki, pożegnać ukochane księgi i kroniki, zamknąć długi registr spełnionych w obec ojczyzny powinności i podążyć z obfitym zasług zapasem przed najsprawiedliwszego sędziego. Niech on oceni, o czem nieudolny sąd ludzki nie zdołał wydać wyroku! U łoża chorego nieprześcigniona w gorliwej opiece i pieczołowitości towarzyszka życia. Choć sama ciężką złamana niemocą, w stadium gwałtownie rozwiniętej słabości, nie dozwoliła, by obca dłoń stała na usługi męża, niosła ulgę w ostatnich tchnieniach starca. Obok wpatrywał się syn w gasnące oblicze ojca; syn jedynak spadkobierca sławy i zacnego imienia.

Podniósł chory opadające powieki, gasnące oko ostatnią iskierką zajaśniało blasku, pierś wezbrała resztką tlejącego życia, a spiekłe usta urywane wyszeptwały wyrazy:

„U mnie miłość ojczyzny nie była komedją ani środkiem do uzyskania uwielbień. Ludzie prawdziwie prawi, po mojej śmierci rozpatrując cały przebieg życia mego, powiedzą żem dopełnił, co człowiek w mojem położeniu mógł dopełnić. Dla przypodobania się komukolwiek nie nazwałem czarnego białem, ani odwrotnie; nikomu nie schlebiałem, a ludzi oceniałem zawsze wedle ich użyteczności i wysień dla sprawy, czem naturalnie niejednokrotnie nie zdobywałem sobie ich przychylności. Miałem przyjaciół w tem szczupłym gronie ludzi, którzy bez żadnych wa-



runków poświęcili się sprawie, dla niej tylko żyli i żyją, a przyjaźń takich ludzi droższą mi była nad wszelkie uwielbienia innych i nad powszechną wziętość....“

I wydzwonił zegar drugą po północy... duch Schmitta rozłączył się z ciałem.

„Rodacy ! Henryk Schmitt, jeden z najwierniejszych synów Polski umarł w dniu 16 b. m. po długich a ciężkich cierpieniach w 66 roku swego niestrudzonego a czystego żywota. Wielkość straty Męża tego uczuwa każdy, komu nie przestały być drogiemi święte ideały, dla których Nieboszczyk życie swe całe poświęcił i których do ostatniego tchnienia bronił z zapalem. Komitet obywatelski, zawiązany celem oddania ostatniej Zmarłemu posługi, uprasza też wszystkich Rodaków, ażeby jak najliczniej zechcieli wziąć udział w pogrzebie, który odbędzie się w dniu 18 b. m. o godzinie 3. po południu z domu pod l. 68 przy ul. Sykstuskiej. Pospieszmy wszyscy oddać hołd cnocie i zasłudze obywatelskiej! Lwów dnia 17. października 1883.“

Temi słowy oznajmił komitet\*) zgon wielkiego polskiego uczonego i obywatela, temi słowy rozgłosiły czasopisma smutną wieść po dalekich zakątkach świata, gdzie tętni polskie ser-

---

\*) W skład komitetu weszli: Dr. Białkowski, dr. Euzebjusz Czerkawski, Jan Czerszyk, Mieczysław Darowski, Jan Dobrzański, F. Gross, dr. B. Longschamps, Tadeusz Romanowicz, dr. G. Roszkowski, Z. Sarnecki, Sklepiński i dr. Józef Żuliński.



ce, gdzie żyją rozbitki polskiego narodu. Toż w obrzędzie pogrzebowym uczestniczył nie Lwów sam, ale cały kraj i naród towarzyszył konduktowi przez reprezentantów i deputacje, oznajmiał pismem i drutem telegraficznym udział i współczucie, przyłączył się myślą do smutnego orszaku.

Już o godzinie 2. z południa, poczęły zbierać się w dniu pogrzebu tłumy ludu około mieszkania zmarłego historyka i zapełniły niebawem w jakiej trzydziestotysięcznej liczbie całą ulicę Sykstuską, Karola Ludwika, plac Marjacki, Hallicki i Bernardyński. Gdy o godzinie trzeciej wyniesiono zwłoki i ustawiono na wozie, odspiewał chór teatralny pogrzebową kantatę, poczem wśród powszechnej, uroczystej ciszy zabrał głos redaktor „Gazety narodowej“, Jan Dobrzański:

„Zebraliśmy się“ — przemówił — „aby ostatnią oddać przysługę mężowi, który życie swe całe poświęcił ojczyźnie. Już od młodości odznaczał się patriotyczną gorliwością między ówczesną młodzieżą, która cała prawie ani myślała o zabezpieczeniu sobie stanowiska osobistego i materialnego bytu na przyszłość, lecz zajęta była wyłącznie myślą o ojczyźnie. A śp. Henryk Schmitt wyrobiwszy w sobie w młodości postanowienie, poświęcenia się służbie dla ojczyzny, pozostał wierny temu postanowieniu, nie wchodząc w żadne kompromisy ani z sobą i z przekonaniami swemi, ani ze stosunkami, wśród których żył i przebywał.

Maż takiego sposobu myślenia i działania,

musiał w życiu swoim, wyłącznie Polsce poświęconem, natrafić na wielkie przykrości, zawody i cierpienia, osobliwie w czasach, kiedy jako młodzieniec, a potem jako mąż dojrzały, starał się urzeczywistnić to, co sobie jako ideał i cel wyłączny całego żywota wytknął.

Lecz ani kazamaty Spielbergu, dokąd po r. 1846 ułaskawiony od kary śmierci, skazany był na lat dwadzieścia, ani po r. 1863 tułactwo przymusowe wśród obcych narodów, nie złamały, ani nie oziębiły jego patriotyzmu. Gdy rok 1848 otworzył mu bramy więzienne, natychmiast jął się pracy, mającej znowu ojczyznę na celu, kontynuował dalej rozpoczęte dawniej studia historii polskiej. A w tych studjach nie zapomniał nigdy o panującym obecnie życiu w narodzie, nigdy o usiłowaniach, dążących do odbudowania ojczyzny. Przeciwnie owoce tych studjów, dzieła historyczne jego, miały zawsze przewodnią myśl, pokrzepienia narodu, rozbudzania w nim miłości ojczyzny, ducha poświęcenia, wskazania mu sposobów i dróg do odzyskania praw przyrodzonych. Czy pisał obszerniejsze dzieje Polski, czy więcej streszczone dla młodzieży, czy kreślił żywot Kołłątaja, czy historję ostatniego wieku istnienia Polski, to wiązał zawsze swe opowiadanie o przeszłych czasach i ludziach z myślą o teraźniejszym stanie Polski i o jej odbudowaniu. Oburzał się na tych, co się przyczynili do jej upadku, a podnosił mężów, co ją dźwigali, co się dla niej poświęcali i to samo patriotyczne uczucie

wlewał w serca i umysły czytelników.

Nazwano to jednostronnością. Jeżeli to była jednostronność, to i w takim razie nie przynosiła szkody narodowi, ale podnosiła jego patriotyczne uczucia, przypominając mu główny cel, do którego dążyć powinien i rozbudzając w nim ducha poświęcenia. I korzystniejszą dla narodowej przyszłości jest taka jednostronność historyka, niżli innego rodzaju, praktykowana dzisiaj z takim rozmachem i będąca w modzie jednostronność, obmywająca winnych upadku ojczyzny z wszelkiej winy, a wyszukująca plam na tych mężach, co się poświęcili dla ratowania ojczyzny, niosąc jej życie i mienie w ofierze. Tej modnej dzisiaj u historyków jednostronności nie było u Henryka Schmitta. A jakim był w piśmie swoich, takim był i w życiu. Nie było żadnej sprawy narodowej w Polsce, w którejby nie brał czynnego udziału. Każdą zaś sprawę w ogóle oceniał podług miary, w jakiej przyczynić się może do odbudowania ojczyzny, do rozbudzenia sił narodowych, narodowego poczucia, narodowej świadomości i podług tego ocenienia więcej lub mniej czasu poświęcał. Od młodych lat wychowanie ludu, rozbudzenie w nim świadomości narodowej uważał za główne zadanie. Z jakąż gorliwością i energią rzucił się na to pole, gdy z wyboru Wydziału krajowego zasiadał w krajowej Radzie szkolnej. Wyłącznie prawie odtąd poświęcał czas i zdolności swoje szkolnictwu ludowemu, odrywając się od pracy jedynie w owych

chwilach, gdy jaka równie pożyteczna sprawa wymagała jego współudziału. I tak w ostatnich jeszcze czasach brał inicjatywę w urządzeniu dwustuletniej rocznicy odsieczy wiedeńskiej.

Był także nadzwyczaj czynnym przy zawiązaniu Towarzystwa kółek rolniczych włościańskich i właśnie ta ostatnia czynność była powodem choroby, której uległ. — Posiedzenie Towarzystwa kółek rolniczych trwało\*) dłużej niż zwykle, w noc późną. Za lekko ubrany, wracając do domu zaziębił się i już więcej się nie podźwignął.

Pracując w różnych zawodach i życie poświęcając sprawie narodowej, nigdy nie schlebiał możnym i nie szukał ich protekcyi, a własną tylko pracą zdobywał sobie stanowisko w społeczeństwie. Jako historyk nie oglądał się, czy duch i kierunek jego dzieł znajdzie sympatję i uznanie w tych sferach wpływowych, które decydują o honorach i o zaszczytach przyznawanych autorom. Inni umiając zyskać sobie przyjaźń i protekcję, za pojedynczą rozprawę dostępowali zaszczytu członka Akademii; Henryk Schmitt napisał i wydał cały szereg dzieł opartych na źródłowych badaniach, ale nigdy nie ubiegał się o te zaszczyty, przeciwnie ostro i zacięcie występował przeciw tym poglądom i opiniom, które brały górę w sferach decydujących o odznaczeniach.

---

\*) W kwietniu 1883.

Cześć więc pamięci męża, który od młodości aż do grobu wierny był przekonaniom i ideałom swoim i przez całe życie starał się je urzeczywistnić, na każdym polu, na którem mógł pracować. — Cześć pamięci wielkiego patrioty!..

Gdy skończył mowca, zaintonowało duchowieństwo hymn żałbony, zagrała muzyka „Harmonii”, a kondukt wyruszył z miejsca.

Na czele szły rozmaite miejskie instytucje, jak starec z „Domu ubogich”, sieroty, następnie młodzież szkół ludowych męskich i żeńskich w liczbie kilku tysięcy, młodzież szkół średnich i wyższych zakładów naukowych: uniwersytetu i politechniki. Dalej postępowały wszystkie cechy ze swemi chorągwiami i deputacje rozlicznych towarzystw i instytucji z wieńcami, mianowicie: Straż ogniowa ochotnicza, stowarzyszenie „Gwiazde”, stowarzyszenie „Skała”, „Stowarzyszenie młodzieży handlowej”, „Koło literackie”, Towarzystwo politechniczne. Towarzystwo pedagogiczne, grono nauczycieli i profesorów wszystkich szkół i zakładów naukowych, Rada szkolna okręgowa, następnie Rada miejska w całym swoim komplecie, weterani z r. 1831, za którymi przygrywając marsz żałbony, kroczyła muzyka Towarzystwa „Harmonii”. Część przednią orszaku zamykało duchowieństwo i członkowie wszystkich zakonów lwowskich męskich i żeńskich.

Teraz dopiero szedł wóz z trumną, za nią rodzina zmarłego, bezpośrednio następnie namiestnik Zaleski z całym gremium radców na-



miestnictwa, Alfred hr. Potocki, członkowie Wydziału krajowego, obecni we Lwowie członkowie Akademii umiejętności z prezesem swym dr. Majerem na czele, kuratorja i dyrekcja Zakładu narodowego imienia Ossolińskich ze wszystkimi urzędnikami, wreszcie liczne grono posłów sejmowych wszystkich stronnictw. Nieprzejrzany tłum publiczności zamykał ten okazały pochód. Szarfy od trumny trzymali: Wacław Dąbrowski, prezydent miasta Lwowa, dr. Euzebiusz Czerkawski, dr. Mandybur, dr. Ferdynand Weigel prezydent miasta Krakowa, radca Olszewski i prof. dr. Ludwik Kubala.

Wienców było około czterdziestu; między innemi od posłów sejmowych, Rady miasta Lwowa, Koła literackiego, młodzieży gimnazjum akademickiego, Towarzystwa politechnicznego Rady szkolnej krajowej, dalej „Zacnemu Henrykowi towarzysze ze Spielbergu“, „Weterani wojska polskiego z r. 1831 zacnemu patryocie“, „Towarzysze z emigracji, obrońcy prawdy historycznej“ itp.

Orszak pogrzebowy postępował przystrojonymi w żałobne chorągwie ulcami: Sykstuską, Karola Ludwika, placem św. Ducha, placem Katedralnym, Marjackim i Halickim do kościoła OO. Bernardynów z tamtąd ulicą Piekarską ku cmentarzowi. Na wszystkich tych ulicach paliły się w czasie pogrzebu gazowe latarnie.

O godzinie 4<sup>1/2</sup> stanął kondukt przed kościołem, wniesiono trumnę do kościoła, usawiono na

katafalku, duchowieństwo odspiewało egzekwie, a chór „Lutni“ odspiewał żałobną kantatę. O godz. 6 przemówił na cmentarzu nad grobem w rze-  
wnych słowach ks. Lewicki, następnie zabrał głos radca szkolny Zygmunt Sawczyński. W znakomitem swem przemówieniu, przedstawił wierny obraz żelaznego a tak pięknego charakteru zmarłego historyka. „Zrodzony z ojca Niemca“ rzekł „był z rodu swego pierwszym synem tej ziemi, ale służył jej tak wiernie i tak gorliwie że po wieczne czasy może być przykładem i wzorem dla młodo-  
dzieży. Niemieckiego pochodzenia mógł być ś. p. Henryk Schmitt przy swoich zdolnościach zrobić jako urzędnik świetną karierę. Ale duch jego prawy inną obrał drogę. Od najwcześniejszej młodości podjął on pracę na ojczyźstwej niwie. Nie należy o tej pracy wydawać zbyt skwapliwie ujemnego sądu, bo przedewszystkiem pamiętać trzeba że jeżeli ś. p. Schmitt w przedstawieniu ojczy-  
stych dziejów podnosił przeważnie jasne i piękne strony naszej przeszłości, czynił to z dobrze zrozumianego patriotyzmu, narodowi bowiem dotkniętemu utratą niepodległości, trzeba było dodać sił i z przeszłości jego wydobyć niepłonną nadzieję odrodzenia. Jeżeli nowsza szkoła historyczna do świetniejszych nawet dojdzie rezultatów w badaniu dziejowej prawdy, zawsze jednak będzie musiała o tem pamiętać, że zna-  
lazła przez poprzedników uterowaną już drogę, podczas gdy ś. p. Henryk Schmitt i współcześni historycy musieli o własnych siłach postępować

a nadto w murach więziennych ponosić cierpienia za najszlachetniejsze swoje dążności.

Po przemowie Sawczyńskiego złożył na trumnie zmarłego, imieniem młodzieży aka demickiej prezes Czytelni Peplowski, wieniec laurowy, żegnając męża pełnego poświęcenia, który słowem i czynem uczył młodzież, jak ma zwiarą i zapaleć służyć krajowi.

Z kolei wszystkie inne delegacje składały wieńce na trumnie, a chór męski wykonał pieśń pogrzebową. „Z dymem pożarów“ rozległo się echem w pośród kurhanów, „Boże coś Polskę“ zaintonowała rzesza nad zimną mogiłą męża, któremu wiedza i miłość ojczyzny zapewniły pierwszorzędne miejsce w gronie najzasłużeńszych polskiego narodu.

W pół roku później podniósł się głąz grobowy dla objęcia zwłok Leokadij.

Zgon drogiego małżonka wstrząsnął u podwalin jej siły fizyczne. — Zamknąwszy najświętszy dla niej przybytek, zamknąwszy drzwi komnaty, w której pracował i umarł Henryk, zajęła u progu przybytku tego straż na śmiertelnej pościeli, i z kluczem w dłoni oddała Bogu ducha 30 kwietnia r. 1884.

Odwiedziwszy świątynię OO. Dominikanów lwowskich, w której rodacy pamiątkowym napisem uczcili wielkiego historyka i niezłomnego patriotę, podążmy na Łyczakowski cmentarz. Tam w północnej części przy głównej drożynie ujrzymy obelisk z czarnego marmuru, na nim,

odwzorowane pod godłem Męki Pańskiej, w udatnym medaljonie popiersie Schmitta.

To pomnik, u stóp którego rokrocznie oddaje młodź polska w pieśniach ojczystych, w nucie żałobnej wyraz uczuciu, składa hołd prawdziwej zasłudze; to mogiła, nad którą czerpie zachętę do pracy w imię ojczyzny, szukając natchnienia i krzepiąc siły u szczątek męża, który jak ongi dzielny bojownik Czarnecki: „nie z soli ani z roli, tylko z tego, co go boli — urósł w narodzie“..

K O N I E C.

# Omyłki druku.

---

<i>Strona</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>czytaj</i>
13	5 z góry	międzyczasiu	międzyczasie
17	2 „	nagiéj	naszój
19	5 z dołu	prwierzechności	powierzchności
20	10 „	zwyciązko	zwycięsko
22	11 z góry	repreztantów	reprezentantów
31	14 „	Lauker	Lauber
32	8 z dołu	Zdarzenie	Wrażenie
32	1 „	stawała	stała
38	1 „	a jedyniej	ja jedynie
41	16 z góry	niepochamo- wana	niepohamo- wana
43	4 z dołu	tesknoty	teskny
63	2 „	otonych	otoczonych
101	9 „	(Przed r. 183) Guiso	Przed r. 1830 Guisot ...odwiedzinami.
133	11 „	odwiedzinami. Przyjął	Nazajutrz by- liśmy u Józefa Łukaszewicza. Przyjął....
180	10 „	k w iście...	a w iście...
195	5 „	z przeszłości	z przeszłości narodu
198	5 z góry	Łukaszewiz	Łukaszewicz
203	5 „	żelazną	żelazną
208	13 z dołu	któryby	który
208	11 „	któryby	który

---